

Tadeusz M. Płużański

OPRAWCY

Zbrodnie bez kary

Biblioteka "Naszej Polski"

Tadeusz M. Płuźański

OPRAWCY

Zbrodnie bez kary



Biblioteka "Naszej Polski"

Wstęp: Wojciech Reszczyński

Korekta: Małgorzata Wojnowska

Projekt i wykonanie okładki: Bogusław Kornaś

Redakcja techniczna: Anna Szarko

© Copyright by Wydawnictwo Szaniec sp. z o.o

© Copyright for this edition by Capital s.c., Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być reprodukowana jakimkolwiek sposobem – mechanicznie, elektronicznie, drogą fotokopii czy tp. – bez pisemnego zezwolenia wydawcy, z wyjątkiem recenzji i referatów, kiedy to osoba recenzująca lub referująca ma prawo przytaczać krótkie wyjątki z książki, z podaniem źródła pochodzenia.

Książka ukazała się w serii: Biblioteka „Naszej Polski” TOM I

ISBN: 978-83-64037-00-9

Wydanie drugie

Wydanie i dystrybucja:

Capital s.c.

ul. Kwitnąca 5/6

01-926 Warszawa

Tel. 533 496 436

www.capitalbook.pl, sklep@capitalbook.pl

Wydawnictwo Penelopa

ul. Grażyny 13 lok. 219 (2 piętro)

02-548 Warszawa

Spis treści

Potomkowie bestii mają się świetnie	9
Wstęp	17
Nieukarani mordercy Polaków	21
Dlaczego nie rządzą nami elity	27
„Wyborcza” nie promuje już Grossa?!	35
Do dziś kłamią o Powstaniu Warszawskim	49
Jesień Śmigłego-Rydza	57
Bronisław Piłsudski, brat Marszałka	67
Pamięć o mordercach	77
Bohaterowie bez grobów	81
Powązki – warszawski Katyń	87
Zabici w PRL, ekshumowani w III RP	91
„Nie” dla Witolda Pileckiego	103
Kapuś bohaterskiego rotmistrza	113
Kto zakapował „Lalka”	123
Oprawcy gen. Fieldorfa bez sądu	131
Kaci z Mokotowa umierają bezkarni	141
Komunistyczni bandyci za kraty	155
Nie osądzony nawet za część swoich zbrodni	165
Sadysta z Wroniek	177
Zachowałam się jak trzeba. Opowieść o Danucie Siedzikównie ..	187
Socjalista niepodległościowiec „Bazyli”.	
Opowieść o Kazimierzu Pużaku	195
„Zapora” przeciw komunizmowi.	
Opowieść o Hieronimie Dekutowskim	209
Po pierwsze honor.	
Opowieść o Emilii Malessie i Janie Rzepeckim	225
W tajnym więzieniu bezpieki	235
Przedawniony Kędziora?	247
Komunistyczny bandyta zostanie skazany?	255
Kłamstwa i ubolewania ubeka	263
Wchodził, katował i zarządzał karcer	269

Śbdczy Kędziora oskarżony	
o rowe zbrodnie przeciwko ludzkości	279
Ubcy kłamią w żywe oczy	285
Sd skazał krwawego drania	291
Tzy lata więzienia dla Kędziory	299
Icą zawsze była niepodległość	303
Daczego nie pamięta się o Jastrzębiu?	315
Gudzień – miesiąc znamienny, tragiczny	327
Swieccy generałowie niewinni w III RP	339
Płak, patriota, admirator Marszałka.	
Pmięci Józefa Szaniawskiego (1944-2012)	349

Oddajemy w Państwa ręce książkę, na którą składają się publicystyczno-historyczne teksty Tadeusza M. Płużańskiego publikowane w ciągu ostatnich dwóch lat w tygodniku „Nasza Polska”. Niektóre z nich zostały rozszerzone, zmienione i uzupełnione. „Oprawcy – zbrodnie bez kary” to pierwsza z pozycji rozpoczynająca serię wydawniczą pod nazwą Biblioteka „Naszej Polski”. Pozostajemy z nadzieją, że lektura „Oprawców” utrwali w Czytelniku pamięć o zbrodniach zapomnianych, wyretuszowanych i nieosądzonych. A jeśli wymiar sprawiedliwości w IIIRP nie może lub nie chce sądzić katów minionego ustroju, niech przynajmniej o ich czynach opowiada słowo ogłoszone drukiem.

Maryla Adamus, prezes Wydawnictwa „Szaniec”

Potomkowie bestii mają się świetnie

Ostatni krwawi śledczy z Mokotowa zmarli przed momentem – dwa lata temu Marian Krawczyński, a w październiku 2012 roku Eugeniusz Chimczak. Obaj nie ukarani, z wysokimi resortowymi emeryturami. Z ciekawostek – ppłk Czesław Łapiński, prokurator żądający kary śmierci dla rotmistrza Pileckiego, nie doczekał wyroku, umierając kilka lat temu w szpitalu przy ulicy imienia... Pileckiego – mówi Tadeusz M. Płużański, historyk i publicysta w rozmowie z Robertem Witem Wyrostkiewiczem.

Frona.pl: Do kin wszedł właśnie film „Pokłosie” opowiadający o tym, jak Polacy mordowali Żydów. Pan za to opisywał dotąd zbrodnie komunistyczne popełniane na żołnierzach AK, WIN, uczestnikach II konspiracji niepodległościowej. Wielu z komunistycznych katów było właśnie Żydami. Jak Pan odbiera promocję zupełnie innego obrazu wojennej i powojennej rzeczywistości promowanej przez reżysera Pasikowskiego przy wsparciu finansowym ze strony państwa, bowiem „Pokłosie” jest filmem dotowanym?

Tadeusz M. Płużański (historyk, szef działu Opinie „Super Expressu”): Nie ulega wątpliwości, że „Pokłosie” to paszkwil na Polskę i Polaków. Nie przekonują mnie głosy jego twórców, że pokazanie polskich antysemitów – tym bardziej

w wersji thrillerowych zombie – ma być dla nas katharsis. Bo żadne oczyszczenie nie dokonuje się na bazie kłamstwa. Teraz faktografia. Zgoda, że film fabularny nie musi drobiazgowo oddawać rzeczywistości, to zawsze licentia poetica. Ale „Pokłosie” zakłamuje i manipuluje na wielką skalę. Film nie pokazuje całego kontekstu wydarzeń w Jedwabnem i innych miejscowościach Podlasia w lipcu 1941 roku, czyli niemieckiej okupacji, udowodnionej inspiracji Niemców z Einsatzgruppen czy wcześniejszej kolaboracji ludności żydowskiej z Sowietami przeciwko Polakom. Czy taki obraz może być pełny i prawdziwy? A odnośnie filmowych zombie, czyli mieszkańców Jedwabnego, proszę zwrócić uwagę, że byli skazywani po wojnie przez stalinowski system bezprawia. Czy ich zeznania przed krzywoprzysiężnym sądem, również te przyznające się do mordowania Żydów, można uznać za wiarygodne? Przypomnę również, że w swoich kultowych „Psach” reżyser Pasikowski bohaterami uczynił ubeków, pokazał ich problemy, rozterki. Przecież to relatywizowanie zbrodni.

Pana pierwsza książka, „Bestie”, okazała się bestsellerem. Pisz Pan o komunistycznych oprawcach i ich ofiarach. Pana ojciec był żołnierzem AK i bliskim współpracownikiem rotmistrza Pileckiego. Poznał więzienia niemieckie i sowieckie od środka. Stąd u Pana kontynuacja tej tematyki?

Nie ulega wątpliwości, że bez Ojca i jego przeżyć „Bestie” by nie powstały. To nie tylko ciągłość pokoleniowa, pewien imperatyw patriotycznego podejścia do Polski. Ojciec sprawił, że po prostu nie miałem wyjścia. Ponieważ sam nie chciał zbyt wiele opowiadać o stalinowskim piekle, musiałem zrobić to za niego. I tak zacząłem badać życiorysy jego oprawców – śledczych, kławisz, sędziów, prokuratorów i adwokatów. Potem oprawców ze spraw innych niepodległościowców. Zajęło mi to kilkanaście

lat. Wracając jeszcze do „Psów”, Płużański tym różni się od Pa-sikowskiego, że nie przedstawia skomplikowanych losów morderców, nie wnika w ich psychikę, nie analizuje dylematów. Kat jest katem, sam odebrał sobie prawo, aby traktować go jak człowieka. W „Bestiach” jest jasny podział na dobro i zło, bohaterstwo i zaprzaństwo. Wszystko to, co najcenniejsze – wartości Bóg, Honor, Ojczyzna uosabiają żołnierze wyklęci, polscy działacze niepodległościowi, wszyscy ci, którzy podjęli nierówną, w sumie beznadziejną walkę z drugim, sowieckim okupantem. Po drugiej stronie mamy świat antywartości – ludzi słabych, koniunkturalistów, karierowiczów, w końcu zwykłych przestępców. Szczególnie zapadły mi w pamięć takie słowa Ojca: „Słabość moralna i polityczna tych ludzi czyniła z nich po prostu szmaty, którymi można było wytrzeć każdą podłogę, nawet najbrudniejszą. Słabość jest najstraszniejszą cechą charakteru. Ludzie słabi są zdolni do każdej zbrodni”.

Jak zakończyła się historia katów rotmistrza Pileckiego i oprawców Pana Ojca?

Oprawcy Ojca i Pileckiego to te same zbiry, te same bestie. W ramach jednej sprawy o „szpiegostwo” i „próby zamachów na czołowe osobistości Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego” przesłuchiwali ich ci sami ubeccy dranie, na czele z ober-zbrodniarzem Józefem Goldbergiem-Róžańskim. Akt oskarżenia przygotował – przy współpracy z naczelnymi prokuratorami wojskowymi – Zarakowskim i Podlaskim – mjr Czesław Łapiński. Wyrok wydał krzywoprzysiężny, podległy bezpiece sąd z Janem Hryckowianem i Józefem Badeckim. W sprawę zaangażowanych było jeszcze wielu sędziów i prokuratorów, którzy wydawali nakazy aresztowania, przedłużali śledztwo, zarządzili wykonanie wyroku śmierci na Pileckim. Bezpośredni nadzór nad sprawą

sprawował Bierut i szefostwo MBP – Radkiewicz i Romkowski. A jak się zakończyła historia tych bandytów? Żaden dziś już nie żyje. Sędziowie i prokuratorzy odchodzili w chwale zasłużonych radców prawnych i adwokatów. Ostatni krwawi śledczy z Mokotowa zmarł przed momentem – dwa lata temu Marian Krawczyński, a w październiku tego roku Eugeniusz Chimczak. Obaj nie ukarani, z wysokimi resortowymi emeryturami. Z ciekawostek – ppłk Czesław Łapiński, prokurator żądający kary śmierci dla rotmistrza Pileckiego, nie doczekał wyroku, umierając kilka lat temu w szpitalu przy ulicy imienia... Pileckiego.

Jednak od 1989 r. toczą się ciągle różne procesy. Jaki był według Pana rozmiar zbrodni komunistycznych i w jakim procencie zostały one osądzone?

Komunistycznych zbrodni było w Polsce multum, bo sowiecki komunizm – tak jak niemiecki nazizm – był systemem zbrodniczym, o czym w skażonej lewactwem Polsce, Europie, a teraz nawet USA nie chce się pamiętać. A w okupowanej Polsce komuniści mieli dużo czasu. Prawie 50 lat, nie licząc okupacji Kresów od 17 września 1939 r. Nie podejmuję się jednak oszacowania skali morderstw. Prócz kilku tysięcy wyroków „sądów” na przeciwników politycznych osadzonych w aresztach śledczych, skazanych w majestacie stalinowskiego bezprawia, było masę skrytobójczych mordów, szczególnie zaraz po „wyzwoleniu”. Nadal niewiele wiemy np. o zamordowanych w katowniach NKWD i UB na warszawskiej Pradze, by wymienić tylko owiane wyjątkowo złą sławą więzienie Toledo przy ul. Namysłowskiej. Dopiero od niedawna mamy więcej informacji o wielkiej akcji Sowietów przeciw Polakom, czyli Obławie Augustowskiej w lipcu 1945 r. We wrześniu 1946 r. żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych ze słynnego oddziału Henryka Flamego ps. Bartek

– największego powojennego ugrupowania niepodległościowego na Śląsku Cieszyńskim podstępem zwabiono z Podbeskidzia na Opolszczyznę. IPN, mimo intensywnych poszukiwań, do dziś nie odnalazł ich ciał. Takie przykłady można mnożyć.

A osądzenie? Nastąpiło w stopniu minimalnym, wręcz groteskowym. Rozliczony – przede wszystkim symbolicznie – został jedynie promil komunistycznych zbrodni. Skazano płotki, nielicznych brutalnych „oficerów” śledczych UB, czy Informacji Wojskowej, ale już żadnego sędziego, czy prokuratora, a przede wszystkim żadnego mocodawcy. Czy jakąkolwiek karę poniósł Berman, Czaplicki, Światło, i ich spadkobiercy: Milewski, Kiszczak, Jaruzelski? Nie.

Pana książka „Bestie”, czy artykuły w prasie prawniczej są zazwyczaj pewnego rodzaju studium indywidualnych przypadków. Który z nich był dla Pana najbardziej emocjonujący, przejmujący czy też szokujący?

Opowiem jedną taką historię. Kiedyś, na początku lat 90. odwiedziłem Barbarę Wierzbicką. Gdy wszedłem do jej mieszkania na warszawskiej Pradze, była blada jak ściana. Powiedziała mi, że wie, dlaczego przyszedłem, bo zaczęły do niej dochodzić informacje o jej ojczymie. Że był krwawym stalinowskim sędzią. Wcześniej wiedziała, że Jan Hryckowian za działalność w czasie wojny w ZWZ-AK został odznaczony Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Zasługi. Pamiętała również, jak za Niemca siedziała na kolanach u „wujka Walentego” – słynnego gen. Augusta Emila Fieldorfa. A teraz usłyszała, że w jednym z pokazowych procesów stalinizmu, prócz Witolda Pileckiego i Tadeusza Płuzańskiego, jej ojczym skazał adiutanta generała „Nila” – Ryszarda Jamontt-Krzywickiego. Samych wyroków śmierci na polskich patriotów Jan Hryckowian ma na swoim koncie

co najmniej 16. W marcu 1947 r. ten przedwojenny prawnik i były AK-owiec objął jedno z kluczowych stanowisk w stalinowskim systemie bezprawia – został szefem Wojskowego Sądu Rejonowego nr 1 w Warszawie. Te wszystkie informacje załamały panią Barbarę. Rozmowa była dla niej i dla mnie bardzo trudna. Tym bardziej trudna, że ojciec pani Barbary – Władysław Wierzbicki, przedwojenny porucznik żandarmerii wojskowej, który całą wojnę spędził w oślagu Woldenberg, wstąpił potem do II Korpus Andersa. Do Polski nie mógł wrócić, bo czekała tu na niego bezpieka. Pani Barbara po raz pierwszy odwiedziła ojca dopiero w 1957 r. Rozmowa była trudna także z tego powodu, że matka – Stanisława Hryckowian (po pierwszym mężu Wierzbicka) przez trzy lata niemieckiej okupacji – jako „Chinka” i „Tamara” – narażała życie u boku gen. Fieldorfa. Przez jej ręce przechodziły ważne dokumenty niepodległościowej konspiracji, np. statut i instrukcja dla organizacji „NIE” („Niepodległość”), którą generał tworzył od połowy 1943 r. przygotowując AK-owców na wejście do Polski Sowieców. Za zasługi dla Państwa Podziemnego została odznaczona Krzyżem Virtuti Militari. Dopiero niedawno okazało się, że Stanisława Wierzbicka już przed wojną pracowała dla sowieckiego wywiadu! Ale na kolejne spotkanie z Barbarą Wierzbicką – jeśli dziś żyje – już się nie zdecydowałem. Ona i tak była wyjątkiem, bo przyjmowała trudną prawdę. Większość rodzin zbrodniarzy, z którymi rozmawiałem, uważała, że działali w lepszej sprawie. A sami mordercy kłamali w żywe oczy, jak np. wspomniany prokurator Czesław Łapiński, oskarżyciel grupy Pileckiego. Szokujące jest to, że żaden nie przeprosił ofiar i ich rodzin. Szokujące jest również to, że potomkowie bestii mają się w dzisiejszej Polsce świetnie.

Niedługo ukazać się ma druga książka Pana autorstwa. Może Pan nam powiedzieć coś więcej na ten temat?

Podstawą jest zbiór reportaży historycznych, publikowanych przez ostatnie dwa lata w tygodniku „Nasza Polska”. Nie chcę zdradzać szczegółów, ale mogę zapewnić, że książka będzie pełna takich ciekawych, na ogół wstrząsających i tragicznych historii.

W Pana dotychczasowych publikacjach pojawiało się dużo nazwisk, życiorysów, opisów najczarniejszych dokonań ludzi poprzedniego systemu. To często wciąż wpływowe osoby. Nie ma Pan obaw przy publikacji kolejnej książki o oprawcach rodem z PRL?

Seryjny samobójca? Nie, nie boję się. Mimo prób zastraszania, telefonów z pogrózkami. Chociaż ich wpływy – wpływy bestii, dzięki okrągłostołowej grubej kresce „pierwszego niekomunistycznego premiera” Mazowieckiego i związanego z nim salonu – sięgają naprawdę daleko. Ale przedstawianie prawdy o tamtych mrocznych czasach, czasach ciemnej nocy stalinowskiej, to mój obowiązek. Uważam, że jeśli tych typków nie można w III RP skazać, to trzeba ich przynajmniej opisać.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Robert Wit Wyrostkiewicz

Wywiad ukazał się na portalu www.fronda.pl

Wstęp

Od lat należę do wiernych czytelników książek i artykułów Tadeusza M. Płużańskiego. Ten rodzaj publicystyki historycznej, jaki z oddaniem uprawia, uważam za najprawdziwszy z prawdziwych, wręcz arcykowski. Poświęcony jest bowiem losom wyjątkowego pokolenia Polaków, któremu przyszło zmagać się równocześnie z totalitaryzmem hitlerowskim i sowieckim oraz nową wewnętrzną okupacją. Poza tym szanuję autorów, którzy z wielką dbałością przywołują udokumentowane fakty i poruszają się wśród nich ze znanstwem i swobodą.

Pokolenie Ojca autora książki, prof. Tadeusza Płużańskiego, którego miałem zaszczyt poznać osobiście, było piękne, bo tragiczne zarazem. Prof. Tadeusz Płużański był więźniem Obozu Koncentracyjnego Stutthof. W jego losach widziałem jakby los własnego ojca, przedwojennego harcerza, więźnia KL Oranienburg Sachsenhausen.

Nie byłoby niepodległej, prawdziwie wolnej II Rzeczypospolitej, gdyby nie trwała wśród Polaków żywa, autentyczna pamięć o bohaterach powstańczych zrywów z roku 1830 i 1863. Pamięć ta wyzwoliła wielką moc ducha narodowego, który dał Polsce wolność i nowe siły na kolejne lata zmagania o państwo polskie w zrodzonym już w II RP pokoleniu Polaków. Pokolenie naszych rodziców i dziadków fascynuje mnie od zawsze. Niezmiennie podziwiam ich siłę moralną, autentyczne i bezinteresowne

umiłowanie Polski, i poświęcenie się Ojczyźnie na wzór bohaterów, w których micie zostali wychowani.

Należy ubolewać, że III RP nie wróciła do korzeni, że nie znajdujemy w niej kontynuacji – ani instytucjonalno–prawnej, ani duchowej – II Rzeczypospolitej. Z tego względu ta dzisiejsza Polska jest taka ułomna. Wciąż nie potrafi sprawiedliwie rozliczyć czasów zbrodni i kolaboracji z obcym naszej chrześcijańsko–łacińskiej kulturze sowieckim komunizmem. Niekiedy można nawet odnieść wrażenie, że nadal prowadzi walkę z polskim narodem.

Odrzucenie przez liberalno–postkomunistyczną większość sejmową projektu uchwały, aby w 150. rocznicę Powstania Styczniowego rok 2013 stał się rokiem szczególnej pamięci o tym narodowym zrywie, wystawia III RP, a konkretnie tzw. polskim lumpenelitom, jak najgorsze świadectwo.

Książka Tadeusza M. Płużańskiego „Bestie. Nieukarani mordercy Polaków”, ku mojej wielkiej radości, okazała się prawdziwym sukcesem wydawniczym. Ważne, że do książki zajrzeli tak licznie ludzie młodzi. Opisani w niej oprawcy hitlerowscy i stalinowscy kaci, mordercy w togach, Polacy zdrajcy, bolszewicy i donosiciele – owe tytułowe bestie – są tylko marnym, mrocznym tłem, nad którym jaśniejają ich ofiary, męczennicy „polskiej sprawy”, ludzie skromni, a wielcy duchem, niezłomni charakterem, bliscy niemal antycznym herosom. To oni zwyciężyli i zawsze będą zwyciężać, dzięki nim ludzkość trwa, a Polska – dumna z nich i godna – może czerpać nowe siły dla swojej wielkości.

Warto w tym miejscu, w przypadające w tym roku 400–lecie śmierci ks. Piotra Skargi, pisarza i kaznodziici, pierwszego rektora Kolegium Jezuitów w Wilnie, przypomnieć jego słowa: „Nie dlatego kochamy Ojczyznę naszą, Polskę, że nas żywi, ale dlatego, iż jest postanowienia Bożego”.

W nowej książce Tadeusza M. Płużańskiego „Zbrodnie bez kary” odnajdziemy kontynuację tematów poruszonych w „Bestiach”, a niekiedy rozwinięcie dramatycznych wątków historycznych o czasy współczesne. Znajdziemy opis haniebnych wydarzeń rozgrywających się w III RP, która nie stanęła na wysokości zadania. Nie tylko że nie rozliczyła winnych zbrodni na Polakach, ale stała się wręcz antytezą II RP. Tamta budowała, ta niszczy, tamta jednoczyła we wspólnym trudzie budowania dobra wspólnego, ta antagonizuje i demoralizuje.

Dlatego kolejna książka Tadeusza M. Płużańskiego jest tak ważna dziś i dla przyszłych pokoleń Polaków. Jest jak kompas, który niezależnie od jego właściciela wyznacza ciągle ten sam kierunek. Dla Polski jest to kierunek ku wielkości, tak jak wielkimi okazali się bohaterowie opisani przez Tadeusza M. Płużańskiego.

Wojciech Reszczyński
Warszawa 24.11.2012

Nieukarani mordercy Polaków

Od kilkunastu lat badam sprawy stalinowskich oprawców. Z niektórymi z nich rozmawiałem, ale głównie z ich ofiarami, rodzinami ofiar, bo to ich głos powinien dzisiaj być najmocniej słyszalny. Przyglądałem się śledztwom, procesom. Linii obrony byłych funkcjonariuszy komunistycznego systemu bezprawia, upokorzeniu (ponownemu) ich ofiar, które muszą udowodnić, że były prześladowane i bite, oraz bezsilności sądów. Ale czy na pewno to tylko bezsilność?

Sądowe „umarzalnie”

Wnioski są niestety mało pocieszające. Podstawowy jest taki, że przez 23 lata wolnej Polski nie udało się osądzić żadnego sędziego ani prokuratora, którzy w czasach stalinowskich skazywali polskich patriotów, choć prawo zakwalifikowało ich czyny jako komunistyczne zbrodnie sądowe i zbrodnie przeciwko ludzkości. Jeśli w ogóle postawiono im zarzuty, nie ponieśli żadnych konsekwencji karnych. Przepraszam, jeden sędzia został skazany, ale wyrok ten został uchylony. Pozostałych sądy – mimo twardego dowodów – uniewinniły albo umorzyły ciągnące się latami sprawy z powodu „braku ustawowych znamion przestępstwa” lub śmierci oskarżonych. Niektóre procesy zawieszono na czas

nieokreślony lub zwrócono akta do uzupełnienia. Jeden z sądów w ogóle odmówił rozpatrzenia sprawy... A przecież tu nie o zemstę chodzi, lecz o symboliczną sprawiedliwość.

W tej sytuacji wielkim sukcesem jest kilka wyroków na stalinowskich śledczych. Ale większość z nich zostało skazanych w jednej sprawie: słynnym procesie Adama Humera w 1996 r. A teraz jeden

z ostatnich przypadków – z maja 2011 r. Sąd skazał byłego szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Myślenicach na dwa lata więzienia za znęcanie się nad więźniem w 1946 i 1947 r. Ubek bił go rękami po twarzy i całym ciele, kopał, zginał palce rąk linijką, groził pozbawieniem życia i wyzywał wulgarnymi słowami. Wyrok nie jest prawomocny i sadyta prawdopodobnie nie trafi za kraty. Zresztą w toku procesu nie przyznał się do winy. Twierdził, że nigdy nikogo nie uderzył. W apelacji mogą

zwyciężyć „względy humanitarne” – że jest zbyt stary i schorowany, aby go skazywać. Bo taka „wykładnia” na ogół obowiązuje. Dlatego sądy III RP nieprzypadkowo nazywane są „umarzalniami”. Ale w innych też działa „sędziowska solidarność”.

Eugeniusz Chimczak, którego więźniowie Rakowieckiej zapamiętali jako jednego z najokrutniejszych śledczych,



Adam Humer



Eugeniusz Chimczak

prokuratorowi IPN przyznał, że pracował w MBP, ale żadnych szczegółów nie pamięta. Pytany o stosowanie przymusu fizycznego i psychicznego, odpowiadał: „nie było żadnego”. Sam nie bił, nie słyszał również, aby bili inni. Skazany na kilka lat we wspomnianym procesie Humera, z więzienia został przedterminowo zwolniony ze względu na... stan zdrowia. Dziś chodzi sobie spokojnie po Mokotowie, robi zakupy, pobiera wysoką, resortową emeryturę i śmieje się w twarz swoim ofiarom i sędziom III RP¹.

Jerzy Kędziora, sadysta z Rakowieckiej i tajnego więzienia MBP w Miedzeszynie, którego proces trwał przed sądem dla Warszawy-Mokotowa, odpowiadał na pytanie oskarżenia: – Dlaczego został pan wybrany do pracy w Miedzeszynie? – Prawdopodobnie dlatego, że dostrzeżono, że potrafiłem rozmawiać w trudnych, złożonych sprawach. Ofiara Kędziory, Wacław Sikorski, zeznawał w sądzie: – „Podpiszesz, taka twoja mać?”. Nie. Otwartą ręką huknął mnie w lewe ucho. O tu – Sikorski pokazuje sędzi aparat przy uchu. – Do dziś słabo słyszę. To jest po panu Kędziorze. Komu dał wiarę sąd? Oprawcy, czy jego ofierze? Po każdej rozprawie Kędziora – trzymany za rękę przez córkę i otoczony wianuszkami kolegów – towarzyszy z bezpieczeństwa – opowiadał, że kończy książkę o swojej pracy dla ojczyzny. Z pominięciem lat 1944-1956. – Ten okres wymazałem z pamięci – wyznawał na sądowym korytarzu².

¹ Oprawca z Mokotowa Eugeniusz Chimczak zmarł w wieku 91 lat w październiku 2012 roku. Został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Warszawie. Rodzina w ostatniej chwili zmieniła godzinę uroczystości. Tak, aby nikt nie „zakłócił” ostatniej drogi ukochanego męża, ojca i dziadka – bo takie kondolencje można było odczytać na szarfach. Stalinowski zbrodniarz Chimczak odszedł po cichu, ani jednego dnia nie spędziwszy za kratami. Czy nazistowscy mordercy mogli liczyć na taką bezkarność? Na pewno nie wszyscy.

² O Jerzym Kędziorze, sadyście z Rakowieckiej i Miedzeszyna, czytaj w dalszej części książki.

Mordercy z za biurka

Wracając do sędziów i prokuratorów – przecież oni należeli do tego samego aparatu terroru. Oni też mordowali, z tą różnicą, że nie znęcali się fizycznie i psychicznie, ale z za biurka. Przecież prokuratorzy oskarżali, a sędziowie wydawali wyroki na podstawie dowodów wymuszonych biciem przez „śledzi”, którzy często byli współautorami aktu oskarżenia. Przecież na skazanie jednego człowieka pracował cały aparat partii i państwa: począwszy od Bieruta, Radkiewicza, Romkowskiego, poprzez tajnych współpracowników, agentów celnych (kapusiów w więziennej celi), w końcu śledczych, sędziów i prokuratorów właśnie, a na obrońcach sądowych skończywszy. Dlaczego zatem jednych – oprawców z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – można skazać, a drugich – oprawców w togach – już nie?



Stanisław Radkiewicz



Roman Romkowski

W okresie stalinowskim niewłaściwy skład sądu nie przeszkadzał w wydaniu wyroku. Dziś błędy proceduralne minionej epoki bywają podstawą oskarżenia. Tylko z tego powodu (zamiast dwóch ławników w procesie brał udział tylko jeden)

można było w ogóle postawić przed sądem III RP prokuratora, który w 1948 r. żądał kary śmierci dla Witolda Pileckiego. Sam fakt, że Czesław Łapiński podzegał do mordu sądowego na rotmistrzu, świadomie dążąc do wyeliminowania niewinnego człowieka tylko dlatego, że był przeciwnikiem politycznym, dla systemu prawnego III RP nie ma żadnego znaczenia.

Powodem stosowania podwójnej miary w ściganiu stalinowców – skazywania śledczych, a pobłażliwości dla sędziów i prokuratorów – jest, obok wspomnianej solidarności zawodowej ludzi w togach (np. immunitet sędziowski, który do dziś ma bronić stalinowskich oprawców, jak sędzia Stefan Michnik), przede wszystkim wadliwe prawo. Po pierwsze – daje ono sądom dużą dowolność w orzekaniu na korzyść komunistycznych oprawców. Po drugie – i najważniejsze – nie potrafi ono uznać, że zbrodniarzem jest nie tylko ten, który strzela w tył głowy, nie tylko ten, który bije, kopie i topi w wannie. Pozbawić kogoś życia można również na drodze – wydawałoby się legalnej – procedury sądowej. Za stalinowskie zbrodnie tak samo odpowiedzialna jest np. prokurator Helena Wolińska, która „tylko” wydawała nakazy aresztowania. Ale w efekcie – jako jeden z trybów aparatu represji – przyczyniła się do stracenia innego bohatera Polski Podziemnej, gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, i prześladowania innych.

Niesprzyjający klimat

Prawo wolnej Polski musi zatem przyjąć zasadę, że cały powojenny system był zbudowany na bezprawiu. Dopiero, zagłębiając się w te mroczne czasy, widzimy, jak ta machina zbrodni działała. Widzimy np., że często granice między bandytą w mundurze oficera bezpieczeństwa z pistoletem i pałąką, i tym w mundurze

sędziego czy prokuratora wojskowego z długopisem i plikiem akt, zacierały się, gdyż ci sami oprawcy występowali w kilku rolach na raz. Np. Waław Krzyżanowski najpierw prowadził śledztwo, a potem oskarżał przed sądem. Niektórzy sędziowie – jak w sprawach z udziałem Waław Lango – zabijali (dosłownie) skazanych na sali sądowej. Niektórzy śledczy – jak Tadeusz Szymański czy Mieczysław Wybraniec – wykonywali wyroki. Kto zatem był bardziej okrutny: śledczy, który katował, prokurator, który na tej podstawie oskarżał, czy sędzia, który orzekał?

Wszyscy byli katami i tak powinni być traktowani przez sądy Rzeczypospolitej. Ale „klimat polityczny” znów nie sprzyja rozliczaniu komunistycznych zbrodni. Znów zwyciężają głosy broniące dawny układ, w stylu: „W SB pracowało wielu porządnym ludzi”.

„Nasza Polska” nr 42 (833) z 18 października 2011 r.

Dlaczego nie rządzą nami elity

Więźniowie, którzy mieli „szczęście” trafić zarówno do obozu niemieckiego, jak i sowieckiego, dostrzegali dziwne podobieństwo hasła: „Arbeit macht frei” („Praca czyni wolnym”) z „Czerez trud k oswoboźdzeniu” („Przez pracę do wolności”).

Ten drugi napis nie był przecież pomysłem niemieckim. Ktoś powie: bolszewicy wzięli go od nazistów, przerobili trochę, dostosowując do swoich potrzeb. Tymczasem inspiracje szły w drugą stronę – od Rosjan do Niemców. W dwudziestoleciu międzywojennym – również po 1933 r. – kwitła wszechstronna współpraca między Rosją i Niemcami, Niemcy szkolili się na sowieckich poligonach, testowali sowiecki sprzęt. Odwiedzali też sowieckie obozy koncentracyjne, podziwiając system GUŁAGU. Szukali wzorów i... je znaleźli. Wtedy zobaczyli napis: „Czerez trud k oswoboźdzeniu”. Ciekawy, głęboki, dwuznaczny. Wystarczyło przełożyć go na niemiecki i alles fertig.

**Polacy – pierwszy naród,
który doświadczył zagłady**

Oba totalitaryzmy łączyła ta sama ludobójcza idea. Dotknęła Polaków, doprowadzając do zniszczenia elit. Zagłady, holokaustu. Holokaustu Polaków...

„Większości ludzi słowo »Holocaust« kojarzy się z tragedią, jakiej doznali Żydzi pod niemieckim panowaniem w czasie II wojny światowej. Od strony psychologicznej zrozumiałe jest, że współcześni Żydzi chcieliby, aby termin ten odnosił się wyłącznie do losu ich narodu, przez co podkreśla się jego wyjątkowość. Ale odebranie innym prawa do używania słowa Holocaust prowadzi do tego, że straszliwe cierpienia Polaków, innych Słowian czy wreszcie Cyganów są często pomijane milczeniem lub całkiem zapomniane” – czytamy w książce Richarda C. Lukasa, pod znamienym tytułem: „Zapomniany Holocaust. Polacy pod okupacją niemiecką 1939-1944”. I dalej: „Gdy 1 września 1939 roku Niemcy hitlerowskie najechały na Polskę, jej mieszkańcy stali się pierwszym narodem w Europie, który doświadczył masowej zagłady, najazd ten miał bowiem zapoczątkować hitlerowską politykę systematycznego terroru, zniewolenia i eksterminacji ludności cywilnej na nienotowaną dotąd skalę”.

W dzisiejszym, postępowym świecie zdominowanym przez myślenie kategoriami religii żydowskiego holokaustu lub – w wersji świeckiej – przedsiębiorstwa holokaust („Holocaust Industry”), takie stawianie sprawy musi budzić szok. Jeszcze bardziej szokujące jest to, że autor, Lukas, nie jest Polakiem, tylko Amerykaninem, a książkę wydano w oryginale w języku angielskim na Zachodzie. Z wymienionych wyżej powodów „Zapomniany Holocaust”, przetłumaczony na język polski, nie został „zauważony” przez wpływowe u nas kręgi i przeszedł praktycznie bez echa.

Napis na bramie w Auschwitz wykonał Polak

Ale faktów przytoczonych przez Lukasa nic nie zagłuszy. Teza jest jasna: Polacy nie tylko doznali holokaustu, ale również

doświadczyli go od Niemców jako pierwsi. Tak było też w Auschwitzu. Obóz powstał z myślą o eksterminacji Polaków; pierwsze transporty były wyłącznie polskie; to Polaków zmuszano do budowy baraków; przez długie miesiące Polacy byli jedynymi więźniami – potworny holokaust Żydów miał miejsce później. Napis na bramie w Auschwitzu też wykonał Polak. Aż dziw bierze, że nikomu nie przyszło jeszcze do głowy, aby połączyć ten fakt z „polskimi obozami koncentracyjnymi”. Jakże pięknie by pasowało! I nie byłoby istotne, że Jan Liwacz, na wolności mistrz kowalstwa artystycznego, w obozie nr 1010, był więźniem i pracował pod batem niemieckiego kapo obozowej ślusarni, niejakiego Kurta Müllera. Także w Stutthofie do 1942 r. 90 procent więźniów było Polakami. Pierwszej egzekucji przy użyciu trujących gazów dokonano na 300 Polakach i 700 radzieckich jeńcach wojennych.



KL Stutthof pod Gdańskiem

Intelektualna pustynia

Przed najazdem na Polskę Hitler stwierdził bez ogródek: „Naszym podstawowym obowiązkiem jest zniszczenie Polski. Celem jest nie tylko zajęcie kraju, ale unicestwienie każdej żywej istoty... Bądźcie bezlitośni! Bądźcie brutalni... Postępujcie z najwyższą surowością... Ta wojna ma być wojną zagłady”. Zagłada Polaków zakładała, rzecz jasna, wytępienie elit. Generalny

gubernator Hans Frank przekazywał swoim podwładnym słowa Führera: „każdego przedstawiciela polskich elit należy zamordować”, a „ziemie polskie mają zamienić się w intelektualną pustynię” (Warszawa miała stać się prowincjonalnym miasteczkiem, zamieszkanym przez 100-200 tys. osób). Jak zauważa Lukas: „Niemcy bardzo szeroko rozumieli słowo »elita«; w ich pojęciu obejmowało ono większą część polskiego społeczeństwa: nie tylko nauczycieli, lekarzy, księży [tylko w Polsce hitlerowcy aresztowali dostojników kościelnych, aby zniszczyć duchowe przywództwo Polaków – TMP], oficerów, przemysłowców, ziemian czy pisarzy, ale również każdego, kto choćby uczęszczał do szkoły średniej. W efekcie celem eksterminacji stały się miliony Polaków mogących, według Hitlera, wyrzucić szkodliwy wpływ na resztę ludności”.



Palmiry – likwidacja polskich elit

Niszczenie Polski i jej elit to także niszczenie dóbr kultury, głodowe racje żywnościowe dla Polaków, systematyczna germanizacja. Polak często ginął za to, że nie ustąpił z drogi nadchodzącemu z przeciwka Niemcowi, albo że nie zdjął przed nim

czapki. Za takie „wrogie nastawienie” rozstrzeliwano nawet dzieci poniżej 16 lat. Na Francuzów czy Belgów Niemcy jakoś nie urządzali łapanek i nie strzelali do nich na ulicach.



Cmentarz zamordowanych w Palmirach

Niszczenia polskich elit Niemcy dokonywali w ramach akcji A-B. To wywózki profesorów krakowskich uczelni do Sachsenhausen, zamordowanie profesorów lwowskich na Wzgórzach Wuleckich, podwarszawskie Palmiry. To odpowiedniki sowieckiego Katynia. Bo taki sam ludobójczy plan miał wobec Polaków Lenin, a potem Stalin. Plan ten, po klęsce Sowietów w 1920 r. pod Warszawą, ziścił się jesienią 1939 r., ukryty w tajnych załącznikach do paktu Ribbentrop–Mołotow. Tak naprawdę nie był to żaden pakt, ale regularny traktat międzynarodowy. Ale słowo „pakt” brzmi lepiej – jako coś mniej zobowiązującego, mniej ważnego. To podstawowy element składowy bagatelizowania zbrodni sowieckich i bezsprzecznego faktu, że Stalin jest współwinny wybuchu II wojny światowej i planowego niszczenia Polski i jej elit. Bo bez jego „wsparcia” wojna mogła w ogóle nie wybuchnąć.

Sowieci mieli więcej czasu...

Lukas: „Praktycznie każda polska rodzina miała kogoś, kto był torturowany i stracony w obozie”. Tak samo było pod okupacją sowiecką. Tak było z Witomiłą Wołk-Jezierską. Jej ojciec, por. Wincenty Wołk, był słuchaczem Mazowieckiej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii im. gen. Józefa Bema w Zambrowie. Życie wypełniała mu nauka, żołnierska dyscyplina, szacunek dla tradycji, patriotyzm. Tacy jak on byli żołnierze Niepodległej. Wtedy, niestety inaczej niż dziś, bohaterstwo i poświęcenie dla ojczyzny było w cenie. Otoczone szacunkiem, pamiętane. Świętowano powstania narodowe, walkę o odzyskanie niepodległości i Cud nad Wisłą. Po 1935 r. doszła do tego jeszcze jedna – tym razem smutna – data: śmierć Marszałka. Bo podchorąży był kimś, był – jakbyśmy dziś powiedzieli – zawodem zaufania publicznego. Tak jak urzędnik, policjant, nauczyciel cieszył się powszechną estymą.



Sowieci też wymordowali kwiat naszego narodu.
Na symbolicznej tablicy w Zambrowie można odnaleźć
nazwisko Wincentego Wołka

Dziś takiego Marszałka i takich elit nie ma. Wincenty Wołk zginął w Katyniu. Bo Stalin w nie mniejszym stopniu odpowiada za holokaust Polaków. Sowietci mieli więcej czasu – podczas II wojny światowej i przez długie 40 lat po niej. Dokonane przez nich zniszczenia są większe, choć na ogół słabo – bądź wcale – uświadomione. To też planowa eksterminacja Polaków, a przede wszystkim naszych elit. Najgroźniejszych przywódców trzeba było zamordować, innych wystarczyło przerobić na homo sovieticus. Zniszczyć ciało, ale jeszcze bardziej ducha. Rotmistrz Witold Pilecki, dobrowolny więzień Auschwitz, po wojnie katorwany fizycznie i psychicznie w stalinowskim więzieniu na Rakowieckiej, powiedział: „Oświęcim to była igraszka”. Skutki sowieckiego planu zagłady polskości, polskiego holokaustu, odczuwamy do dziś. W postaci zgubnego relatywizmu, braku przywiązania do tradycji, wartości. Poparcia dla Platformy i jej lewego ramienia – Palikota, co „owocuje” kolejnymi haniebnymi wojnami o krzyż. A druga fala kryzysu już puka do naszych drzwi.



Pomordowanym na Wschodzie

W wyniku II wojny światowej, wywołanej przez oba zbrodnicze totalitaryzmy, zginęło ok. 6 mln obywateli polskich, czyli ok. 20 proc. ogólnej liczby mieszkańców – największy odsetek ze wszystkich krajów okupowanej Europy. Około połowę ofiar stanowili rodowici Polacy, pozostałe 50 proc. – polscy Żydzi. Polska straciła 45 proc. lekarzy, 57 proc. prawników, ponad 15 proc. nauczycieli, 40 proc. profesorów, 30 proc. techników i 18 proc. księży. Zginęła większość dziennikarzy. To dlatego właśnie nie rządzą nami elity.

„Nasza Polska” nr 45 (836) z 8 listopada 2011 r.

„Wyborcza” nie promuje już Grossa?!

Mamy jak w banku, że razem z nową książką „profesora” J. T. Grossa „Złote żniwa” antypolska kampania nienawiści rozkręci się na całego. Jak w przypadku jego najgłośniejszej książki – „Sąsiadów”. Przypomnijmy, kto wówczas był admira-torem kłamstw Grossa, kto i dlaczego mu kibicował.

Najpierw przypomnijmy, dlaczego kłamstwa uderzyły w Jedwabne – małe miasteczko w łomżyńskim. Na ziemiach polskich dokonano w czasie ostatniej wojny milionów zbrodni. Wiele z nich – szczególnie te, które miały miejsce na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej (najpierw pod okupacją sowiecką, a potem niemiecką) pozostaje do dziś niezbadanych. One też stanowiły za komuny temat tabu. Wy tłumaczenie, że ten konkretny mord był najstraszniejszy, wyjątkowy, też nie znajduje potwierdzenia w faktach. Po wejściu Niemców na polskie tereny okupowane wcześniej przez Sowietów takie wydarzenia były niestety regułą.

W trakcie trwania kampanii nienawiści prymas Józef Glemp ujawnił, że już rok przed książką Grossa słyszał o planowanym nagłośnieniu zbrodni w Jedwabnem. A gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. W Polsce trwał właśnie bój o kształt ustawy reperywatyzyacyjnej. Jedwabne miało być jednym ze środków nacisku na polskich polityków, aby majątki zwracać

przede wszystkim Żydom – nie zmarłym właścicielom i ich rodzinom, ale uzurpatorskiemu Przedsiębiorstwu Holocaust.



Dwa pomniki w Jedwabnem: ofiar polskich i żydowskich

Glempa zaatakowała „Gazeta Wyborcza”. Piotr Stasiński beszał: „Prymas powtarza (...) zdania zawierające fałszywe stereotypy i nietrafne sądy. Powiada: Żydzi też powinni przeprosić. By uzasadnić to stanowisko powtarza złe, stare klisze i wikła się w sprzeczności”. Te „złe, stare klisze” to np. fakt współpracy niektórych Żydów z bolszewikami w czasie wojny, a po wojnie ich znaczący udział w kierownictwie UB.

Teraz TVN

Antypolski spektakl trwał w publicznej telewizji. Mimo, iż wcześniej raczej stroniła od historii, tym razem wysłała do małego miasteczka Jedwabne swojego korespondenta i w prawie każdym wydaniu „Wiadomości” podawała rewelacje o mordzie sprzed lat, nawet gdy nic nowego w sprawie się nie działo. Głównym nośnikiem Jedwabnego była jednak „Gazeta Wyborcza”. Codziennie bombardowała nas wiadomościami

o mordzie, tak jakby był to kluczowy problem polskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej.

Szał Jedwabnego zdominował życie polityczne. Prezydent, przywódcy SLD i rozpadającego się AW„S” też – chcąc nie chcąc – musieli odnosić się do tej kwestii. Każdy historyk, socjolog, publicysta, czy tzw. autorytet moralny, który chciał być na topie, poczytywał sobie za obowiązek zabranie głosu w kwestii Jedwabnego.

Najaktywniejsza była oczywiście Unia Wolności. Jej szef Bronisław Geremek podgrzewał atmosferę proponując, aby liderzy głównych partii politycznych spotkali się pod patronatem prezydenta i uzgodnili wspólne stanowisko polskich parlamentarzystów w sprawie Jedwabnego.

Teraz atak przypuszczono z innej strony. Kampanię promującą „Złote żniwa” rozpoczęła nie „GW”, ale TVN. Czyżby panowie Gross i Michnik pokłócili się? A może ten ostatni przestał widzieć w tym geszeft? Albo obraził się, że to nie on wydaje swojego marcowego kolegę, tylko „Znak”? Lub jest to – stosując spiskową teorię dziejów – sprytny zabieg, mający zmylić przeciwnika i wykazać, że za sprawą nie stoi wpływowa mniejszość narodowa. Tak, czy owak, w dzienniku Michnika nie ma słowa o nowej książce Grossa. Ktoś dał się nabrać? Przecież to cisza przed burzą.

Kto i kiedy nam przebaczy

Oby „Złote żniwa” nie skończyły się tak jak „Sąsiedzi” – wymuszaniem zbiorowych przeprosin. Bo podatny grunt znów zaistniał. Prezydent Komorowski chętnie – nawet przez nikogo nieprzymuszany – jest zdolny powiedzieć, że wszyscy Polacy okradali Żydów, bo są antysemitami.

W kwestii „Sąsiadów” kampania przeprosin trwała kilka miesięcy i zakończyła się kajaniem ówczesnej głowy państwa – Kwaśniewskiego – na miejscu mordu. Ten piękny gest, uczyniony niestety w imieniu nas wszystkich, nie był możliwy bez odpowiedniej podgatowki. Tu też prym wiodła rzecz jasna „Wyborcza”. Zaczęło się bodaj od cytowania metropolity lubelskiego abp. Józefa Życińskiego mówiącego „o konieczności przeproszenia w imieniu Polaków za mord w Jedwabnem”. Potem przyszedł czas na prezesa IPN. Podczas podróży po Stanach Zjednoczonych co chwila przepraszał Żydów. W jednym z wywiadów prof. Leon Kieres – wzorem Michnika – stwierdził, że choć sam nie może pamiętać tych wydarzeń, osobiście czuje się odpowiedzialny za Jedwabne.

W jednym z tekstów o Szmulu Wasersztajnie – który nie był naocznym świadkiem wydarzeń, tylko Gross i Michnik traktowali go bezkrytycznie – a jego relacja stała się podstawą „Sąsiadów”, Anna Bikont napisała: „To prawda, nie jest najbardziej wiarygodnym świadkiem: miesza to, co sam widział, z tym, co usłyszał od innych, i z tym, co sobie wyobraził”, ale „dzięki niemu została ujawniona zbrodnia w Jedwabnem”. Tak „się robi” historię.

Mimo, iż śledztwo IPN zaczęło już odkręcać grossowe kłamstwa, „GW” nie spuszczała z tonu. Szczególny był komentarz na pierwszej stronie, pt. „Rachunek sumienia”: „Zdobyliśmy się na uczciwość w ujawnieniu prawdy sprzed 60 lat. Teraz okazuje się, że choć opis Grossa był przesadzony, np. faktyczna liczba ofiar była znacznie mniejsza, to główna teza pozostaje niestety prawdziwa – to grupa Polaków z Jedwabnego na oczach całego miasteczka [nigdy nie dowiedzieliśmy się, skąd ta informacja!? – TMP] dokonała mordu na żydowskich sąsiadach. Tak przejawiał się polski antysemityzm. (...) Nie wiem, kto i kiedy nam przebaczy. Naszą odpowiedzią na Jedwabne powinno być

– żadnej tolerancji dla antysemityzmu. Wierzę, że jedwabiński rachunek sumienia w tym pomoże”. Nie. Nie napisał tego np. premier Izraela Ariel Szaron, ale Piotr Pacewicz.

„Gazecie Wyborczej” wtórował tygodnik „Wprost”. W jednym z tekstów J. S. Maca mogliśmy przeczytać: „Polacy ze swą ksenofobią i nigdy niewyplenionym antysemityzmem pasują do wschodnioeuropejskiego otoczenia”, „Kres zbrodniom [Polaków na Żydach – TMP] z reguły kładli Niemcy, jeżeli uznali, że na razie wystarczy”.

Długa historia antysemityzmu

W końcu, po paru miesiącach wyniki jedwabnego śledztwa ogłosił IPN. Ponieważ nie pasowały pod tezę – Polacy okazali się przymuszonymi do mordu przez Niemców współsprawcami, rozpięta się nowa fala antypolonizmu – już nie tylko w Polsce, ale także na świecie.



W jerozolimskim Instytucie Yad Vashem dominują drzewka Polaków pod karą śmierci ratujących Żydów z rąk niemieckiego okupanta

„New York Times” pisał: „Polacy mieli się dotąd wyłącznie za ofiary zbrodni zarówno nazistowskich, jak i sowieckich, nigdy zaś za sprawców. Historia, która zdarzyła się w regionie (Jedwabnego) po wycofaniu się wojsk radzieckich i przed wejściem Niemców zachwiała tymi przekonaniem”. „NYT” silił się jednak na obiektywizm i dodawał, że „liczni Żydzi w regionie Białegostoku sprzymierzyli się z Rosjanami, a po wyjściu Armii Czerwonej miejscowi Polacy, zachęceni przez Niemców, wzięli odwet”. Nowojorski dziennik cytował Michaela Schudricha, wówczas rabina Warszawy i Łodzi: „W debacie (o mordzie w Jedwabnem) Polska musiała sobie sama poradzić z własną duszą. Zdała ten sprawdzian”. Jakże piękne były te słowa otuchy!

Ale nie wszyscy Żydzi byli tak „dialogowi”. Najbardziej wpływowa organizacja żydowska – Światowy Kongres Żydów (WJC), zaapelowała do polskiego rządu o kontynuowanie badań nad „polskimi zbrodniami wobec Żydów, aby Polska i cały świat poznały w końcu prawdę”. Sekretarz tegoż kongresu dr Beker jedwabne śledztwo nazwał „testem zbiorowej narodowej pamięci Polski”, a jego rezultaty „historycznym krokiem w międzynarodowej misji konfrontowania przeszłości z prawdą”. Napisał również: „Ponieważ Auschwitz symbolizuje nazistowskie panowanie w Polsce w okresie holokaustu, umożliwiło to Polakom tłumienie pamięci i unikanie konfrontacji z rolą odgrywaną przez polskich kolaborantów, a czasami, jak w Jedwabnem, zwykłych morderców”. Jak wiadomo „polskich kolaborantów” – a do tego antysemitów – i to nie tylko zwykłych, ale zoologicznych było na pęczki. I dalej: „Jeszcze bardziej pilnym zadaniem jest, by polskie zbrodnie wobec Żydów były badane i rozważane przez polskie społeczeństwo, dostarczając moralnych lekcji i prowadząc do narodowej wiedzy o holokaucie. (...) Studia o stosunkach polsko-żydowskich powinny obejmować wszystkie ich aspekty: setki lat prawdziwego współlistnienia, długą historię antysemityzmu,

udział Polaków w zniszczeniu polskiego żydostwa oraz odważną rolę sprawiedliwych Polaków (ratujących Żydów w czasie okupacji)”. Ciekawe, jakaż to „długa historia antysemityzmu” (czy dłuższa od „setek lat współlistnienia”?), i jak należy rozumieć stwierdzenie o „udziale Polaków w zniszczeniu polskiego żydostwa” – czyżby polską współodpowiedzialność za holocaust?

Z kolei wiceprzewodniczący WJC Kalman Sultanik wyraził nadzieję, że sprawcy zbrodni w Jedwabnem zostaną ukarani. Szkoda, że swoich apeli nie zgłosił do władz niemieckich.

Oprotestowany napis

Mimo IPN-owskich ustaleń jerozolimski instytut Yad Vashem pozostawał głuchy na prawdę: „Śledztwo polskiego Instytutu Pamięci Narodowej dowodzi, że masakry w Jedwabnem dopuścili się Polacy. Masakra ta należy do najbardziej przerażających, bowiem chodzi o mord (popelniony przez) sąsiadów, a zamordowani nawet znali ich osobiście po imieniu i nazwisku. To jeden z najbardziej przerażających aktów antysemityzmu w tamtych dniach. (...) Synowie polskiego narodu, aczkolwiek sami ofiary nazistowskiej agresji, w ten sposób stali się wykonawcami zbrodni”.

Mimo IPN-owskiego śledztwa „Gazeta Wyborcza” dalej uporczywie lansowała swoją (Grossa) wersję wydarzeń. Pacewicz we wstępniaku – znów na pierwszej stronie – oburzał się, że w proponowanym (podkreślić trzeba, że bardzo kompromisowym) napisie, upamiętniającym zbrodnię w Jedwabnem) była mowa o „nazizmie niemieckim, który rozpałił grzech nienawiści, ale sam grzech – antysemityzm Polaków – nie został nazwany. Powstaje wrażenie, że winni są naziści”. Prominentny, rodzący zawsze po ludzku dziennikarz „GW” proponował, abyśmy nadal bezkrytycznie powtarzali – wbrew faktom – że mordu

w Jedwabnem winne jest wyłącznie polskie społeczeństwo Jedwabnego. Ten antypolski serial trwał jeszcze długo.

Jeszcze w kwestii jedwabnego napisu. Cały tekst inskrypcji brzmiał: „Pamięci Żydów z Jedwabnego i okolic, mężczyzn, kobiet, dzieci, współgospodarzy tej ziemi, zamordowanych oraz żywcem spalonych w tym miejscu 10 lipca 1941 roku. Ku przestrodze potomnym, by rozpalony przez niemiecki nazizm grzech nienawiści już nigdy nie obrócił przeciwko sobie mieszkańców tej ziemi. Jedwabne 10 lipca 2001”. Drugą część napisu (od słów „Ku przestrodze...”) blokowała (i ostatecznie zablokowała) nie tylko „GW”, ale wspomniany już Michael Schudrich i Yad Vashem. Informacji o polskich mordercach domagał się również Europejski Kongres Żydów (CJE), współprzewodniczący Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów Stanisław Krajewski, oraz kierownik Katedry Ekumenicznej Uniwersytetu Kardynała Wyszyńskiego w Warszawie ks. prof. Michał Czajkowski, zdemaskowany potem jako tajny współpracownik bezpieki.

Historyk, prof. Andrzej Paczkowski oceniał: „Nie tylko Polacy są winni mordu w Jedwabnem. Napis, iż to oni dokonali mordu Żydów odbiegałby daleko od rzeczywistości 10 lipca 1941 r. Uznanie, że było to jedno z najstraszniejszych wydarzeń antysemitycznych w dziejach drugiej wojny światowej jest grubą przesadą, bo holokaust był niewątpliwie straszniejszym wydarzeniem”.

Żaloszny Strzembosz i zbrodnie „Ketmana”

Dziennikarz roku 2010 Artur Domosławski, w paszkwiłu na nieżyjącego już historyka prof. Tomasza Strzembosza (19-20 maja 2001), napisał: „Niektóre „dowody” niemieckiej winy podnoszone przez Strzembosza, jak np. łuski w okolicach stodoły wywołują śmiech [Strzembosz sam nie „podniósł” owych łusek, ale znaleziono

je podczas ekshumacji w Jedwabnem i stały się one dowodem w śledztwie prowadzonym przez IPN – TMP] – mówimy wszakże o latach wojny – ciągnie wszechwiedzący Domosławski – łuski mogły być czyjekolwiek, skądkolwiek, niekoniecznie z niemieckiej broni palnej [potem przeważyła wersja, że łuski pochodziły z broni należącej do Niemców i to oni strzelali – TMP]”.



Tomasz Strzembosz

Aby dowieźć swojej głównej tezy (że Strzembosz jest antysemitą), Domosławski przywołał inny paszkwil – swojego redakcyjnego kolegi: „Gdy więc publicysta „Gazety” Michał Cichy opublikował w 1994 r. poruszający szkic „Polacy-Żydzi: czarne karty powstania”, w którym opisywał przypadki zbrodni powstańców, m. in. z oddziału kpt. „Hala”, na Żydach, Strzembosz zareagował agresywną polemiką. Podważał fakty bądź nadawał im pokrętne sensy [rzetelne badania historyczne zweryfikowały tezy tego „poruszającego szkicu” – TMP]”.

Inny „autorytet” – Dominika Wielowieyska, na tych samych łamach niby atakowała Domosławskiego i niby broniła Strzembosza: „Strzembosz wypowiada żądania, aby Żydzi nas przeprosili i, co gorsza, przypomina, że zdarzało się, iż Żydzi współpracowali z sowieckim okupantem. To żałosny, niemądry odruch obronny Strzembosza... [ale przed czym profesor niby miał się bronić?; bo na antypolonizm miał jedną receptę – prawdę – TMP]”. Wystarczy przypomnieć, że np. w 1944 r. sowiecko-żydowska „partyzantka” dokonała brutalnego mordu na mieszkańcach polskiej wsi Koniuchy w Puszczy Rudnickiej. A za to też nas nie przeprosili. Inaczej było z Jedwabnem: niezależnie od tego, jaka jest prawda, Polacy przeprosić muszą. Przeprosiny obowiązują tylko w jedną stronę.

Żeby tego było mało. Lesław Maleszka („Ketman” z „Wyborczej”) w kolejnej „polemice” na temat Strzembosza do „polskich okrucieństw i zbrodni” zaliczył akcję „Wisła”, „polskie obozy koncentracyjne dla Niemców” w Łambinowicach i Świętochłowicach, śmiejąc się z argumentacji, że dokonali tego komuniści, komunistyczne UB. Dla „Ketmana” powojenna Polska była krajem suwerennym, a nie okupowanym przez Sowieców. „Ketman” Maleszka przypomniał również – a jakże – „zbrodnię na Żydach popełnioną przez oddział AK w czasie powstania [warszawskiego – TMP]”. Wyciągnął stąd wniosek, że „patriotyzmu czasem trzeba się bać”. To przykład tekstu, który miał służyć pojednaniu. A, że kłamliwy, to już nieistotne.



W grupie studentów Bronisław Wildstein (w środku)
i Lesław Maleszka (po prawej)

Aby młodzi Polacy nie byli tak antysemitami, jak ich dziadkowie i ojcowie fundacja Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie bez barier” zorganizowała wyjazd 20 uczniów gimnazjum z Jedwabnego do USA. Po rozmowach z dziećmi pani prezydentowa stwierdziła, że obecnie wstydzą się przedstawić: „jestem

z Jedwabnego” a wizyta miała sprawić, że nie będą już żyli „piętnem Jedwabnego”. Czy sprawiła, można wątpić? Ta jakże cenna inicjatywa była częścią programu tzw. „szkoły tolerancji”.



„Polski obóz koncentracyjny” w Łambinowicach

Gdzie się podziała reszta?

Wbrew faktom J. T. Gross szedł w zaparte: „Niemcy nigdy nikogo nie zmuszali do mordowania Żydów. Pomysł [Gross nazywał tak liczne, zignorowane przez siebie dowody niemieckiego sprawstwa – TMP], że masa ludzi [jak wykazał prof. Strzembosz ok. 23 osób – TMP] została zmuszona przez Niemców do mordowania Żydów nie ma nic wspólnego z rzeczywistością historyczną tej epoki”.

A co Gross na to, że większość pogromów na Podlasiu była inspirowana i przeprowadzana przez Niemców?: „Z punktu widzenia wiedzy historycznej byłoby „łatwiej”, gdyby to zrobiło

jakieś komando niemieckie przy jakimś udziale Polaków. Bo byłoby to wpisywalne w ogólną historiografię tego okresu”.

Rzetelne (a nie wybiórcze) podejście prof. Strzembosza do źródeł Gross nazwał „nowatorskim wglądem”. W rzeczywistości to ostatnie określenie należy odnieść do postawy tego ostatniego, który afirmował relacje ofiar, ale tylko tych żydowskich. Zacytujmy: „Inspirująca rola jest ważna i należy ją odnotować [Gross w końcu potwierdził rolę Niemców, choć tylko po to, aby ją „odnotować”, a nie badać – TMP], ale mordowaniem zajmują się miejscowi i wiemy nawet kto”. Albo: „Oczywiście jakiś Niemiec mógł tam kogoś uderzyć, nawet zastrzelić (...) Ale sprawcą tej potworności była miejscowa ludność”.

Na zarzut, że liczba ok. 300 Żydów (tyle ofiar ustalono w wyniku śledztwa) a 1600 (tyle podał Gross) odpowiedział w sposób wybitnie naukowy: „Można tylko powiedzieć, że im ich mniej zabito, tym lepiej. Ale powstaje pytanie: jeśli zginęło kilkuset, to gdzie się podziała cała reszta?”

Odpowiedź znajdujemy w książce „Jedwabne w oczach świadków” autorstwa księdza Eugeniusza Marciniaka: „Kiedy miał nastąpić ten marsz do stodoły, Niemcy spośród młodych Żydów wybrali kilku najsilniejszych. (...) Chociaż, prawdę mówiąc, nie było ich wielu, bo prawie wszyscy młodzi, którzy wcześniej już należeli do NKWD, uciekli z Sowietami”.

Mimo tych faktów Gross oczywiście nie przeprosił oskarżonego przez siebie „społeczeństwa” Jedwabnego. Przynajmniej za to, że nie przedstawił całej prawdy, a tylko jej wycinek.

Kampania przeciwko Polakom jednak nie słabła. Ponieważ z Jedwabnem sprawa się „skomplikowała”, przyjaciele naszego kraju wyciągnęły przykład sąsiedniej wioski – Radziłowa, gdzie trzy dni przed Jedwabnem doszło do antyżydowskich wydarzeń. Liczyli na to, że może gdzie indziej uda się wykazać polskie sprawstwo zbrodni, a potem... odzyskać utracone w Polsce

mienie. Przedsiębiorstwo Holocaustu nie śpi.

Reporterką „Wiadomości”, chcąc wyprzedzić innych wścibskich, zapytała sekretarza Rady Ochrony Walk Pamięci i Męczeństwa – czy napis na pomniku („faszyści zamordowali 800 osób narodowości żydowskiej z tych 500 osób spalili żywcem w stodole. Cześć ich pamięci”) powinien się zmienić? Andrzej Przewoźnik odparł, że „na razie nie ma takich przesłanek”. A prezes Kieres tłumaczył: „Rozważamy możliwość wszczęcia śledztwa w tych sprawach, żeby nie spotkała nas taka sytuacja, jak w przypadku Jedwabnego. Nie chcę dopuścić do tego, żeby najpierw ukazała się książka dotycząca Radziłowa i innych miejscowości”. To chyba odwrócenie kota ogonem. A może też wynik nacisków?



Pomnik bohaterów getta
w Yad Vashem

Wybitny historyk, wybitny humor

Przypomnijmy jeszcze jedną sprawę, o której też się dziś nie wspomina. Sprawę sądowego pozwu, który przeciwko Grossowi złożył Kazimierz Laudański – za pomówienie swojego ojca – Czesława Laudańskiego o udział w jedwabnym mordzie.

„Po powrocie z sowieckiego więzienia ojciec był ciężko chory i leżał w łóżku. Dodatkowo prof. Gross włożył mu w usta słowa,

których nigdy nie wypowiedział” – argumentował Kazimierz Laudański.

W „Sąsiadach” Gross – ten „wybitny historyk” (jak wynika z biogramu na końcu książki) napisał: „Wokół stodoły, jak pamiętamy, krążył gęsty tłum naganiaczy, który zmaltretowanych Żydów zapędzał i upychał do środka. „Przygnaliśmy żydów pod stodołę” – miał powiedzieć Czesław Laudański, a potem, że „kazali wchodzić, co i żydzi byli zmuszeni wchodzić”. Ciekawe tylko, kto kazał?

Wcześniej były procesy o rzekome kłamstwo oświęcimskie, teraz doczekaliśmy się spraw o prawdziwe kłamstwo – antypolskie, jedwabne. Bo za popularność też trzeba płacić, niekoniecznie w sensie materialnym (Laudański domagał się jedynie symbolicznego odszkodowania w wysokości 1 zł., oraz przeprosin na łamach polskiej i amerykańskiej prasy i usunięcia z „Sąsiadów” nieprawdziwych informacji).

Co na to Gross? Oczywiście nie przyznał się do tego, jak i innych „błędów”, twierdząc, że Czesław Laudański „owego feralnego 10 lipca najwyraźniej jednak wstał z łóża bóleści i pognął pod stodołę”. „Wybitny historyk” błysnął wybitnym humorem.

Sąd uznał jednak, że wprawdzie doszło do naruszenia dóbr osobistych powoda i jego ojca, ale działanie Grossa nie było bezprawne, a jego „Sąsiedzi” to „prawda historyczna”. – Powód podnosił, że jego ojciec został uniewinniony w 1949 r., ale strona pozwana słusznie podnosiła, że wyrok uniewinniający nie jest dowodem na to, że osoba nie popełniła danego czynu – mówił sędzia. Zaiste, ciekawe to rozumienie sprawiedliwości, zwłaszcza w wydaniu sędziego. Tak więc Gross nie musiał przeproszać oskarżonych przez siebie Polaków, „społeczeństwa” Jedwabnego, ani rodziny Laudańskich. Czy za chwilę będziemy musieli przeproszać za „Złote żniwa”?

Do dziś kłamią o Powstaniu Warszawskim

„Jednym z celów powstańców było mordowanie Żydów” – ta teza do dziś jest sztandarowym przykładem kłamstwa III RP o godzinie „W”. Kłamstwo wyszło spod pióra dziennikarza „Gazety Wyborczej” Michała Cichego na 50. rocznicę niepodległościowego zrywu w stolicy. Zadaniem autora było „udowodnienie”, że żołnierze Armii Krajowej (czytaj: Polacy) byli antysemitami. Ta akcja robienia z nas narodu morderców trwa do dziś. Ostatnia jej odsłona miała miejsce miesiąc temu w Jedwabnem.



Tak Niemcy obchodzili się z ludnością cywilną.
Na zdjęciu rzeź Woli - rekonstrukcja

W artykule „Polacy – Żydzi: Czarne karty powstania” (29–30.01.1994), świeżo upieczony historyk Cichy, zgodnie z zapowiedzią swojego protektora Adama Michnika, ujawniał „pełną prawdę” o Powstaniu Warszawskim. Tekst był kontynuacją przemyśleń Cichego, zawartych w recenzji wspomnień Calela Perechodnika (15.12.1993). Cichy napisał, że ten żydowski policjant z getta „przetrwał nawet Powstanie Warszawskie, kiedy AK i NSZ wytlukły mnóstwo niedobitków z getta”. W „Czarnych kartach” tylko pozornie wycofał się z tych kalumnii – uznał, że Żydów mordowały nie całe organizacje, ale niektórzy ich członkowie.

„Głowę daję sobie uciąć”

Dla tego „obiektywnego” historyka człowiek w mundurze musiał być AK-owcem, a nie np. zwykłym szabrownikiem lub członkiem AL. Ale w publikacji nie chodziło przecież o fakty, ale o stworzenie odpowiedniego klimatu. Kapitan „Hal” (Wacław Stykowski, w Powstaniu dowódca batalionu AK im. gen. Józefa Sowińskiego), zdaniem Cichego odpowiedzialny, a przynajmniej współodpowiedzialny za mord na kilkunastu Żydach „miał kwaterę w magazynach browaru »Haberbush i Schiele«. Było to powstańcze eldorado, pełne żywności i alkoholu”.

Jednym z „dowodów” mordu miała być, podważana przez poważnych historyków, relacja dowódcy innego oddziału AK: „Głowę daję sobie uciąć, że to te dranie z przybocznej bojowy »Hala«”. Większość cytowanych przez Cichego relacji nie pochodziła od bezpośrednich świadków zdarzenia, część od niewiarygodnych historyków (Bernard Mark) albo ze wspomnień Żydów, które były po wojnie „uzupełniane” (m.in. przez wychowanych w stalinowskiej Polsce historyków z Instytutu Yad Vashem).

Artykuł napisany w imię „prawdziwego porozumienia” wywołał wielkie oburzenie, choć „Wyborcza” starannie łagodziła krytykę, dopuszczając do dyskusji tych historyków, którzy albo zgadzają się z linią gazety, albo są specjalistami w innych dziedzinach. Żaden z nich nie sięgnął do dokumentów i nie zweryfikował rewelacji Cichego. Jedyнным rzeczowym głosem w dyskusji była replika prof. Tomasza Strzembosza, który sprzeciwił się pisaniu historii na podstawie pomówień i nieudowodnionych faktów, gdyż prowokuje to zarówno antysemityzm, jak i antypolonizm.



„Czarne karty” kontra pamięć o bohaterach.
Godzina „W” na Warszawskich Powązkach

„Faszystowscy skrytobójcy”

Na innych łamach ukazała się odpowiedź prof. Jacka Trznadła, który artykuł Cichego uznał za jedno z wielu fałszerstw „Gazety Wyborczej” (tak jak określanie Powstania Warszawskiego „Drugim Powstaniem Warszawskim”, wtórnym wobec powstania w getcie warszawskim).

W książce „Paszkwil Wyborczej” Leszek Żebrowski udowodnił, że Cichy dokonał wielu manipulacji, m.in. wyjmował zdania z kontekstu, jedno słowo opuszczał, a inne dopisywał (to samo redakcja zrobiła potem z niektórymi listami w tej sprawie). Cel był jasny: wszystko musiało pasować do z góry założonej i jedynie słusznej tezy. I oczywiście miało służyć „prawdziwemu porozumieniu” i „pełnej prawdzie”. Jakże przypomina to tworzenie dokumentów przez UB, które chciało „udowodnić”, że AK-owcy współpracowali z hitlerowcami.

„Komenda Główna AK i cały obóz reakcyjny robiły, co mogły, aby paraliżować walkę narodu polskiego, walkę polskich mas ludowych przeciwko najazdowi hitlerowskiemu, aby działać na szkodę Związku Radzieckiego”. Jednak: „Nie można było powiedzieć żołnierzom i oficerom AK, których werbowano do szeregów pod hasłem walki z Niemcami, że mają bić się po stronie Niemców – bo wtedy żołnierze i oficerowie po prostu splunęliby i opuściliby szeregi AK. Wśród sanatorów, a tym bardziej ich konkurentów z NSZ, bardzo blisko związanych z hitlerowską Gestapo, było dużo kandydatów na polskich quislingów, na marionetki hitlerowskie. Ale ci kandydaci nie mieli oparcia w narodzie. O wiele większe znaczenie dla hitlerowców miało powiązanie z takimi grupami sanacyjnymi, które tkwiły głęboko w ruchu podziemnym i nie deklarowały się jawnie po stronie Hitlera. (...) Terror okupanta, bojówki NSZ i AK, faszystowscy skrytobójcy potrafili usunąć z szeregów walczących wielu dzielnych i ofiarnych bojowników sprawy Polski Ludowej. (...) Reakcja polska liczyła wtedy na rozpętanie wojny domowej w Polsce, liczyła że uda jej się porwać za sobą przynajmniej część narodu i przy poparciu imperializmu anglosaskiego złamać frontalnym atakiem władzę ludową w Polsce (...)”.

To już nie słowa ideologa „Gazety Wyborczej” Michała Cichego. To cytaty ze stalinisty, dyrektora PZPR-owskiego

wydawnictwa „Książka i Wiedza” Romana Werfla, w wydanej w 1951 roku broszurze zatytułowanej „Trzy klęski reakcji polskiej. Na marginesie procesu grupy szpiegowsko-dywersyjnej Tantara, Kirchmajera i innych”. A brzmi jakże podobnie do Cichego.

Inna pamięć

Mimo krytyki „Czarne karty powstania” przyniosły Cichemu sławę. Stał się nie tylko „wybitnym” publicystą i historykiem odkrywającym nieznanne fakty z odwiecznych zmagania Polaków z Żydami, ale przede wszystkim autorytetem moralnym.

Uskrzydłony Cichy przystąpił do badania innych białych, a właściwie czarnych plam, z najnowszej historii Polski. Znów w imię „prawdziwego porozumienia” i „pełnej prawdy”. Kolejnym „wybitnym osiągnięciem” był artykuł „1945: Koniec i Początek” (26.05.1995) – „Koniec” okropnej okupacji hitlerowskiej i „Początek” prawdziwego i niemal niczym niezmaconego wyzwolenia. Cichy uznał, że twierdzenia o nowej, tym razem sowieckiej, okupacji są grubo przesadzone. Na widok Sowietów „tłum dookoła szalał z radości, obsypywał żołnierzy kwiatami, śmiał się i płakał...”. Wszyscy się cieszyli, chodzili do kin i teatrów, na zakupy, rozpoczynali naukę i pracę. Nade wszystko pili i rozmnażali się – kobiety chętnie oddawały się przygodnym mężczyznom („wyzwolenie erotyczne”), czasem dochodziło do grabieży, ale dla Rosjan rabunek był już „ekonomiczną koniecznością”. Słowem – istna sielanka.

Tylko AK-owcy mieli inną perspektywę, ale oni, jak pisze Cichy za Leszkiem Kołakowskim – zostali „wepchnięci [!] w beznadziejną walkę przez stalinowską politykę; części jego [podziemia – TMP] jednakowoż wyrodniały, poparcie społeczne było nieporównanie słabsze niż za okupacji niemieckiej

i słabło coraz bardziej [o przyczynach takiego stanu rzeczy już się nie dowiedzieliśmy – TMP]”.



Wszyscy się cieszyli z sowieckiego „wyzwolenia”.
A procesy w Moskwie i Warszawie?

Mniejszość narodowa

Cichy dokonał jeszcze jednego ważnego odkrycia: „Stalin nie chciał z AK rozmawiać. Nie dał też żadnej szansy [!] na negocjacje powołanemu przez siebie PKWN-owi”. Píše również, że program społeczny PKWN niewiele różnił się od programu podziemnej, prołondyńskiej Rady Jedności Narodowej. Postulaty to ładna rzecz, tylko czego ma to dowodzić?

Cichy kończył: „380 tys. akowców stanowiło w Polsce 1944-45 roku niespełna 2 proc. ludności, ale w naszej pamięci zbiorowej [czyżby Cichego też? – TMP] tradycja akowska zajmuje znacznie więcej niż dwa procent. Przystoi nam [!] uszanować tę pamięć; wiedzmy jednocześnie, że nie jest to pamięć jedyna”.

Można tylko spytać – czy największa armia Polskiego Państwa Podziemnego nie reprezentowała milionów Polaków w walce z Niemcami? A dlaczego Cichy nie zastanowił się, ile osób „normalnie” żyło w PRL-u? Czy wszyscy aktywnie

działali w podziemnych strukturach „Solidarności” w stanie wojennym? Ilu zostało internowanych?



Powstańcy warszawscy zdobywają gmach PAST-y

Znów do redakcji napłynęło wiele listów. Większość napisali „zwykli ludzie” w tonie entuzjastycznym: „dziękuję za bezstronny i wnikliwy opis wydarzeń po wkroczeniu Armii Czerwonej”, „żołnierze pozdrawiali nas weselo”. Czasem ktoś prostował, że nie było wielkiego pijaństwa i kradzieży. Krytyka pochodziła od tych nieznośnych „karłów reakcji”, ale przecież oni zawsze byli w mniejszości...

Potem – gdy wybuchła „Solidarność” – o „mniejszości narodowej ludzi prawych i uczciwych” śpiewał Tadeusz Sikora. Dziś pod rządami jedynie słusznej PO sytuacja zaczyna się powtarzać.

Jesień Śmigłego-Rydza

Pytania o decyzję Naczelnego Wodza powracają w każdą rocznicę wybuchu II wojny światowej. Propaganda niemiecka nazywała Śmigłego-Rydza tchórzem. Kampanię oszczerstw kontynuowali po wojnie władający Polską komuniści, twierdząc, że uciekając do Rumunii dopuścił się on zdrady stanu i razem z „sanacyjną kliką” był winny upadkowi Polski. Coraz częściej słychać jednak opinie, że Marszałek postąpił słusznie – wyjechał, gdyż nie chciał



Edward Śmigły-Rydz

kapitulować przed Niemcami. Przyświecała mu jedna myśl – kontynuowanie walki dzięki odbudowanemu na Zachodzie wojsku. Przeciwnicy polityczni uniemożliwili mu takie działania.

Poglądy o zdradzie, tchórzostwie, pogrążeniu Polski przez sanację, której uosobieniem był Marszałek Śmigły-Rydz, głosiła część antysanacyjnej opozycji, która utworzyła w Paryżu pierwszy emigracyjny rząd Władysława Sikorskiego. Atmosfera linczu wobec przedwrześniowych władz ułatwiła skazanie po wojnie wielu polskich patriotów z dekretu o „faszycyacji kraju i odpowiedzialności za klęskę wrześniową”.

Dowodził dobrze

Ale po kolei. W grudniu 1922 r. Józef Piłsudski napisał o Śmigłym-Rydzu: „nie zawiódł mnie ani w jednym wypadku... pod względem mocy charakteru i woli stoi najwyżej pośród generałów polskich... jeden z moich kandydatów na Naczelnego Wodza”. Ówczesny, pierwszy Marszałek Polski miał jednak jedno istotne zastrzeżenie wobec przyszłego, drugiego Marszałka Polski: „nie jestem pewien jego zdolności operacyjnych w zakresie prac Naczelnego Wodza i mierzenia sił nie czysto wojskowych, lecz całego państwa, swego i nieprzyjacielskiego”.



E. Śmigły-Rydz na pogrzebie J. Piłsudskiego

W przeciwieństwie do PRL-owskich fałszerstw, odklamywana w III RP historia jest wobec Śmigłego-Rydza coraz bardziej łaskawa. Główna teza na jego obronę brzmi: we wrześniu 1939 r. dowodził dobrze. Stosując technikę manewru, przedłużył opór polskiej armii. Późniejsza klęska Francji pokazała, że nie mieliśmy się czego wstydzić. Szef francuskiej misji wojskowej

w Polsce, gen. Faury, porównując opór Polaków w 1939 r. i Francuzów w 1940 r. wykazywał, że Śmigły-Rydz lepiej prowadził wojnę niż gen. Maurice Gamelin, francuski Wódz Naczelny. Z kolei gen. Herman Pokorny podkreślał, „jak fachową i gruntowną pracę wykonały polskie dowództwa wojskowe z okresu przedwojennego – pracę, która w swej wzorowości może służyć za przykład każdej armii świata”.

Największy błąd

To wszystko nie oznacza, że we wrześniu nie popełniono błędów w dowodzeniu. Piłsudczyk płk Wacław Lipiński (krytyczny wobec przedwojennej polityki Rydza) w opracowaniu „Wojna polsko-niemiecka” napisał: „uniknięcie tych błędów i zaniedbań nie odmieniłoby stosunku sił gospodarczych i militarnych i nie odwróciłoby katastrofy...”.

Największym błędem było nieogłoszenie od razu stanu wojny z ZSRS. Słynna dyrektywa Śmigłego-Rydza do wojska z 17 września 1939 r.: „Z bolszewikami nie walczyć, jeżeli nas nie zaatakują”, miała dalekosiężne skutki. Nie wzywała jednoznacznie do oporu przeciwko najeźdźcy, a potem ograniczyła działania polskich władz. Gdyby Rzeczpospolita już od 17 września była w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, to po agresji Hitlera na swojego byłego sojusznika 22 czerwca 1941 r. rozmowy polsko-sowieckie musiałyby dotyczyć układu pokojowego. Dopiero potem można byłoby formułować koncepcje współpracy i działań sojuszniczych. Układ pokojowy wtedy zawarty (Hitler maszerował już na Moskwę) musiałby jednoznacznie odrzucić aneksje terytorialne Rosji z 1939 r., a nie – jak w układzie Sikorski-Majski (30 czerwca 1941 r.) – zawierać mgliste sformułowanie: „Rząd ZSRR uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie

z 1939 r., dotyczące zmian terytorialnych w Polsce, utraciły swoją moc”. W zaistniałej sytuacji polski rząd nie mógł jednak wymóc na Stalinie, aby potępił zdradziecki najazd i zrezygnował z pretensji do naszych ziem.

Postawa władz RP w 1939 r. ułatwiła również sytuację Rumunii, która stwierdziła, że nie ma podstaw prawnych dla zadziałania sojuszu obronnego zawartego w 1921 r. z rządem polskim przeciw Rosji. Rumuni chcieli pójść jeszcze dalej – pod naciskiem III Rzeszy domagali się (całe szczęście bezskutecznie), aby po przekroczeniu granicy polskie władze zrzekły się swych konstytucyjnych uprawnień, a więc podały się do dymisji.



Prezydent Ignacy Mościcki
wręcza buławę marszałkowską
Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi

Jerzy Łojek w „Agresji 17 września 1939” pisał, że deklaracja rządu mówiąca o zaistnieniu stanu wojny z drugim najeźdźcą była konieczna: „Wyjaśniłaby rolę ZSRR wobec Niemiec całej światowej opinii publicznej, a to ogromnie utrudniłoby później rządowi Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych szukanie porozumienia ze Związkiem Radzieckim za tzw. wszelką cenę. (...) Być może losy Polski w Drugiej Wojnie Światowej wyglądałyby wtedy inaczej”.

Umarł za życia

18 września 1939 r. około godziny 4.00 Edward Śmigły-Rydz przekroczył graniczny most z Rumunią na Czeremoszu. Podobno do końca wahał się, rozważał możliwości przedzierania się do walczących. Podczas ostatniej odprawy w Kutach miał powiedzieć do Ignacego Mościckiego: „A więc, Panie Prezydencie, jak umówiliśmy się – ja zostaję z wojskiem”. Już po przejściu granicy chciał wrócić do kraju, ale jego otoczenie – zarówno politycy, jak i wojskowi – nalegało na szybki wyjazd do Francji. Nikt nie przypuszczał, że za chwilę zostaną internowani, że wpadną w „rumuńską pułapkę”.

We wspomnieniach Śmigły-Rydz zapisał:

„Dnia 17 września znalazłem się w sytuacji, w której o jakimkolwiek dowodzeniu nie mogło być mowy. Postanowiłem, mając przy tym zapewnienie rumuńskie, przedostać się do Francji lub Anglii... Nie było dla mnie rzeczy łatwiejszej, jak znaleźć śmierć w drodze z Kosowa ku granicy. Nie było nic łatwiejszego, jak udać się do któregoś z najbliższych oddziałów czy też samolotem do oblężonej Warszawy lub grupy Kutno, lecz gdy (...) pomyślałem, kto będzie tę wojnę polską nadal prowadził i sprawy polskiej bronił nie tylko wobec nieprzyjaciela, lecz i wobec

Sprzymierzonych – postanowiłem nie ulec sentymentom osobistym, łatwym do wykonania i prowadzić walkę nadal...”.

Marszałek Senatu Bogusław Miedziński, który notabene proponował, aby władze przeszły do Rumunii w ostatniej chwili, ostrzeliwując się przed nieprzyjacielem na Czeremoszu, tak ocenił decyzję Marszałka: „Gdyby umarł, to by żył; wobec tego, że żyje – umarł”.

„Droit de passage”

Czy Naczelnny Wódz mógł liczyć na przedostanie się do Francji? „Droit de passage”, czyli prawo tranzytu przez Rumunię, miały tylko cywilne władze II RP. Ale internowanie obcego wojska przez kraj neutralny, jakim była wówczas Rumunia, było zgodne z konwencją haską z 1906 r. Tymczasem zatrzymano nawet, całkowicie bezprawnie, prezydenta i rząd. Faktem jest jednak, że wielu wojskowym udało się wydostać z Rumunii. Np. generał Władysław Sikorski przekroczył granicę na Czeremoszu półtorej godziny po Marszałku, ale nie został internowany. Po kilku spotkaniach z przedstawicielami francuskich władz politycznych i wojskowych, które popierały internowanie polskiego rządu, przyjął propozycję tworzenia polskiej armii i rządu we Francji. Po stronie Sikorskiego stanęła również ambasada polska w Bukareszcie.

Śmigły pisał dalej: „Na decyzję moją [wyjazdu z kraju – TMP] wpłynęło poza tym to, że otrzymałem informację, iż pewna grupa weszła w pertraktacje z niektórymi politycznymi i wojskowymi czynnikami francuskimi, by – wykorzystując nieuniknioną porażkę Polski – dojść za cenę tak właściwego tym czynnikom oportunistycznego do zrzeczenia się praw do całego szeregu zobowiązań – do opanowania władzy i przeprowadzenia porachunków politycznych...”.

Wiadomo, że Sikorski miał żal do sanacyjnych polityków. Odsunięty od władzy po przewrocie majowym, nie został również zmobilizowany we wrześniu 1939 r. Na kilkakrotne prośby Sikorskiego o jakikolwiek przydział Marszałek odpowiadał, że chwilowo nie ma takich możliwości, ale polecił zgłosić się do dyspozycji we Francji.

Brutalna ingerencja

Śmigłego-Rydza przetrzymywano najpierw w Craiowej (daleki, południowo-zachodni zakątek Rumunii), a potem w małej miejscowości na południu Karpat. W listopadzie 1939 r. pod wpływem nacisków urzędującego już premiera Władysława Sikorskiego musiał zrzec się funkcji Naczelnego Wodza (choć w ówczesnej sytuacji nie było to konieczne). Wprawdzie sytuacja była niezwykła, ale Sikorski zdecydował się stworzyć rząd w momencie, kiedy legalne władze cały czas istniały, co w niemałym stopniu nosiło znamiona zamachu stanu. Nowa ekipa rządowa w emigracyjnych warunkach rozpoczynała rozprawę z sanacją: powoływano komisje do wykrycia winnych klęski wrześniowej, składano wnioski o ich rozliczenie, z pozbawieniem obywatelstwa i postawieniem przed sądem włącznie, zamykano



Władysław Raczkiewicz



Bolesław
Wieniawa-Długoszowski

piłsudczyków w obozach na terenie Francji i Anglii, nie interweniowano w sprawie internowanych w Rumunii.

Można oczywiście twierdzić, że zmiana ekipy rządzącej odbyła się zgodnie z normami konstytucyjnymi. Ponieważ internowane władze polskie nie mogły pełnić swoich obowiązków, musiały podać się do dymisji. Na mocy konstytucji prezydent miał prawo wyznaczyć swego następcę. Początkowo mianował jednak nie Władysława Raczkiewicza, ale generała Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego

(wcześniej – od 1 września – obowiązki następcy pełnił Śmigły-Rydz), ale pod wpływem opozycji skupionej wokół Sikorskiego nie zgodzili się na niego Francuzi. Była to brutalna ingerencja w nasze sprawy wewnętrzne, pogwałcenie prawa międzynarodowego. Z kolei najstarszym rangą generałem służby czynnej, który powinien objąć zwierzchnictwo nad polskim wojskiem na Zachodzie, był Kazimierz Sosnkowski, ale Sikorski nie przekazał mu władzy. Naczelnym Wodzem został on dopiero po tragedii w Gibraltarze.

Powrót do kraju

Z Rumunii Śmigły-Rydz uciekł na Węgry, a w październiku 1941 r. przedostał się do okupowanego kraju. Jego powrót był utrzymywany w ścisłej tajemnicy – wiedziało o tym tylko kilka osób.

Cały czas Śmigłemu przyświecała myśl, z jaką musiał przekroczyć granicę 18 września nad ranem: dalsza walka. Kierunek był tylko jeden – okupowana Polska, gdyż drogę na Zachód miał zamkniętą. W Warszawie zamieszkał się w mieszkaniu Jadwigi Maxymowicz-Raczyńskiej przy ul. Sandomierskiej 18 m.6 na Mokotowie. Tu, w najgłębszej konspiracji, próbował rozpocząć działalność polityczną, tu przychodziło wielu oficerów, w tym August Emil Fieldorf-„Nil”.

Najbardziej zagadkowa wydaje się śmierć Śmigłego-Rydza. Według oficjalnej wersji miała nastąpić 2 grudnia 1941 r. – w niecały miesiąc po przybyciu do kraju. Pogrzeb w gronie najbliższych przyjaciół odbył się 6 grudnia na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Rydz spoczął tam pod przybranym nazwiskiem Adama Zawiszy. Powodem zgonu była angina pectoris, czyli postać zawału serca. Istnieją wprawdzie przekazy, które – w sposób mniej lub bardziej fantastyczny – podważają taką wersję zdarzeń, ale nie będziemy się nimi w tym miejscu zajmować.



Grób Edwarda Śmigłego-Rydza na Powązkach

Ciągłość państwa

Najważniejsze jest co innego. Niezależnie od oceny Władysława Sikorskiego i sposobu przejęcia przez niego władzy, gabinet, którym kierował, był w pełni legalnym reprezentantem polskich interesów wobec państw sojusznicznych i całego świata. Umożliwiła to właśnie decyzja władz II RP i Naczelnego Wodza Edwarda Śmigłego-Rydza o opuszczeniu kraju 18 września 1939 r. Rząd londyński przez 50 lat stał jednoznacznie na straży niepodległości Polski, podważając układy jałtańskie, a w końcu, w 1990 r., przekazał insygnia władzy prezydentowi Wałęsie. Dzięki „sanacyjnej klicy” ciągłość państwa została zachowana.

„Nasza Polska” nr 37 (828) z 13 września 2011 r.

Bronisław Piłsudski, brat Marszałka

W Polsce nazwisko Piłsudski kojarzy się wyłącznie z Naczelnikiem Państwa – twórcą naszej niepodległości, której święto niedawno obchodziliśmy. Mało kto wie, że Józef miał nie mniej zasłużonego brata. Badania etnograficzne Bronisława Piłsudskiego dotyczące Ajnów są uważane za najlepsze źródło do poznania tego wymierającego ludu Dalekiego Wschodu. Jego publikacje tłumaczy się na wiele języków i wydaje na całym świecie. Inaczej jest w Polsce. A szkoda, bo biografia Bronisława zasługuje na uwagę nie mniej niż Józefa.

To biografia typowa, porównywalna do losu wielu tysięcy Polaków skazanych na zesłanie w głąb Rosji pod koniec XIX wieku, ciekawa ze względu na jego osiągnięcia. Bo Bronisław – w przeciwieństwie do Józefa, zrealizował się jako naukowiec.

Nie stawia pasjansów

Wysoki, postawny, w sile wieku, z wyglądu nie przypomina Azjaty. To Kazuyasu Kimura, japoński wnuk



Bronisław Piłsudski

Bronisława Piłsudskiego. Ale kontakt z nim nie jest łatwy, bo zna tylko język japoński. Do niedawna jedyne słowo, które potrafił wymówić po polsku, to Piłsudski. O tym, jakie związki łączą go z Bronisławem, dowiedział się, gdy był już dorosłym mężczyzną.



Kazuyasu Kimura (z prawej)

– Odnalazł mnie profesor Koichi Inoue, który szukał informacji o potomkach Piłsudskiego – wspomina Kazuyasu. – Najpierw byłem zdziwiony, a potem podekscytowany, że mam w sobie krew jakiegoś dziwnego narodu, o którym nic nie wiem. Ale też trochę się bałem, w końcu jestem Japończykiem.

Podobnie jak reszta rodziny, Kazuyasu musiał przyjąć japońskie nazwisko Kimura. To ze względu na prześladowania ze strony Japończyków (a wcześniej Rosjan), jakie spotykały Ajnów – tubylczą ludność południowego Sachalinu, z której się wywodzi. Rodzina Kimurów podzieliła los swojego plemienia. W 1945 roku, po zajęciu Sachalinu przez ZSRR, zjaponizowani Ajnowie zostali przesiedleni na wyspę Hokkaido. Dziś pozostało ich tam zaledwie ok. 20 tysięcy, ale niektórzy badacze uważają, że prawdziwych Ajnów już nie ma. Japończycy utrudniali im dostęp do

nauki. Ojciec Kazuyasu, a syn Bronisława – Sukezo, był ogrodnikiem. Kazuyasu otworzył w Jokohamie małą firmę budowlaną.

Kiedyś Polska kojarzyła mu się z papieżem, Chopinem i Skłodowską-Curie. Pierwszy raz do Krakowa przyjechał kilkanaście lat temu, na III międzynarodową konferencję o Bronisławie Piłsudskim. To była jego pierwsza zagraniczna podróż, nie licząc wyjazdów do Hongkongu i na Hawaje. Obawiał się, że Polska jest podobna do małej wsi ajnowskiej, w której się wychował. Jeszcze większe zdziwienie przeżył, gdy dowiedział się, że brat dziadka był przywódcą Polaków, a on jest jedynym potomkiem Piłsudskich w linii męskiej. Od swoich przodków różni się tym, że nie stawia pasjansów.

Młodszy siedzi, starszy stoi

Bronisław Piłsudski urodził się w 1866 roku (rok wcześniej od Józefa). Mieli aż dziesięcioro rodzeństwa (dwoje bliźniąt zmarło we wczesnym dzieciństwie, jeden z braci – Jan Piłsudski był przez ponad rok ministrem skarbu II RP). Aby podkreślić wielowiekowe tradycje rodziny, Bronisław używał czasem przydomka Ginet, pochodzącego od imienia litewskiego kniazia. Dzieciństwo spędzili w rodzinnym majątku Piłsudskich – Zułów – 60 kilometrów od Wilna (dziś Zalavas na Litwie; na jego ruinach w czasach komunizmu wybudowano sowchoz).



Józef ze starszym bratem Bronisławem (ok. 1872 r.)



Żułów

Bronisław i Józef różnili się przede wszystkim charakterem. Bronisław pisze w swoich pamiętnikach, że Józef był ulubieńcem rodziny, w domu rozpieszczano go. Żywy i wesoły, w spotkaniach towarzyskich grał pierwsze skrzypce. Do tego bardzo

ambitny, a jego egocentryzm przeradzał się często w egoizm. Bronisław, z natury spokojny, lubił spędzać czas w samotności, kontemplować. Ale żeby przeżyć później na Sachalinie, musiał być bardzo silny i odporny psychicznie.

Gdyby nie Bronisław, Józef mógł wcześniej zejść z tego świata. Niewiele brakowało, żeby utopił się w jeziorze Piorun, 3 kilometry od Żułowa. Brat w ostatniej chwili wyłowił go z wody. Najbardziej znane, a może i jedyne zachowane zdjęcie braci z wydanego w 1935 roku albumu o Józefie Piłsudskim zostało podpisane: „Dwaj bracia, młodszy Józef (siedzi) i Bronisław Piłsudscy, w latach dziecięcych. Uderza wyraz twarzy młodego Ziuka – skupiony i energiczny, uderza sposób ułożenia nóg i nawet sam fakt, że młodszy brat siedzi, a starszy stoi”. Tak tworzyła się legenda Marszałka.

„Ciężko żyć osobno”

Przez kilka lat bracia działali razem w szkolnej konspiracji przeciw caratowi. Bronisław, jako przewodniczący kółka naukowego „Spójnia”, był w nią bardziej zaangażowany, podczas gdy Ziuka te spotkania raczej nudziły, skoro często je opuszczał,

i to bez żadnych istotnych powodów. Zmieniło się to dopiero w ostatniej klasie.

W marcu 1887 roku, w ramach petersburskiej frakcji terrorystycznej „Narodnej Woli” Józef i Bronisław brali udział w przygotowaniach do zamachu na cara Aleksandra III. Mimo iż międzywojenna literatura przedstawiała to inaczej, i tym razem Bronisław był bardziej wtajemniczony. Od znajomego aptekarza z Wilna przywiózł do Petersburga truciznę. Włożono ją następnie do bomby, która miała zabić imperatora Rosji. Również przy pomocy Bronisława, kierownik całej akcji, a zarazem jego przyjaciel – Aleksander Uljanow (starszy brat Lenina), drukował swoje ulotki, które po Wilnie i okolicy rozprowadzał Ziuk. Po nieudanej akcji spisek został wykryty. Bronisław Piłsudski dostał karę dożywotniego więzienia (groził mu nawet wyrok śmierci, ale udało się go wybronić, przekupując kilku carskich urzędników). Kolejne amnestie zmniejszyły mu wyrok do 15 lat katorgi, ale do końca życia miał pozostać na zesłaniu. Józef – jako przypadkowo wciągnięty do spisku – otrzymał mniejszą karę: w trybie administracyjnym (bez sądu) został zesłany na pięć lat na Syberię. Aleksandra Uljanowa skazano na karę śmierci i stracono.

Po ogłoszeniu wyroku, ojcu braci – Józefowi Wincentemu Piłsudskiemu, pozwolono pożegnać się z synami w petersburskim więzieniu. Bronisława nigdy więcej nie zobaczył. „Zapomnij o mnie! Proszę, żebyś uznał, że byłem niegodny ciebie, może tak będzie łatwiej, Twój Bronisław” – pisał Bronisław do ojca z Rosji. Przyszły Marszałek Polski chciał przebywać na zesłaniu razem z bratem. W podaniu do władz argumentował, że Bronisławowi, „jak i mnie, ciężko żyć osobno”. Carscy urzędnicy nie wyrazili jednak zgody. Marzenie obu braci spełniło się dopiero po latach, kiedy Bronisław zamieszkał w krakowskim mieszkaniu Józefa przy ulicy Topolowej.

Walka o Niepodległą

Pobyty na zesłaniu to punkt zwrotny w życiu obu braci. Po odbyciu kary Ziuk wrócił do konspiracji i wkrótce został czołowym działaczem PPS, twórcą Legionów, a potem niepodległego państwa polskiego. Bronisław nigdy nie miał aspiracji politycznych. Nieudany zamach na cara w 1887 roku był raczej przejawem jego młodzieńczej fantazji.

Przebywając na Dalekim Wschodzie, pochłonęła go działalność naukowa, co nie oznacza, że zapomniał o ojczyźnie. W przedmowie do książki pt. „Materiały do studiów nad językiem i folklorem Ajnów” (Kraków, 1912), czytamy: „bezustannie tęskniąc za powrotem do swego kraju ojczystego, w sposób naturalny zbliżył się do autochtonicznej ludności Sachalinu, jedynych ludzi, którzy miłością darzyli ten kraj, ich odwieczną ziemię, którą ci, co założyli tu kolonię karną [Rosjanie], uczynili tak nienawistną”. Prześladowania Ajnów przypominały mu los uciemiężonych Polaków. Innych książek nie wydał z braku funduszy, ale także dlatego, że nie chciał publikować w języku rosyjskim, mimo iż miał ze strony Rosjan wiele ciekawych ofert.

Już po wydostaniu się z Sachalinu w 1905 roku przyświecała mu jedna myśl – walka o odzyskanie przez Polskę niepodległości. W przeciwieństwie do brata Bronisław walczył piórem, pomagał również zesłańcom. Ponieważ obce mu były wszelkie spory polityczne, często wykorzystywano go do różnych rozgrywek, co czynił np. Komitet Narodowy Polski w Paryżu, z którym się związał.

Król Ajnów

Wracając do chronologii, Bronisław Piłsudski na Sachalinie znalazł się 3 sierpnia 1887 roku. Po kilkuletniej katorżniczej

pracy dostał zgodę na przeniesienie do Władywostoku, gdzie został kustoszem miejscowego muzeum etnograficznego. W tym czasie wiele podróżował. Razem z innym słynnym badaczem – Wacławem Sieroszewskim udał się na wyprawę na wyspę Hokkaido, aby zbierać materiały o japońskich Ajnach.



Ajnowie

Wysłany przez carską Akademię Nauk powrócił na Sachalin, gdzie wkrótce zyskał przydomek „króla Ajnów”. Badał ich kulturę (język, życie codzienne, seksualne, wierzenia, szamanizm), bronił przed restrykcjami władz rosyjskich, a w końcu został nauczycielem w założonej przez siebie szkole dla ajnuskich dzieci. Tak dalece wtopił się w ich społeczność, że dostał zgodę na ślub z kobietą z ich plemienia. Nosiła imię Chuhsamma i była bratanicą naczelnika wsi Ai we wschodniej części Sachalinu. Razem z żoną zamieszkał w małym, drewnianym domku, charakterystycznym dla sachalińskiego pejzażu. Po latach, przy przesłuchiowaniu nagrań Piłsudskiego (kulturę ajnuską zapisywał na

walkach fonograficznych, które w latach 60. na strychu Uniwersytetu w Poznaniu odnalazł prof. Jerzy Bańczerowski) okazało się, że jest na nich również jej głos.

Chuhsamma powiła Bronisławowi dwójkę dzieci. Syn Sukezo urodził się w 1903 roku, córka Kiyo dwa lata później, już po wyjeździe Piłsudskiego z Sachalinu. Opuszczenie przez niego rodziny było jednym z powodów, dla których zrozpaczona Chuhsamma nie chciała opowiadać dzieciom o ojcu. Przyznawanie się do polskich korzeni mogło również powodować represje.

Na pytanie, dlaczego Bronisław wyjechał, nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Pamiętać należy, że przez cały 19-letni okres pobytu na Dalekim Wschodzie miał status zesłańca i marzył o powrocie do kraju. Ucieczkę z Rosji umożliwił mu wybuch wojny rosyjsko-japońskiej. Istnieją przekazy, że opuszczając Sachalin, chciał zabrać ze sobą rodzinę. Potem starania o ich ściągnięcie do Europy czynił jego brat Józef. W tym czasie Chuhsamma straciła wzrok, co często zdarza się mieszkańcom Sachalinu. W zbiorach Uniwersytetu Jagiellońskiego zachowały się trzy listy pewnego Ajna do przebywającego wówczas w Krakowie Bronisława: „Dzieci rosną, żona tęskni. Dlaczego nie wracasz?”

Bronisław miał pisać do władz rosyjskich, że chce kontynuować badania na Sachalinie, ale te nie wyraziły zgody. Młody Kazuyasu zapamiętał, że przed II wojną światową jego rodzina dostawała paczki żywnościowe z nieznanego kraju.

W nurtach Sekwany

Do Galicji powrócił na przełomie 1906 i 1907 roku przez Japonię i Stany Zjednoczone. Znowu wiele podróżował, tym razem po Europie – wykładał, pisał artykuły. Fryburg, Rapperswil, Wiedeń, to tylko niektóre miejsca, jakie odwiedził.

Przez kilka lat mieszkał w Zakopanem, gdzie zbierał materiały etnograficzne o górach, współpracował z Muzeum Tatrzańskim i zainicjował wydawanie „Rocznika Podhalańskiego”. Dodać warto, że poprzez rodzinę matki, Marii z Billewiczów, był spokrewniony ze Stanisławem Witkiewiczem. Korespondencję do niego zaczynał słowami: „Kochany wujaszku”.

Gdy front I wojny światowej zbliżał się do Krakowa, Bronisław Piłsudski w obawie przed Rosjanami wyjechał w swoją ostatnią podróż – do Paryża. 17 maja 1918 jego ciało wyłowiono z Sekwany, niedaleko mostu Mirabeau. Przyczyna: samobójstwo. Powód: psychiczna depresja. Kilka godzin wcześniej napisał pożegnalny list do przyjaciół.

– Przez cały pobyt w Polsce i Europie Bronisław żył w biedzie, nie miał stałego zatrudnienia. Cieszył się dużym autorytetem, ale nie mógł pracować na uczelni, gdyż nie posiadał niezbędnych stopni naukowych. Proponowano mu posadę w starostwie w Limanowej, ale urzędowa praca nie odpowiadała jego charakterowi. Dochodziła do tego tęsknota za rodziną, którą pozostawił na Sachalinie – mówi prof. Antoni Kuczyński, wrocławski etnograf i socjolog.

Piłsudski od dawna miał również kłopoty ze zdrowiem, w Karlsbadzie (Karlove Vary) leczył m.in. chorobę żołądka. Niektórzy twierdzą, że na Sachalinie nabawił się ponadto choroby wenerycznej. Tak czy inaczej, na kilka dni przed śmiercią lekarz zalecał mu spokój i wyjazd na wieś.

Profesor Alfred Majewicz, badacz języka Ajnów, jest innego zdania: – Francuska policja napisała o samobójstwie, ale nie znalazła żadnych motywów takiego czynu. Bronisław nie miał powodów, aby odebrać sobie życie. Podczas pobytu w Europie zaczął wychodzić na prostą, jego dorobek naukowy został doceniony. Przecież nawet w ekstremalnych warunkach Sachalinu nie załamał się.



Moneta z wizerunkiem
Bronisława Piłsudskiego

Feralnego dnia w Paryżu była duża mgła. Wiele wskazuje na to, że Piłsudski zginął w sposób bardzo prozaiczny – zasnął nad brzegiem rzeki i wpadł do wody.

Ludwik Krzywicki we wspomnieniach potwierdza wersję o samobójstwie, ale stwierdza też, że po powrocie z Sachalinu Bronisław zachowywał się dziwnie: „Ma odczyt w Krakowie. W toku odczytu w pewnej chwili zaczyna

mówić ciszej i ciszej jakby zmęczony, aż w końcu zasypia... Kiedy indziej, na towarzyskim zebraniu wieczornym, przeprasza obecnych, że jest bardzo zmęczony i musi udać się do domu. Kiedy po pół godzinie inni goście wychodzą, znajdują go w postawie stojącej w przedpokoju, lecz śpiącego, z jedną ręką w rękawie palta”.

A może to nie był sen, tylko ktoś mu pomógł odejść. Taki współczesny „seryjny samobójca”. Np. ci, którzy wcześniej go skazali i zesłali, czyli... rosyjskie władze i ich służby specjalne.

Marszałek Polski Józef Piłsudski został pochowany z wielką pompą na Wawelu w 1935 r. Pogrzeb brata, którego dorobek nie jest wcale mniejszy, nie miał takiej oprawy. Do dziś Bronisław Piłsudski spoczywa w zapomnieniu na cmentarzu w Paryżu.

Pamięć o mordercach

Wobec braku rozliczenia (u zarania III RP) PRL-owskiego systemu bezprawia i służących mu ludzi, teraz, co chwila, powraca ze wzmożoną siłą fala historycznego rewizjonizmu. Doszło do tego, że można dziś w Polsce oddawać hołd – całkowicie legalnie i bezkarnie – komunistycznym oprawcom. Np. na lubelskim Majdanku organizowane są w maju rocznice powstania Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego – zbrojnego ramienia NKWD w Polsce.



Budynek szczecińskiego KBW

KBW był organizacją przestępczą (jak cały system komunistyczny) powołaną do zwalczania polskiego podziemia niepodległościowego, pacyfikującą niepokorne wsie podejrzwane o współpracę z „reakcyjnym podziemiem”, eliminującą „przeciwników władzy ludowej”. Dziś pamięć o Korpusie pielęgnuje lubelskie koło Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego.

Śledztwo IPN

Inaczej sprawę traktuje Instytut Pamięci Narodowej. Kilka lat temu prokurator pionu śledczego IPN w Lublinie wszczął śledztwo w sprawie uwięzienia żołnierzy polskich formacji niepodległościowych na terenie byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku po tzw. wyzwoleniu Lubelszczyzny przez Armię Czerwoną. Uznał bowiem, że była to zbrodnia komunistyczna, polegająca na dokonywaniu zabójstw i bezprawnym pozbawieniu wolności członków polskiego podziemia niepodległościowego.

Śledztwo zostało wszczęte po tym, jak na jesieni 2004 r. w Lublinie członkowie Światowego Związku Żołnierzy AK oraz Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym złożyli zawiadomienie o „popętnieniu zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu na żołnierzach Armii Krajowej i innych wojskowych organizacji niepodległościowych, a także na członkach cywilnych struktur Państwa Podziemnego więzionych na terenie obozu koncentracyjnego na Majdanku na przełomie lipca i sierpnia 1944 r.”.

Prowadzący śledztwo prokurator Marcin Wroński mówił, że gromadzi materiały dotyczące funkcjonowania obozu NKWD na Majdanku, dowody popełnionych zbrodni i przygotowuje listę pokrzywdzonych, którzy następnie zostaną przesłuchani.

Jak dotąd nie udało się ustalić dokładnej daty powstania obozu. Historycy oceniają, że nastąpiło to na początku sierpnia 1944 r., kiedy na Majdanek trafili pierwsi oficerowie Armii Krajowej. Nie jest również znana liczba więźniów ani okres funkcjonowania obozu. Wiadomo jednak, że przetrzymywanych na wywożono następnie do Związku Sowieckiego.

„Płacimy już nawet krwią”

19 sierpnia 1944 r. sztab lubelskiego okręgu AK depešował do Rządu w Londynie: „Masowe aresztowania żołnierzy AK dokonywane są na całym terenie okręgu przez NKWD i tolerowane przez PKWN. (...) Aresztowanych osadza się na Majdanku (...). Straty ponoszone przez Naród i AK nie są mniejsze niż podczas okupacji niemieckiej. Traktowanie – niejednokrotnie stosuje się bicie. Płacimy już nawet krwią” – alarmowano polskie władze w Londynie.

Z dotychczasowych ustaleń wynika, że w obozie NKWD zostali osadzeni oficerowie z Komendy Armii Krajowej Lublin i innych obwodów, 3. Dywizji Piechoty AK, 27. Wołyńskiej DP, 30. DP spieszącej na pomoc walczącej Warszawie.

O okropnych warunkach panujących w sowieckim Majdanku czytamy w zachowanych dokumentach Centralnej Opieki Podziemnej OPUS, działającej w ramach służb Komendy Okręgu Lublin AK przy organizowaniu pomocy więźniom oraz prowadzeniu rozpoznania obozu



W Polsce mamy do dziś wiele takich tablic...

na Majdanku. „Wyżywienie podle” – napisano w jednej z notatek – „wielu choruje na żołądek. Brak kontaktu z rodzinami. Nie dopuszczają przesyłek żywnościowych. Pałaca sprawa – szczepienia ochronne przeciwko czerwoncy i tyfusowi. Jedzenie odbywa się w prymitywny sposób, np. bez łyżek, misek itd. Ludzie szukają naczyń na śmietniku”.



Medal na 20-lecie KBW

Nocą 23 sierpnia 1944 r. 250 oficerów i podoficerów więzionych na Majdanku przewieziono na stację towarową Lublin Tatarski, umieszczono w zadrutowanych wagonach i na Wschód. Trafili m.in. do obozów w Riazaniu, Diagilewie, Griazowcu, Czerepowcu i Skopinie.

„Nasza Polska” nr 24 (867) z 12 czerwca 2012 r.

Bohaterowie bez grobów

Do dziś nie wiadomo, gdzie spoczywają polscy bohaterowie zamordowani w stalinowskich więzieniach. Niektóre miejsca pogrzebania udaje się jednak odnaleźć. Część ofiar komunistycznych siepaczy spoczywa w... centrum Warszawy, w podziemiach gmachu przy ul. Koszykowej 6. W latach 50. mieściła się tu centrala Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, dziś ma swoją siedzibę Ministerstwo Sprawiedliwości. Coraz więcej wiemy również, jak przebiegały egzekucje.



Centrala MBP przy ul. Koszykowej

Jako oficjalną przyczynę zgonu lekarze więzienni podawali najczęściej udar serca lub (ostre) zapalenie płuc. W Poznańskim, w przypadku więźnia rozstrzelanego, wpisywano: „rany postrzałowe czaszki i porażenie ośrodków mózgowych”, powieszono: „niedotlenienie mózgu i porażenie ośrodka oddechowego”.

W miejscach niedostępnych

Zamordowanych grzebano w bezimiennych grobach. Z przepisów więziennych wynikało, że należało to robić na miejscowym cmentarzu, często na jego obrzeżach, z dala od innych grobów lub obok cmentarnego muru.

Inaczej było np. w Białymstoku. Naczelnik wydziału więziennictwa miejscowego WUBP, Leon Ozgowicz, w 1953 r. napisał, że zwłoki chowa się „w miejscach niedostępnych dla osób cywilnych, tzn. w różnych miejscach. Powyższych czynności dokonuje się tajnie, tak aby nikt z osób niepożądanych tego nie spostrzegł. Na cmentarzu nie chowa się z powodu tego, że mogą ciała wygrzebać i urządzić jakiegokolwiek demonstracje, co jest niedozwolone. Wobec tego, nie ma żadnych grobów ani też numerów na grobie”.



Mieczysław Moczar
(w środku)

Ciała chowano też bezpośrednio w miejscach kaźni – w więzieniach, np. owianej do dziś tajemnicą podwarszawskiej katowni w Miedzeszynie (kryptonim „Spacer”) czy nie mniej tajnym areszcie NKWD we Włochach (tu więziono m.in. Bolesława Piaseckiego, a być może również

gen. Augusta Emila Fieldorfa). Istnieją przesłanki, że ciała zamordowanych przez stalinowskich oprawców spoczywają też na Połu Mokotowskim, w Lesie Kabackim i na Okęciu. W jednym z tych dwóch miejsc być może komuniści pogrzebali ciało generała „Nila”.

W Łodzi IPN cały czas szuka miejsca pochówku straconego 17 lutego 1947 r., dowódcy Konspiracyjnego Wojska Polskiego, kapitana Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”. Relacje wskazują na piwnice tamtejszej bezpieki, tzw. Moczarni (tu rządził Mieczysław Moczar) lub teren przy strzelnicy.



Stanisław Sojczyński

Wózek z konikiem

Historyk Krzysztof Szwagrzyk mówi: „W źródłach archiwalnych nie znaleziono żadnych informacji o chowaniu więźniów w trumnach; w najlepszym razie były to drewniane skrzynie, półtrumny, niekiedy, np. w Warszawie, papierowe worki po cemencie. Zwłoki zmarłych i straconych więźniów chowano w samej bieliźnie lub nago, rzadko w pełnym ubraniu (...). W pojedynczych relacjach występują wzmianki o posypywaniu lub polewaniu zwłok – prawdopodobnie wapnem lub żrącym płynem – przed zakopaniem. (...) Zwłoki transportowano na specjalnym drewnianym wózku – przypominającym wózek do transportu pieczywa – obitym blachą i ciągniętym przez konia lub grupę więźniów działu gospodarczego. Pod koniec lat

czterdziestych ciała przewożono już samochodami. Na cmentarzu rzucono je do przygotowanych przez więźniów dołów, w których umieszczano czasem po kilka zwłok. Następnie niwelowano teren, nie pozostawiając najczęściej żadnego śladu umożliwiającego przyszłą identyfikację miejsca pochówku”. Widok wyjeżdżającego za bramę więzienia małego wózka z konikiem zapamiętało wielu osadzonych na Mokotowie. Aby jeszcze lepiej ukryć zbrodnię, ciała chowano najczęściej nocą.



Protokół wykonania kary śmierci na „Warszycu”

Nie wszyscy trafiali do bezimiennych dołów. Ciała przekazywano do zakładów anatomii, gdzie służyły jako materiał do ćwiczeń dla studentów medycyny. Tak stało się ze zwłokami 26-letniego ppor. Antoniego Wodyńskiego „Odyńca”, żołnierza VI Wileńskiej Brygady AK, które trafiło do Zakładu Anatomii Prawidłowej Uniwersytetu Wrocławskiego. To samo komuniści zrobili m.in. z ciałem wspomnianego już „Warszycą”, a także „Lalka” – Józefa Franczaka, ostatniego żołnierza II RP, który zginął osaczony przez esbecję 21 października 1963 r.

Przechodniu, pochyl czoło

Tadeusz Porayski, więzień Mokotowa, napisał:

„Przechodniu, pochyl czoło, wstrzymaj krok na chwilę
Tu każda grudka ziemi krwią męczeńską broczy
Tu jest Służewiec, to są nasze Termopile
Tu leżą ci, którzy chcieli bój do końca toczyć.
Nie odprowadzał nas tu kondukt pogrzebowy,
Nikt nie miał honorowej salwy ani wieńca
W mokotowskim więzieniu krótki strzał w tył głowy,
A potem mały kucyk wioził nas do Służewca...”.

Tekst został wyryty na symbolicznym pomniku upamiętniającym ofiary stalinowskiego terroru, stojącym na terenie parafii Św. Katarzyny przy ul. Wałbrzyskiej na warszawskim Służewie. Tu, do połowy 1948 r., grzebano potajemnie zamordowanych więźniów mokotowskiego więzienia (później ciała chowano na Powązkach). Tu prawdopodobnie spoczywa wielu żołnierzy Wolnej Polski – w tym opisywany wyżej Witold Pilecki.



Służew - tu IPN ma przeprowadzać ekshumacje zamordowanych

Jaka była skala stalinowskich morderstw? Tylko na podstawie wyroków sądowych stracono ok. 5 tys. osób, kilka tysięcy zmarło i zostało zamordowanych w więzieniach i aresztach, inni zginęli w walce lub w wyniku akcji pacyfikacyjnych UB, KBW, WP.

Krzysztof Szwagrzyk: „W latach 1944-1956 tylko na Mokotowie śmierć poniosło ponad tysiąc osób, w więzieniu we Wronkach – 219, w Rawiczu – kolejnych 211. O kilkuset zmarłych i straconych możemy mówić w przypadku Białegostoku, Gdańska, Katowic, Krakowa, Lublina, Rzeszowa czy Wrocławia. Lista ta wciąż nie jest zamknięta”.

„Nasza Polska” nr 20 (863) z 15 maja 2012 r.

Powązki – warszawski Katyń

Po 23 latach tzw. wolnej Polski szczątki polskich patriotów zamordowanych przez komunistów odnalezione! Do dołów śmierci wrzucali ich tak jak w Katyniu: z przestrzeloną potylicą, związanymi rękami. Na Powązkach Wojskowych w Warszawie Instytut Pamięci Narodowej odkopuje zamordowanych w więzieniu na Rakowieckiej.



Katyn – Polski Cmentarz Wojenny

Według najnowszych ustaleń w dzisiejszej kwaterze „Ł” („Łączka”) Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie komuniści – od połowy 1948 r. – grzebali ciała zamordowanych w więzieniu przy ul. Rakowieckiej. Zrzucali ich do dołów, zasypywali wapnem, a teren niwelowali. W miejscu tym, które po wojnie nie należało do cmentarza, zrobiono kompostownię, śmietnik, a potem zaczęto stawiać groby – często oprawców. Przywódców komunistycznej partii i państwa, sędziów, prokuratorów, funkcjonariuszy UB i Informacji Wojskowej. Bermańów, Brystygiarów, Kryzów, Fejginów.

Mieli zniknąć na zawsze

Na „Łączce” pogrzebanych może być ok. 300 osób – polskich patriotów, którzy nie zgodzili się na drugą, sowiecką, okupację Polski. Tu najpewniej zakończył swoją ziemską drogę dobrowolny więzień Auschwitz rtm Witold Pilecki, szef Kedywu AK gen. August Emil Fieldorf „Nil”, dowódca 5. Brygady Wileńskiej mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, dowódcy Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, w tym ppłk Łukasz Ciepliński, cichociemny, żołnierz AK mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin”, dowódca AK i WiN na Lubelszczyźnie mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”, obrońca Wybrzeża we wrześniu 1939 r. kmr Stanisław Mieszkowski, działacz narodowy Adam Doboszyński. Wśród nich przedwojenny dyrektor Katolickiej Agencji Prasowej, członek Rządu RP na Uchodźstwie, a po wojnie redaktor naczelny „Tygodnika Warszawskiego”, pisma Kurii Metropolitarnej Warszawskiej ks. Zygmunt Kaczyński. I wielu, wielu innych przedstawicieli polskiej inteligencji, elity II RP.

Rodziny często nie wiedziały o śmierci najbliższych. Oni mieli zniknąć na zawsze. Najpierw ich mordowano, a potem

przez cały PRL mordowano pamięć o nich. Z przykrością należy stwierdzić, że po 1989 r. niewiele się zmieniło. Skandaliczne jest to, że IPN-owi pozwolono na badanie „Łączki” dopiero teraz, po 23 latach wolnej Polski. Przecież rodziny ofiar do dziś nie mogą zapalić lampki na grobie i pomodlić się, bo tych grobów po prostu nie ma. Można odnieść wrażenie, że dzisiejsze okrągłostołowe „elity”, które bardzo często mają komunistyczny rodowód – również po stronie „Solidarności”, nie chcą, aby prawdziwi bohaterowie wrócili do świadomości Polaków.

„Ubek-emeryt”

Kluczem do ustalenia miejsca pogrzebania bohaterów Polski Podziemnej jest odnaleziony w archiwach IPN dokument. To zapis relacji Władysława Turczyńskiego, który w więzieniu przy Rakowieckiej w Warszawie trudnił się grzebaniem zwłok zamordowanych. Wskazywał on jednoznacznie na Powązki, a najprawdopodobniej właśnie na tzw. Łączkę – obecną kwaterę „Ł” Cmentarza Wojskowego, która w latach 50. znajdowała się poza terenem ówczesnej nekropolii. Obecnie jest tam symboliczny pomnik więźniów politycznych zamordowanych w latach 1945-1956 na warszawskim Mokotowie.

Ustalenia IPN to przełom w poszukiwaniach zwłok polskich bohaterów, bowiem przez



Jeden ze szkieletów odnalezionych na „Łączce”

lata rodzinom, mimo wielu starań, prawdy nie udało się odkryć. Dotychczas, obok „Łączki”, wskazywano także na inne miejsca grzebania ciał zamordowanych. Kilka lat temu dostałem list podpisany „ubek-emeryt”, w którym – sądząc po charakterze pisma – starszy pan informował mnie, że generał Emil Fieldorf, podobnie jak rotmistrz Witold Pilecki i inne ofiary komunistycznych morderców, został pogrzebany na Okęciu, przy fosach.



Na Powązkach może być
kilkaset takich szkieletów

Wózkiem na Powązki

Finałowa scena filmu Ryszarda Bugajskiego „Generał Nil” pokazuje, jak po wykonaniu wyroku ciało gen. Fieldorfa zapakowane do worka, zostaje wywiezione poza teren więzienia na drewnianym wózku ciągniętym przez konia. Ten stukot kopyt, najczęściej późnym wieczorem, zapamiętało wielu więźniów Mokotowa. Następnie grabarze wrzucili worek do głębokiego dołu i posypali wapnem. Gdzieś pod murem cmentarza. Teraz, dzięki IPN-owi, możemy dopowiedzieć: cmentarza na Powązkach.

Zabici w PRL, ekshumowani w III RP

W stalinizmie skrytobójczo zamordowani i potajemnie pogrzebani. W III RP, dzięki mozolnej pracy Instytutu Pamięci Narodowej, odnaleziono ich szczątki i pochowano z honorami. Wolna Polska oddała im hołd i cześć. Przywróciła dobre imię żołnierzy niepodległości.

– Miejsca pochówku bezskutecznie szukał nasz dziadek, potem rodzice. Tak było przez 54 lata. Dopiero za życia nas, trzeciego pokolenia, udało się – mówi siostrzenica Edwarda Cieśli, Barbara Tabak-Chamiec. I wylicza pamiątki, jakie zostały po Edku. Listy z więzienia pisane kopiowym ołówkiem, już wyblakłe, trudne do odczytania. Ostatni datowany na 3 sierpnia 1952 r., sześć dni przed śmiercią. Legitymacja studencka, książeczka wojskowa, pisma rodziców do Bieruta z prośbą o łaskę. I protokół wykonania kary śmierci.

Miejsce pogrzebienia Edwarda Cieśli na cmentarzu w Opolu-Półwsi zlokalizował naczelnik wrocławskiego Biura Edukacji Publicznej IPN dr Krzysztof Szwagrzyk. Po odkryciu grobu okazało się, że są tam dwie trumny, gdyż ktoś dokonał tzw. dopochówku. Szczątki



Edward Cieśla

Cieśli spoczywały poniżej. Miał przestrzeloną czaszkę i podkurczone nogi – nie zmieścił się w za małej trumnie. Potem była ekshumacja, drobiazgowe badania DNA i pogrzeb – 3 października 2006 r. – z pełnymi honorami wojskowymi w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.



Historik Krzysztof Szwagrzyk

U „Draży”

Edward Cieśla ps. „Zabawa” urodził się 22 lutego 1923 r. w Studzianie, pow. Przeworsk na Rzeszowszczyźnie, jako syn Jana i Karoliny z domu Majcher. Brał udział w kampanii wrześniowej. Od maja 1942 r. był zastępcą szefa propagandy placówki AK Przeworsk-wieś, kolportował prasę konspiracyjną, wykonywał wyroki na konfidentach i kolaborantach. Ze względu na niebieskie oczy, rude włosy oraz dobrą znajomość języka niemieckiego często uczestniczył w akcjach dywersyjnych przebrany w niemiecki mundur. W tym czasie zdał konspiracyjną maturę i ukończył konspiracyjną Szkołę Podchorążych.

W sierpniu 1944 r. jego oddział miał przyjść na pomoc walczącej stolicy, ale został rozbrojony przez Sowieców. Cieśla był poszukiwany przez NKWD i UB. Od jesieni należał do zgrupowania partyzanckiego Obszaru Lwowskiego AK kryptonim „Warta”, rozbitego po rozmowach z tajemniczym gen. Iwanowem, czyli Iwanem Sierowem. W maju 1945 r. wstąpił do oddziału Dragana „Draży” Sotirovicia, Serba, który za udział w wyzwoleniu Lwowa dostał krzyż *Virtuti Militari*, a potem uciekł z sowieckiego więzienia. Na Rzeszowszczyznę. U „Draży” walczyło dwóch Cieśłów – Edward i jego brat Tadeusz.

Starszy o cztery lata Tadeusz Cieśla, jako więzień KL Auschwitz w obozowej konspiracji działał razem z rotmistrzem Witoldem Pileckim. Uciekł w grudniu 1944 r.

Edek dowodził akcją rozbicia posterunku milicji w Markowej, Tadek brał udział w likwidacji szefa bezpieczeństwa w Przeworsku. Tadek przedostał się do Niemiec, do amerykańskiej strefy okupacyjnej. W Monachium został kierownikiem placówki informacyjno-wywiadowczej Biura Planowania 2. Korpusu Armii gen. Andersa. We wrześniu w Niemczech znalazł się też Edek i tak jak brat wstąpił do 2. Korpusu. Organizował przerzut rodzin z kraju do Włoch. UB aresztował go zaraz po przekroczeniu granicy.

Miesiąc po miesiącu

Tadek chciał odbić Edka z więzienia albo sądu. Gdy przekraczał granicę, też trafił w ręce bezpieczeństwa. Nierozpoznany, na wolność wyszedł w 1946 r. na mocy amnestii i... wrócił do Monachium.

Edek miał mniej szczęścia. Wyrokami Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z 17 marca i 21 listopada 1947 r. został skazany na karę śmierci, zamienioną ostatecznie na trzy

lata więzienia. Wronieckie więzienie opuścił w styczniu 1949 r. Rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlowej we Wrocławiu, ale myślał też o przedostaniu się na Zachód, do brata.

W grudniu 1949 r. Edek dowiedział się o aresztowaniu Tadeusza, który przedostał się do Polski z kolejną misją kurierską. Teraz on, z kolegami, chciał ratować brata. – Planowaliśmy odbić Tadeusza w Warszawie, w sądzie, albo opłacić mu adwokata – wspomina Józef Kapusta, sądzony potem razem z Edwardem Cieślą.

Wydał ich inny członek grupy – Węgier. Wyrokiem z 28 lutego 1952 r. WSR w Opolu skazał Cieślę na karę śmierci. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyrok w mocy, a Bierut nie skorzystał z prawa łaski. 9 sierpnia 1952 r. wyrok został wykonany w więzieniu w Opolu. List pożegnalny Edwarda Cieśli do rodziców skonfiskowano – nigdy nie dotarł do rąk adresatów. Tak jak zegarek i 13 złotych i 90 groszy, które przepadły na rzecz skarbu państwa. Prokurator wojskowy kpt. Stanisław Urbaniak odmówił wydania zwłok rodzinie. Sądy wolnej Polski unieważniły wszystkie wyroki wydane na Edwarda Cieślę.

Tadeusz Cieśla wyrokiem WSR w Warszawie z 21 grudnia 1950 r. też został skazany na karę śmierci. Stracony 9 lipca 1952 r. (dokładnie miesiąc przed Edwardem) w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Miejsce jego pogrzebania nadal pozostaje nieznane.

Kryptonim „Mordercy”

Mieczysław Bujak urodził się 2 kwietnia 1926 r. w Krakowie, jako syn Andrzeja (żołnierza Legionów, później znanego piłkarza Wisły Kraków) i Bronisławy z domu Gwardzińskiej. W latach 30. działał w ZHP.

Od 1942 r. żołnierz AK. Łącznik i kolporter podziemnej prasy. Rok później otrzymał przydział do grupy

bojowo-dywersyjnej „Żywiciela”. Od czerwca do sierpnia 1944 r. był dowódcą drużyny w zgrupowaniu partyzanckim AK Kampinos, z którym przedzierał się do Powstania Warszawskiego, by w końcu walczyć w szeregach Oddziałów Specjalnych „Jerzyki”.

Z niemieckiego obozu jenieckiego uwolniony przez armię amerykańską, do której wstąpił i walczył na terenie Czech.

W październiku 1945 r. wrócił do Polski. Wstąpił do oddziału partyzanckiego WiN kpt. Mariana Bernaciaka „Orlika”, działającego na terenie powiatu puławskiego. Po jego rozwiązaniu znalazł się w szeregach „ludowego” Wojska Polskiego. W 1948 r. ukończył Oficerską Szkołę Piechoty we Wrocławiu, po czym służył w Jeleniej Górze i Warszawie. Nadal jednak otwarcie przyznawał się do AK-owskiej przeszłości i krytycznie wypowiadał o otaczającej go rzeczywistości.



Mieczysław Bujak



Ekshumacja szczątków
Mieczysława Bujaka

Młodym, popularnym wśród podchorążych porucznikiem szybko zainteresowała się Informacja Wojskowa. Od lutego 1949 r. do jesieni 1951 r. kilkudziesięciu oficerów IW, Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i tajnych współpracowników

rozpracowywało tajną organizację założoną i kierowaną przez ppor. Mieczysława Bujaka na terenie OSP w Jeleniej Górze – organizacji, która nigdy nie istniała. Sprawa o kryptonimie „Mordercy” (wcześniej „Pajaki”) skończyła się aresztowaniem dziewięciu podchorążych. Bujak wpadł 19 sierpnia 1950 r.

Zarzuty: udział w nielegalnej organizacji WiN, gromadzenie broni i prowadzenie wśród podchorążych „agitacji antypaństwowej”. Wszyscy przeszli brutalne śledztwo.



Wrocław. Więzienie przy ul. Kleczkowskiej

Zamordowany za to, że był Polakiem

Mieczysława Bujaka przesłuchiwał m.in. Edmund Czekala, krwawy szef wydziału śledczego Zarządu Informacji Wrocławskiego Okręgu Wojskowego, który prowadził również brutalne

śledztwa przeciw oficerom oskarżonym o tzw. spisek w wojsku. Należał do nielicznej grupy „śledzi”, którzy ukończyli gimnazjum i liceum.

25 kwietnia 1951 r. Bujak został skazany przez Wojskowy Sąd Okręgowy nr IV na dwukrotną karę śmierci, współwięźniowie otrzymali kilkuletnie wyroki. Jak wspominała protokolantka, do końca chronił kolegów, całą winę biorąc na siebie. Jednym z morderców w todzie był Stefan Piekarski, członek WKP(b), oficer Armii Czerwonej, absolwent prawa w Moskwie, w maju 1943 r. oddelegowany do sądownictwa LWP. Bierut nie skorzystał z prawa łaski.

Mieczysław Bujak został zamordowany 30 sierpnia 1951 r. o godz. 20.00 w więzieniu nr 1 przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu. Po egzekucji jego ciało pogrzebano w kwaterze 81 A na Cmentarzu Osobowickim obok kilkuset innych ofiar stalinowskiego bezprawia.

Szczątki ppor. Bujaka ekshumowano w kwietniu 2006 r. w wyniku prac prowadzonych przez wrocławskie Biuro Edukacji Publicznej IPN. W grobie odnaleziono fragmenty butów, kilka guzików wojskowych i część naramiennika munduru oraz zakopaną (jesienią 1951 r.) przez jego matkę i siostrę butelkę z kartką: „Zamordowany za to, że był Polakiem”. Uroczysty pogrzeb odbył się na Powązkach Wojskowych w Warszawie 3 kwietnia 2007 r.

Wśród wielu oprawców Mieczysława Bujaka żyje jeszcze oskarżający go prokurator Waclaw Sulc, ale wymiar sprawiedliwości III RP nie chce pociągnąć go do odpowiedzialności.



Zakopana butelka z kartką pomogła w identyfikacji

Bandycka rodzina

Stefan Pótrul urodził się 9 maja 1926 r. w podkonińskiej wsi Korwin, jako syn Stanisława i Stanisławy z domu Karweckiej. W kwietniu 1947 r. zmobilizowany do Wojska Polskiego. Był zachwycony morzem, mundurem i możliwością pracy po odbyciu służby wojskowej. Przeżył zawód miłośny, tym chętniej podpisał kontrakt na „nadterminowego”. Niestety, nie pozwolono mu pływać – zatrudniono w Sądzie Marynarki Wojennej w Gdyni, gdzie służył jako goniec. W 1949 r. awansował – został bosmanmatem i jednocześnie starszym kancelistą.

Szybko przekonał się, że instytucja, w której pracuje, to zbrodnicza machina na usługach sowieckiego okupanta. Że pod byle pretekstem w sfingowanych procesach skazuje marynarzy, nazywając ich wrogami systemu, bandytami i szpiegami. W obecności Pótrula i jego kolegów sędziowie wojskowi przechwalali się, który był bardziej surowy w sądzie. Ponury rekord wynosił łącznie ponad 500 lat więzienia i 6 wyroków śmierci!

Wkrótce Pótrul został członkiem tajnej Polskiej Organizacji Podziemnej „Wolność”. Sporządzali listy kadry dowódczej Ma-



Pogrzeb Stefana Pótrula

rynarki Wojennej i Informacji Wojskowej, szczególnie oficerów sowieckich, którzy budzili największą nienawiść. Nie było mu dane działać w niej długo – IW aresztowała go 5 grudnia 1951 r. Koledzy ani rodzina nie wiedzieli, co się z nim stało. W rodzinnym domu marynarza przeprowadzono kilka rewizji, podrzucano ulotki i broń. Zatrzymano też jego brata. Sąsiadom Pótrulów wmówiono,

że to „bandycka rodzina”. W wiosce i okolicy ubecy rozwiesili plakaty z informacjami o procesie „bandyty”.

Krzysztof Szwagrzyk: – Odnaleźliśmy członków rodziny Stefana Pólrula. Przez cały czas żyli z piętnem posiadania w rodzinie kryminalisty. Dopiero od nas dowiedzieli się, że jego sprawa miała charakter wyłącznie polityczny i że wiemy, gdzie jest pochowany.

Buteleczka i naświetlania

Śledztwo było koszmarem. Henryk Haponiuk – jedyny dziś świadek tamtych wydarzeń doskonale zapamiętał brutalność oprawców:

„Ktoś z tzw. obstawy przynosił półlitrową buteleczkę, stawiał ją mniej więcej 2 metry od biurka i kazał na niej siadać. Pierwszy raz nie usiadłem, drugi raz także nie, to za trzecim razem sami przyszli i mnie posadzili. Potem już siadałem... Każde przesłuchanie rozpoczynało się zawsze tak samo: nazwisko, imię, adres, co robicie w wojsku – tak jakby nie wiedzieli. I mówcie o swojej wrogiej działalności. Ponieważ nie było co mówić, to przesłuchujący w „odpowiedni” sposób to przypominał. Jak tylko przewróciłem się razem z tą buteleczką, zaczynało się kopanie, bicie, ciąganie po całym pomieszczeniu itp. Znajdowały się tam także trzy żarówki o mocy 500 V: czerwona, zielona i biała. Drzwi zamykali i rozpoczynało się naświetlanie. Po 30 minutach byłem dosłownie do niczego.

W ciągu trzech dni sporządzono akt oskarżenia. Na samej rozprawie obecnych było ok. 50 oficerów politycznych. Oskarżono nas z art. 14 i 15 dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r. paragraf 1 i 2 za dywersję, sabotaż i szpiegostwo. Po orzeczeniu wyroku przewodniczący składu sędziowskiego kpt. Jankowski [Kazimierz Jankowski, nieprzypadkowo nazywany „katem narodu”; w nagrodę awansował potem na prezesa Izby Wojskowej Sądu Najwyższego

–TMP] pouczył nas, że przysługuje nam prawo wniesienia skargi rewizyjnej (...). Ale nie odniosłoby to i tak żadnego skutku, ponieważ były to po prostu decyzje polityczne. Stefana Pótrula widziałem po raz ostatni w momencie, kiedy nas rozkuwali. Czynili to w pewnej odległości, nie większej niż 1,5 metra. Obaj ruszyliśmy do siebie, złapaliśmy się za ręce i mocno uściskaliśmy. Stefan zdążył do mnie jeszcze powiedzieć: «Heniu, żebyś ty wiedział, ile ja się wycierpiałem». To był już wtedy szkielet człowieka. Skóra i kości. Mundur wisiał na nim jak worek”.

6 czerwca 1952 r. wyrokiem Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni – tego samego, w którym wcześniej pracował – Stefan Pótrul został skazany na karę śmierci. Matka w dramatycznym liście prosiła Bieruta o łaskę dla syna. „Prezydent” jednak odmówił. Wykonanie wyroku odłożono jednak ze względu na opinię biegłego psychiatry sądowego: „W stanie obecnym chory nie nadaje się do brania udziału w postępowaniu sądowym, ewentualnie do odbywania kary”. Objawy choroby psychicznej Pótrul zaczął zdradzać wkrótce po procesie, oczekując na egzekucję. Dziś trudno ustalić, czy symulował chorobę, czy rzeczywiście zachorował w skutek zastosowanych w IW metod śledczych. Z zachowanej dokumentacji wynika, że „postradał zmysły w wyniku długotrwałego silnego stresu i niepewności swego losu”. Szpital więzienny w Gdańsku skierował go więc na obserwację do Szpitala Psychiatrycznego we Wrocławiu, działającego przy areszcie śledczym. Tam Pótrul przebywał kolejne dwa lata. Poddano go obserwacji i leczeniu, które polegało na... elektrowstrząsach. Wszystko po to, aby móc rozstrzelać skazanego.

Krzysztof Szwagrzyk: – Decyzję o takich właśnie działaniach w stosunku do marynarza podjęły dwie osoby: komendant szpitala Jerzy Katzenelenbogen i jego asystent dr Izidor Wassermann. 18 marca 1953 r. sporządzili orzeczenie lekarsko-psychiatryczne nr 15/53 stwierdzające zdolność S. Pótrula

do działań prawnych. Podstawą stał się jego list, który nigdy nie trafił do adresatów: „Kochana rodzino, napiszcie mi, czy jestem jeszcze w śledztwie czy już po wyroku i za co?”.

„Nigdy nie wrócisz do domu”



Fragmenty munduru
Stefana Pótrula

W ramach owych działań prawnych Stefan Pótrul został stracony 9 kwietnia 1953 r. w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu – tym samym, w którym prawie dwa lata wcześniej rozstrzelano Mieczysława Bujaka. Też o godz. 20.00.

Jego szczątki zostały odnalezione przez zespół historyków z wrocławskiego oddziału IPN i ekshumowane 2 czerwca 2008 r. na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Oględziny czaszki nie pozostawiały wątpliwości: Pótrul zginął tak samo, jak polscy oficerowie w Katyniu – od strzału w tył głowy. Stwierdzono również, że przed samym zgonem miał złamaną szczękę, co jest kolejnym dowodem, że był torturowany. Znalaziono przy nim duże fragmenty czarnego sukna munduru marynarskiego, czapkę marynarską, guziki marynarskie ze znakiem kotwicy oraz dobrze zachowane buty. I to wszystko znalazło się później w jego obecnej trumnie.



Czaszka Stefana Pótrula

Krzysztof Szwagrzyk: – Udało nam się odnaleźć szczątki Pótrula dzięki temu, że w powojennym Wrocławiu na cmentarzu grabarzami byli Niemcy, którzy w tym mieście jeszcze zostali. Gdy bezpieka mordowała ludzi i w tajemnicy zakopywała w przypadkowych miejscach, Niemcy zapisywali skrupulatnie, którego dnia i gdzie kogo pochowano.

Stefan Pótrul został pochowany 9 września 2008 r. na cmentarzu w Młodojewie pod Słupcą, w rodzinnym grobie. W pogrzebie uczestniczyła honorowa kompania WP i niemal wszyscy mieszkańcy. Nie spełniły się słowa jednego z oprawców, który podczas przesłuchania krzychał do Pótrula: „Nigdy nie wrócisz do domu, bandyto!”. Losy marynarza stały się kanwą wzruszającego filmu Jolanty Krysovej. Telewizja publiczna pokazała go w środku nocy...

„Nasza Polska” nr 1 (792) z 4 stycznia 2011 r.

„Nie” dla Witolda Pileckiego

Mija kolejna rocznica zamordowania w więzieniu mokotowskim w Warszawie rotmistrza Witolda Pileckiego. Jego walka dobiegła końca 25 maja 1948 r. strzałem w tył głowy z rąk komunistycznych siepaczy. Przez 20 lat wolnej Polski środowiska patriotyczne zrobiły wiele, aby przywrócić pamięć o tym bohaterskim Polaku.

Walka o pamięć wciąż jednak trwa. Przypomnijmy, jak Parlament Europejski – głosami polskich europosłów (z wyjątkiem PiS) – odrzucił projekt, aby Pilecki stał się patronem międzynarodowego Dnia Walki z Totalitaryzmem. Ale co tu się dziwić, skoro nawet w Polsce inicjatywy związane z rotmistrem są torpedowane. I tak Pilecki okazał się niewygodny dla środowiska „Gazety Wyborczej” i polityków Platformy Obywatelskiej, a co za tym idzie niegodny nazwania Jego imieniem bulwaru w centrum miasta. Nie tylko Bruksela powiedziała „nie” Pileckiemu, ale również Wrocław. Czy o takiej Polsce marzył i za taką oddał życie?

Batalia o nadanie imienia rotmistrza Witolda Pileckiego bulwarowi nad staromiejską fosą trwała we Wrocławiu od grudnia ub. r. Propozycja, która trafiła do miejskich rajców, początkowo wszystkim się podobała. Poparł ją nie tylko PiS, ale kluby PO i radni prezydenta miasta Rafała Dutkiewicza. Nawet SLD za- nadto nie protestował. Sytuacja zmieniła się diametralnie, odkąd

do szturmów przeciwko bohaterowi Polski i dobrowolnemu więźniowi Auschwitz przystąpiła lokalna „Gazeta Wyborcza”.

Historia czy histeria „Gazety Wyborczej”



Witold Pilecki

W ciągu niespełna dwóch tygodni dolnośląskie wydanie tego dziennika zamieściło aż siedem bardzo agresywnych tekstów, autorstwa pani Beaty Maciejewskiej pod histerycznym hasłem: szykuje się zamach na historyczne centrum miasta. W ten sposób Pilecki znów stał się zagrożeniem, tym razem nie dla komunistów, ale dla wpływowych środowisk w podobno wolnej Polsce. Gazetowo-wyborcza specjalistka od historii próbowała dowodzić, że proponowane miejsce ma już swoją nazwę, choć nie jest ona używana. Sugerowała, że Pro-

menada Staromiejska – bo tak jej zdaniem ma się nazywać ten fragment wrocławskiego deptaka – ma średniowieczny rodowód, „zapominając”, że został on wytyczony dopiero w XIX wieku. Powoływała się przy tym na stare niemieckie mapy, ale nawet te z początku XX wieku o Promenadzie Staromiejskiej nie wspominają. Wbrew twierdzeniom Maciejewskiej rzeczona nazwa nie występowała również w świadomości mieszkańców. Czym innym jest przecież potoczna nazwa – promenada (przez małe p).

Miłośnik historii miasta, profesor Politechniki Wrocławskiej Romuald Nowicki: „We Wrocławiu przed wojną były dwie

promenady, jedna nad Odrą, druga nad fosą. Ta druga nigdy nie doczekała się własnej nazwy. Nie widzę powodu, by nie można nadać jej polskiej nazwy – imienia Witolda Pileckiego – ani historycznego, ani językowego”. A jednak „argumenty” Maciejewskiej przekonały radnych, którzy nagle zmienili zdanie o Pileckim. Znow, jak za głębokiego stalinizmu, stał się wrogiem publicznym.

Nie podpaść „salonowi”

Skąd pomysł Bulwaru Rotmistrza Pileckiego i dlaczego w centrum miasta, choć zasadniej byłoby spytać – czym rotmistrz zasłużył sobie, aby nie mógł być upamiętniony aleją w centrum? Miejski przewodnik Andrzej Kofluk chciał, aby bezimienny do tej pory odcinek deptaka stał się elementem ścieżki dydaktycznej opowiadającej o historii Polski – między placem Wolności, w sąsiedztwie którego stoją pomniki Bolesława Chrobrego i Ofiar Stalinizmu, a placem Orłąt Lwowskich. Przy placu Wolności znajdowało się gestapo i hotel Monopol, w którym od 1938 r. pokój z balkonem miał Adolf Hitler. Nieopodal była katownia UB, a potem SB. „Właśnie między tymi dwoma strasznymi systemami: czerwonym i brunatnym totalitaryzmem, wiedzie świetlisty bulwar, który powinien nosić imię rotmistrza Witolda Pileckiego” – uzasadniał propozycję Kofluk. Dodajmy – przecież



Witold Pilecki

Pilecki walczył właśnie z tymi dwoma totalitaryzmami – jest symbolem oporu zarówno przeciw niemieckiemu nazizmowi, jak i sowieckiemu komunizmowi. Dodatkowo symbolikę tego szczególnego miejsca dopełnia fakt, że przedłużeniem alei jest bulwar im. Tadeusza Jasińskiego (nastoletniego, bohaterskiego obrońcy Grodna), który kończy się na placu im. Jana Pawła II.

„Wyborczą” poparła niewielka, ale jak się okazało równie wpływowa organizacja o frapującej nazwie – Towarzystwo Upiększania Miasta Wrocławia. Jej prezes, Przemysław Filar, rozesłał list otwarty do radnych: „Całkowicie zgadzamy się z uchwałą Rady Miejskiej mówiącą, że „w historycznym centrum powinny obowiązywać nazwy historyczne”. Od tej zasady nie powinno być żadnych wyjątków, nawet dla tak wybitnych osobowości jak rotmistrz Pilecki”. Dowiedzieliśmy się zatem, że ta „wybitna osobowość” nie jest godna miejsca w centrum Wrocławia. Sprytny wybieg o „historyczność” nazwy – teza całkowicie nieprawdziwa – okazał się skuteczny.

Zakamufflowani wrogowie Pileckiego szermowali jeszcze innym, jakże modnym dziś hasłem – że „sprawa ta nie powinna być rozpatrywana w tonie politycznego sporu – a już tym bardziej nie powinna stać się częścią rozpoczynającej się właśnie kampanii wyborczej. Dlatego proponujemy odłożyć dyskusję na ten temat na czas po wyborach samorządowych”. W tym ostatnim stwierdzeniu jest jednak ziarno prawdy – we Wrocławiu nie jest tajemnicą, że zarówno prezydent Dutkiewicz, jak i Platforma Obywatelska nie chcą podpaść przed wyborami „Wyborczemu salonowi”.

Nie mieści się w regermanizacji Wrocławia

Krzysztof Grzelczyk, były wojewoda dolnośląski i były pracownik wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej,

odpowiadał pani Maciejewskiej: „Dawno nie byłem aż tak zdumiony z powodu determinacji włożonej w utracenie obywatelskiej inicjatywy. (...) Przykre jest, że drwi się z nazewniczych inicjatyw komentarzami takimi jak: »magia ulicznej tabliczki« lub »większym wzięciem cieszy się u radnych uliczna tabliczka«. Do tego te sugestie, że ktoś wyciągnie germańskiego straszaka. A jeśli tak, to dziwi to panią? Mnie nie, jeśli zestawia się to z entuzjazmem „Gazety” dla takich inicjatyw jak Hala Stulecia, pochwała pruskiej tradycji (vide nowa siedziba Muzeum Miejskiego) czy też zorganizowana przez „Gazetę” razem z prezydentem Wrocławia konferencja poświęcona niemieckim tradycjom Wrocławia i Gdańska. Tacy bohaterowie jak rotmistrz Witold Pilecki w tak formowanej pamięci historycznej się nie mieszczą”.



Hala Stulecia

Faktycznie, przy aplauzie „GW” Halę Ludową przemianowano znów na Halę Stulecia (wybudowana w 1913 r. Jahrhunderthalle na pamiątkę zwycięstwa Prus nad wojskami Napoleona pod Lipskiem; to w tej bitwie zginął książę Józef Poniatowski), a Teatr Muzyczny Śląsk nazwano ponownie Capitol. Pojawiły się też pomysły jeszcze dalej idące – by most Grunwaldzki odzyskał

niemiecką nazwę most Cesarski (na cześć cesarza Wilhelma II). Z kolei ulica Ofiar Oświęcimskich ma zostać ulicą Junkrów.

Krzysztof Grzelczyk konkludował: „Rozumiem, że o historii Wrocławia i Polski, o naszej pamięci możemy dyskutować tylko według schematu wskazanego przez »Gazetę Wyborczą«. Bo jak należy rozumieć pani komentarz do decyzji radnego o wycofaniu projektu uchwały: »Bardzo dobrze się stało, bo groziła nam niepotrzebna debata o wrocławskim patriotyzmie«?

Pomnik przestępcy?

Tak więc „niepotrzebnej debaty o patriotyzmie” – zmory „Gazety Wyborczej”, nie było. Na nic zdało się trzy tysiące głosów poparcia, zebranych na stronie www.takdlapileckiego.pl, w tym m.in. Anny Walentynowicz (dziś już niestety świętej pamięci), ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, prof. Andrzeja Wiszniewskiego, Kornela Morawieckiego, Marcina Wolskiego, Pawła Kukiza, Olgierda Łukaszewicza. Swoje poparcie dla rotmistrza wyraziło też wiele organizacji: m.in. Dolnośląski Oddział Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Zarząd Główny Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, Towarzystwo Miłośników Kultury Kresowej, Dolnośląska Inicjatywa Historyczna, Związek Szlachty Polskiej, Fundacja Polskie Gniazdo i Fundacja Żołnierzy Wyklętych.

– Moim zdaniem to akcja polityczna mająca na celu przeformowanie jedynie słusznego pomysłu i tworzenie podziałów tam, gdzie ich nie ma – komentowała przewodnicząca klubu Platformy we Wrocławiu Barbara Zdrojewska (żona ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bogdana Zdrojewskiego).

Stronie www.takdlapileckiego.pl zaczęto przeciwstawiać inną – lokalną, mającą skupiać miłośników Wrocławia. Tu można znaleźć głosy „przypadkowych” mieszkańców – dobrane tak, aby

większość była przeciw pomysłowi Bulwaru Rotmistrza Pileckiego. Przeważały takie wpisy: „Wolę nazwę »Promenada Staromiejska«. Ta nazwa kojarzy mi się ze spacerem, wiosną, randką. »Bulwar Rotmistrza Pileckiego« nie brzmi apetycznie”. O tym, że Pilecki nie zasłużył na bulwar w centrum miasta, ma przesądzać fakt, że indagowani nie wiedzą, kim był Pilecki (a skoro do tej pory nie wiedzą, to przecież nie muszą się dowiedzieć). Jednemu z internautów rotmistrz skojarzył się z komunistami: „Ulice Dzierżyńskiego, Bieruta czy Wasilewskiej świadczyły, że oni również coś znaczyli. Każda władza ma swoich bohaterów”. Ale zdarzały się jeszcze lepsze: „Pomnik przestępcy? Chyba was oмотało? Gloryfikatorom rotmistrza Pileckiego daję pod roz wagę przemilczane ogólnie fakty: skazany został za szykowanie zamachu na Bieruta (udowodnione ponad wszelką wątpliwość, po latach potwierdzone przez członków jego grupy) i dwa: sypnął całą swoją grupę. Ciekawostka, tylko Pilecki dostał wyrok śmierci”. Oczywiście tylko przecierać ze zdumienia, ale w końcu mamy wolność słowa, a pojemny Internet zamieści każdą bzdurę.



Pilecki w Auschwitz
i przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie

Przynajmniej prawi wrocławianie – ci, którzy nie wstydzą się swojego patriotyzmu – nie dali się ogłupić. Wielu z nich, w tym członkowie wspomnianego już Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej uznało „argumenty” przeciw Bulwarowi Rotmistrza Pileckiego za żenujące.

Rondo Pinokia

Jak już pisaliśmy – projekt bulwaru imienia Pileckiego upadł. Zamiast „niepotrzebnej debaty” zaczęły pojawiać się nowe projekty. I tak Barbara Zdrojewska przekonywała: „Jesteśmy za uhonorowaniem rotmistrza Pileckiego. Uważamy jednak, że trzeba poszukać zdecydowanie lepszej lokalizacji niż skromny fragment skwerku”. I wymieniała: most oraz część obwodnicy Wrocławia.

Sęk w tym, że ani mostu, ani obwodnicy nie ma i nie wiadomo, kiedy powstaną. Czy z tego powodu pomysł bardzo spodobał się prezydentowi Dutkiewiczowi?

W lutym br. władze Wrocławia zaproponowały projekt „kompromisowy”: aby imieniem Witolda Pileckiego nazwać rondo znajdujące się na obrzeżach miasta przy drodze dojazdowej do portu lotniczego. A więc bohaterski rotmistrz został wyrzucony na peryferie. Prezydent Dutkiewicz zadeklarował również, że w ciągu roku, w miejscu proponowanego bulwaru Pileckiego, wzniesiony zostanie „znak pamięci”. Jaki – tego nie określił. Potem doprecyzowano, że będzie to pomnik.

Ostatecznie, w marcu, radni PiS poparli ten projekt, aby ratować ideę upamiętnienia Pileckiego. Oczywiście, wszystko jest palcem na wodzie pisane. Już teraz można przewidzieć, że znajdą się lokalne autorytety, które będą przekonywały, że pomnik to zbyt kosztowna inwestycja, bo przecież nie ma na dokarmianie dzieci w szkołach. A zatem to nie koniec polskiej,

wrocławskiej bitwy o rotmistrza. A jeśli oszołomy znów będą lansowały bulwar tego dziwnego i niegodnego Pileckiego, siły „postępu” zewrą szyki i zdyskredytują, a potem pod byle pretekstem zniszczą ten groźny, „niehistoryczny” pomysł.



Taki pomnik Pileckiego stanął ostatecznie
we Wrocławiu

Wrocław niestety nie jest odosobniony w próbach wycinania rotmistrza Witolda Pileckiego. Podobnie działo się w Szczecinie. Kiedy Instytut Pamięci Narodowej zaproponował, aby imieniem Pileckiego nazwać planowane rondo u zbiegu ul. Sikorskiego i ul. Ku Słońcu, od razu zostało to oprotestowane. Zamiast Ronda Pileckiego wymyślono Rondo Pinokia, gdyż... obok znajduje się klub Pinokia. Na lokalnej stronie można było przeczytać: „Pinokio jest jednym z dwóch najstarszych studenckich klubów w mieście. W czasach poprzedniego ustroju był enklawą wolności i świeżej myśli. Przez lata był i nadal jest miejscem tworzenia ciekawych inicjatyw, spotkań, rozmów

i zabaw. Klub odwiedza miesięcznie około 30 tys. gości”. Akcja przeciwko Pileckiemu zyskała uznanie... rektorów szczecińskich uczelni, aktora Michała Janickiego i rysownika Henryka Sawki. W ten sposób bohater kreskówek omal nie wyparł polskiego bohatera narodowego. Ostatecznie Pilecki z Pinokiem w Szczecinie jednak wygrał.

PS. Wrocławski pomnik rotmistrza Witolda Pileckiego w postaci stalowej, 3,5 metrowej obrączki stanął na Promenadzie Staromiejskiej obok opery 25 maja 2011 roku

„Nasza Polska” nr 21 (760) z 25 maja 2010 r.

Kapuś bohaterskiego rotmistrza

Należy zrewidować dotychczasową wersję o rozpracowaniu grupy rotmistrza Witolda Pileckiego, dobrowolnego więźnia Oświęcimia, bohatera AK i WiN, zamordowanego przez komunistów 25 maja 1948 r. w więzieniu na Rakowieckiej. Człowiekiem, przez którego wpadł Pilecki i jego współpracownicy, był wieloletni agent sowiecki, w czasie okupacji kapujący żołnierzy Armii Krajowej na Nowogródzczyźnie, po wojnie kapitan MBP.

Wedle historyków agentem był Leszek Kuchciński. Przed wojną członek Obozu Narodowo-Radykalnego, po 1939 r. Tajnej Armii Polskiej, która weszła potem w skład Armii Krajowej. W TAP działał razem z moim Ojcem – Tadeuszem Płużańskim. Spotkali się ponownie w 1947 r. i Kuchciński zamieszkał u Płużańskiego, który był kurierem Pileckiego do II Korpusu gen. Andersa we Włoszech. Kuchciński od końca 1945 r. pełnił funkcję szefa Oddziału Bezpieczeństwa i Służb Politycznych wywiadu Obszaru Centralnego WiN.



Tadeusz Płużański

Poszedł do piachu



Młody Pilecki

Historyk Wiesław Jan Wysocki w książce „Rotmistrz Pilecki” (wyd. 1994 r.) pisze, że agent Kuchciński rozpracowywał grupę „Witolda” przez kilka miesięcy: „Dzięki jego informacjom funkcjonariusze MBP mieli ułatwione zadanie podczas śledztwa”.

Powtarza to krewniak rotmistrza, Krzysztof Pilecki („Był sens walki i sens śmierci”, wyd. 1998 r.): „W przypadku Witolda Pileckiego i jego bliskich współpracowników siły bezpieczeństwa zastosowały jeden z wypróbowanych sposobów, wprowadzając do organizacji „WiN” swego agenta Leszka Kuchcińskiego”.

Wysocki: „Rola Kuchcińskiego ujawniła się w pierwszej fazie śledztwa, ale nikt z uwięzionych nie był z nim bezpośrednio skonfrontowany [brak informacji o aresztowaniu Kuchcińskiego w związku ze sprawą „Witolda” – TMP]”.

Historyk Adam Cyra, w książce „Ochotnik do Auschwitz. Witold Pilecki 1901-1948” (wyd. 2000 r.), przytaczając akta sprawy pisze, że „zagrożony aresztowaniem Leszek Kuchciński zamierzał opuścić Polskę. (...) Jego los jest nieznan”. Można się tylko domyślać, że został skrytobójczo zamordowany przez „nieznanych sprawców”. obrońcy Tadeusza Płużańskiego,



Pilecki prowadzi defiladę w Lidzie

Alicja Pintarowa, na pytanie o los Kuchcińskiego, odpowiedziała, że „poszedł do piachu”.

Misja Wallenroda

„Pewne nie udokumentowane podejrzenia wskazują również Wacława Alchimowicza. Bardziej prawdopodobne jest, iż ten ostatni sam padł ofiarą prowokacji” – czytamy dalej w książce Wysockiego.

Kim był Wacław Alchimowicz? Z grupą Pileckiego nawiązał kontakt przez Kuchcińskiego, który był jego kolegą gimnazjalnym. Przed wojną też należał do ONR. W 1947 r. pełnił funkcję naczelnika III Wydziału V Departamentu MBP.

Wysocki: „Kuchciński – mówiąc językiem oskarżenia – zwerbował w styczniu 1947 r. Alchimowicza do siatki szpiegowskiej WiN. Była to ewidentna prowokacja. Kuchciński zwierzył się dawnemu koledze, że zerwał z działalnością konspiracyjną. Podjął pracę w MBP, ujawniając swoje związki z podziemiem winowskim. Przekonał Alchimowicza, że powinien postąpić podobnie, choć wszystko wskazuje na to, iż ten ostatni wstąpił do MBP z misją Wallenroda. Oferta Kuchcińskiego stała się dla Alchimowicza pułapką; po referendum [3 razy tak – TMP] zaczął dostarczać informacji dla podziemia, nie wiedząc, że jest ono inwigilowane, jednym zaś z konfidentów jest jego przyjaciel”. Wysocki ma jednak wątpliwości: „Możliwe, iż także Alchimowicz grał wyznaczoną rolę”.

Wiele wskazuje na to, że agent Alchimowicz zrobił niewinnego Kuchcińskiego. Jeśli ktoś z tej dwójki był Wallenrodem to raczej nieświadomy prowokacji Kuchciński.

Z akt sprawy wynika, że Alchimowicz, pracując w MBP, był cennym informatorem dla grupy Pileckiego. Przekazywał

informacje m. in. o sfałszowanym referendum, planach wprowadzenia masowego terroru – również podczas wyborów, o strukturze MBP, roli „doradców” sowieckich, o tym, że większość funkcjonariuszy to „kryminaliści” i „analfabeci”, o metodach rozpracowania WiN, NSZ, prawdziwych celach amnestii (lepsze rozpracowanie niepodległościowego podziemia). Alchimowicz opracowywał również listę agentów MBP w PPS i kierowniczych postaci w Wydziale Śledczym MBP, odpowiedzialnych za zwalczanie polskich patriotów (wymieniał przede wszystkim Józefa Czaplickiego, Józefa Różańskiego i Julię Brystygierową).

Raport Brzeszczota

Likwidację czołowych funkcjonariuszy bezpieki przewidywał tzw. raport Brzeszczota (jeden z pseudonimów Kuchcińskiego, za jego pośrednictwem raport trafił do Pileckiego, autorem był najprawdopodobniej Alchimowicz, a na pewno od niego pochodziły informacje): „Ich usunięcie zahamuje akcję terroru, a częściowo ją uniemożliwi – ludzie ci są bowiem niezastąpieni. Trzeba liczyć się z psychiką azjatów, którzy będą bezradni, gdy zabraknie im „głowy”, a zostaną tylko ręce”. Do likwidacji miano użyć broni, którą „Witold” ukrył po Powstaniu Warszawskim, kiedy walczył w Batalionie Chrobry II. Jeden z członków grupy Pileckiego – Makary Sieradzki twierdził nawet, że planowano zamach na Bieruta (gdyby tak rzeczywiście było, wspomnianoby o tym w akcie oskarżenia).

Adam Cyra: „Raport „Brzeszczota” został przekazany do II Korpusu (...). Odpowiedzi na ów raport jednak nie otrzymano, natomiast Pilecki nie zamierzał przeprowadzić żadnej akcji terrorystycznej, a nawet nie miał środków na jej realizację. Znamienna w tej sprawie jest wypowiedź Pileckiego z listu,

jaki napisał w więzieniu na Mokotowie do Różańskiego: «po przeżyciach w Oświęcimiu nie umiałbym nikogo zamordować».



Witold Pilecki – więzień bezpieki

Raport Brzeczczota był zatem prowokacją. Wykorzystano go potem przeciwko Pileckiemu i towarzyszom w trakcie śledztwa i procesu. Bezpieka nie oszczędziła również swojego pracownika i agenta Wacława Alchimowicza. Został aresztowany 5 maja 1947 r. i zatrzymany „do dyspozycji” Wydziału II Departamentu III MBP. Potem był przesłuchiwany przez jednego z najgorszych ludzi bezpieki – por. Józefa Duszę, ale – co znamienne – wyłączono go z procesu grupy „Witolda”. Był sądzony w „kiblowym” procesie przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie 19 stycznia 1948 r. za „wejście w porozumienie z Kuchcińskim w przedmiocie zabójstwa płk. Czaplickiego w formie gwałtownego zamachu przez członków nielegalnej organizacji WiN”. Otrzymał trzykrotną karę śmierci, a Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano 11 lutego 1948 r. Wysocki pisze, że „zbyt wiele wiedział o „firmie”, w której pracował, a dając się wciągnąć w prowokację Kuchcińskiego, wydał na siebie wyrok”.

Wywiad dla NKGB

Sprawę rozpracowania grupy Pileckiego wyjaśnia przeszłość Alchimowicza. Wysocki pisze dalej, że w czasie wojny był związany z Armią Krajową (podporucznik rezerwy, ps. „Kazik”): „Zadziwiać musi fakt, iż z taką przeszłością dobrowolnie znalazł się (od 14 maja 1945 r.) w szeregach pracowników MBP (awan-sował do stopnia kapitana) i kierował w nim jedną z sekcji”.



Proces „grupy szpiegowskiej” Pileckiego

Zygmunt Boradyn w książce „Niemen. Rzeka niezgody” (2000 r.) pisze, że na Nowogródczyźnie w latach 1943-44 „agenci sowieccy znajdowali się zarówno w terenie, jak i w oddziałach akowskich. Jak wynika ze wspomnień Bojomira Tworzkańskiego, agentem był burmistrz i komendant placówki Wasiliszki Wacław Alchimowicz „Kazik””.

Na początku 1943 r. Alchimowicz uciekł do Brygady im. Leninowskiego Komsomołu, gdzie został dowódcą oddziału. Miał on charakter wywiadowczo-propagandowy i był komórką NKGB. Rok później (w marcu 1944 r.), decyzją Raduńskiego Podziemnego Komitetu Partyjnego, został szefem

dokumentów wywiadu sowieckiego dotyczących konspiracji i oddziałów partyzanckich Armii Krajowej na Nowogródzczyźnie”. Informuje w niej o genezie Okręgu Nowogródzkiego AK, pseudonimach i nazwiskach członków Komendy Okręgu i żołnierzy czterech batalionów 77 pp AK, uzbrojeniu, organizacji dywersyjno-wywiadowczej „Wachlarz”, stosunkach z Niemcami.

W końcu „białopolacy” rozpracowali Alchimowicza (dlaczego tych informacji nie miał potem Witold Pilecki?), którzy wystosowali do grupy ZPP ultimatum, w którym zażądali zaprzestania wrogiej propagandy i przejścia na ich stronę, w przeciwnym wypadku grożąc likwidacją. „Do rozbicia grup – jak pisze Boradyn – jednak nie doszło”.

Na czym polegała ta propaganda? Alchimowicz redagował ulotki, wydane w języku polskim. W jednej z nich Do braci Polaków pisał: „Niewinnie czerwona partyzantka nie zabija. Bijemy Niemców, szpiegów niemieckich, zdrajców i bandytów ograbiających ludność. Nie niszczymy grup partyzanckich z nami nie współpracujących. Napadnięci będziemy bronić się. Od obszarników i faszystów nie zależą granice Polski. Choćby oni wybili wszystkich sowieckich partyzantów, granicę pomiędzy Polską a ZSRR ustali konferencja ZSRR, Anglii i USA. Polacy, nie bójcie się sowieckiej partyzantki, partyzanci to wasi przyjaciele”. Propaganda była jednak mało skuteczna, gdyż ludność polska nie wierzyła Sowietom. Nie zmienia to faktu, że działalność Alchimowicza służyła interesom obcego mocarstwa, którego celem było zniszczenie Polski. Tak jak kapował żołnierzy Armii Krajowej na Nowogródzczyźnie, tak zakapował potem grupę rotmistrza Witolda Pileckiego. Taki był Wacław Alchimowicz „Kazik”, agent NKGB, „Wallenrod” WiN-u w MBP.

Kto zakapował „Lalka”

„JÓZEF FRAN CZAK, ŻYŁ LAT 45, ZGINĄŁ 21 X 1963. POŚWIĘCIŁ ŻYCIE ZA WOLNOŚĆ OJCZYZNY, KTÓREJ NIE DOCZEKAŁ” – taki napis wyryła rodzina na skromnym grobie w podlubelskich Piaskach w 1983 r. Wtedy jeszcze nie można było powiedzieć, że Józef Franczak – „Lalek”, ostatni żołnierz II RP, najdłużej ukrywający się partyzant antykomunistycznego podziemia, został okrążony przez ZOMO i SB, i zastrzelony. Wbrew kłamliwym twierdzeniom postkomunistów, walka o wolną Polskę nie skończyła się w 1945 r. Jeszcze przez wiele lat prowadzili ją żołnierze II konspiracji – żołnierze wyklęci.

Już w 1950 r. bezpieka na Lubelszczyźnie otrzymała z Departamentu III MBP nakaz „rozpracowania operacyjnego” ostatnich grup oporu. Nadzwyczajne środki w celu ujęcia „kadrowego bandyty Franczaka” podjęto w 1954 r. Dwa lata później postępowanie musiano jednak zawiesić, „wobec jego ukrywania się”. 8 września 1961 r. w „Kurierze Lubelskim” ukazał się list gończy za Franczakiem, razem ze zdjęciem.

Przedstawiano rysopis poszukiwanego: „Wzrost ok. 174 cm., ciemny



Józef Franczak
„Lalek”

blondyn, włosy szpakowate, lekko łysy, czesze się do góry, oczy niebieskie, czoło wysokie, nos średni lekko pochylony do dołu, twarz owalna, koścista, śniada, (...) mowa grubsza, typowo męska, jest dobrze zbudowany, barczysty, pierś wysunięta do przodu, chód ciężki”.

– Zawsze był czysty, schludnie ubrany. Może dlatego, jeszcze za Niemca, nazwali go „Lalek”. Matka najbardziej go lubiła z całej naszej piątki. Zawsze uśmiechnięty, pomagał innym. W szkole był najlepszym uczniem – wspomina Czesława Kasprzak, siostra „Lalka”. – Ostatniego dnia założył zielone, prążkowane spodnie i brązową marynarkę, choć na ogół chodził po wojskowemu. Około godziny 14-tej wracaliśmy z pola. Kiedy spojrzałam na dębowy las, miałam przeczucie, że coś złego się wydarzy.

Józef Franczak został zastrzelony o godz. 15.40 (niektóre ubeckie materiały podają błędnie godz. 5.40) w Majdanie Kozic Górnych – małej wiosce, położonej 20 kilometrów od Lublina i 8 kilometrów od Piask.

Wydany za pięć tysięcy

UB miał utrudnione zadanie w ściganiu Franczaka, bo ludzie, mimo ciągłych aresztowań, nie chcieli go wydać. Podczas przesłuchań twierdzili, że w ogóle o nim nie słyszeli; jeśli go znali, to nie widzieli go od kilku lat; obciążali siebie; potem informowali o wszystkim „Lalka”. Jego konspiracyjnemu koledze Janowi Lipie z Kozic Dolnych, który przez dwa lata był wzywany do UB w Piaskach, oferowano 30 tys. złotych za wydanie Franczaka.

Z materiałów UB: „W wyniku intensywnej pracy operacyjnej w dniach 18-21 X 63 r. w dniu 21 X 63 r. uzyskano dane, że wymieniony bandyta melinuje w zabudowaniach aktywnego

współpracownika we wsi Kozice pow. Lublin. (...) podjęto decyzję przeprowadzenia rewizji w zabudowaniach >>BW<< [Becia Waclawa – TMP]. Na ewentualny wypadek gdyby wynik był negatywny, zakładano dokonać rewizji dwóch meliniarzy w tej samej miejscowości dla pozoracji i odwrócenia podejrzeń w odniesieniu do t.w. [tajnego współpracownika – TMP] >>Michała<<”.



„Lalek”

Przez lata utrzymywała się wersja, że Franczaka zadenuncjował go sąsiad – Waclaw Beć, u którego ukrywał się feralnego dnia. Tak myślała rodzina i okoliczna ludność. To oskarżenie powtórzył i utrwalił na kolejne kilka lat Henryk Pająk, m.in. w książce „Uskok kontra UB”. Tymczasem obciążony został niewinny człowiek. Jak wynika z akt znajdujących się w IPN SB wydał Franczaka TW „Michał”. Nie był to jednak Waclaw Beć, ale Stanisław Mazur – stryjeczny brat Danuty Mazur (narzeczonej „Lalka” i matki jego syna). Pozostawał poza podejrzewaniami właśnie dzięki opinii mieszkańców podlubelskich miejscowości, dla których zdrajcą był Waclaw Beć. Nie zmienił tego fakt, że 12 czerwca 1964 r. Sąd Wojewódzki w Lublinie skazał Becia na 5 lat więzienia za współpracę z „Lalkiem”.

Z bezpieczeństwem Stanisław Mazur współpracował jeszcze długo po śmierci „Lalka”. Trwała ona od przełomu 1962/63 r. do 11 maja 1967 r. TW „Michał” przekazywał m.in. informacje o nastrojach ludności wsi, w których wcześniej ukrywał się Franczak i rozpracowywał jego najbliższych współpracowników. To prawdopodobnie na podstawie donosów Mazura aresztowano i osądzono Waclawa Becia. Za kapowanie dostał w sumie 12.050 zł, z tego prawie połowę – ok. 5000 zł za ustalenie miejsca pobytu „Lalka”.

Ostatnie spotkanie

Przed wojną Józef Franczak (rocznik 1912) ukończył szkołę żandarmerii w Grudziądzu. Został przeniesiony do Równego, gdzie zastała go wojna. Po 17 września aresztowany przez Sowietów, uciekł z niewoli.

– Józek ukrywał się już od 1941 r., kiedy ktoś z Piask złożył na niego donos na Gestapo – pamięta Czesława Kasprzak.

W 1944 r., jako oficer, wstąpił do wojska, walczył nad Wisłą. Wkrótce NKWD zaczęło go szukać i musiał uciec. Jeszcze w latach 40. chciał się ujawnić, rozpocząć normalne życie.

Czesława Kasprzak: – Znajomy prokurator z Lublina powiedział nam, że Józek nie ma szans, takie papiery na niego mają. Po amnestii mogą go wypuścić, ale po 2-3 miesiącach ślad po nim zaginie.

– Poznałam go na zabawie w 1946 r. i od razu mi się spodobał. Spotykaliśmy się raz na dwa, trzy miesiące. Na polu, w lesie, czasem u rodziny albo znajomych. Nawet na randki przychodził z pistoletem i granatami – opowiada Danuta Mazur, konspiracyjna narzeczona „Lalka”, która czekała na niego przez prawie 20 lat. – Wołałam nie wiedzieć, gdzie chodzi i z kim się spotyka, żeby nie wydać go na UB. Miałam nawet kilka zdjęć z Józkiem, ale wszystko zniszczyłam, też ze strachu. Zostawić go? Nigdy w życiu. Przecież go kochałam. Miałam nadzieję, że jeśli przeżyje, będziemy kiedyś razem.

– Nasz syn Marek urodził się w 1958 r. – ciągnie Danuta Mazur. – Józek zobaczył go pierwszy raz po ośmiu miesiącach, gdy wyniosłam dziecko w zboże. Wiele razy jeździłam do księży, byłam u dominikanów w Lublinie, ale nikt nie chciał dać nam ślubu. Mówili, że to wielkie ryzyko. Kiedy ubecy przychodzili i pytali o Marka, odpowiadałam, że nie wiem, z kim mam to dziecko. Tak się poniżyłam.

Syn „Lalka” i Danuty Mazur o tym, kim był jego ojciec, dowiedział się dopiero po latach. Dziś mieszka w Chełmie, pracuje w kopalni jako technik-mechanik. Kilka lat temu sąd pozwolił mu używać nazwiska Franczak.

– Spotkaliśmy się w niedzielę, w zagajniku. Józek był pogodny, nie przypuszczał, że coś się stanie – Danuta Mazur z trudem kryje łzy. – Opowiedziałam mu mój sen. To była mętna, wezbrana rzeka, a w niej pływał nasz syn. Józek powiedział, żeby uważać na Marka. Mieliśmy zobaczyć się za dwa tygodnie...

Nagi, bez głowy

Ostatnie chwile „Lalka” według UB: „Okrążenia zabudowań B [Becia – TMP] Wacława s. Jana dokonano z podjazdu przez grupę operacyjną ZOMO składającą się z 35 funkcjonariuszy doprowadzonych do meliny przez dwóch oficerów Służby Bezpieczeństwa. Z chwilą okrążenia zabudowań b. [bandyta – TMP] Franczak wyszedł ze stodoły, pozorując gospodarza rozważał możliwość wyjścia z obstawy, a gdy został wezwany do (nieczytelne) chwycił za broń – pistolet, z którego oddał kilka strzałów. W tej sytuacji grupa likwidacyjna ZOMO przystąpiła do likwidacji. Franczak mimo wzywania go do zdania się podjął obronę i wykorzystując słabe punkty obstawy pod osłoną zabudowań wycofał się około 300 m. od meliny, gdzie podczas wymiany strzałów został śmiertelnie ranny i po kilku minutach zmarł”.

– Kiedy usłyszałam strzały, wyjrzałam przez okno – opowiada Helena Misiura, sąsiadka. – Bałam się o wnuki, które bawiły się przed domem. Zobaczyłam Józka, jak biegł przy naszym płocie. W jednej ręce miał teczkę, w drugiej pistolet. Nagle zachwiał się, złapał pod bok i wyciągnął koszulę ze spodni. Przeskoczył jeszcze przez żywopłot i zaległa cisza. Śmiertelny strzał

musiał paść zza lipy. Za chwilę podniosły się krzyki: „Jest, jest”. Ze wszystkich stron, od drogi, z lasu wylegli ludzie. Jedni byli w mundurach i płaszczach, drudzy w kufajkach i po cywilnemu. Potem podjechały trzy samochody i karetka. Myśleliśmy, że to po Józka, ale zabrali jakiegoś zabitego milicjanta.



Pośmiertne zdjęcie „Lalka”

– Józek upadł pod naszym domem. Jakiś człowiek podbiegł do niego i darł się, żeby rzucił broń, a on już nie żył – mówi Michalina Misiura, ciotka Heleny. – Potem pilnował go jakiś milicjant. Niektórzy ludzie, którzy przychodzili obejrzyć Józka, kopali go i dowcipkowali: może chcesz jabłko albo papierosa?

W sekcji zwłok przeprowadzonej przez biegłego lekarza czytamy: „Rany postrzałowe klatki piersiowej i jamy brzusznej, z następnym uszkodzeniem serca, wylewem krwawym do jamy opłucnej, uszkodzeniem wątroby, przepony i płuca lewego. Biorąc pod uwagę wyniki sekcji zwłok należy przyjąć, że przyczyną zgonu denata była rana postrzałowa serca”.

Czesława Kasprzak: – Po pół godzinie przyjechał prokurator [Antoni Maślanko, wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Lublinie – TMP]. Milicjanci podświetlili latarkami ciało.

Prokurator spytał, czy to „Lalek”. „Przecież wiecie, kogo zamordowaliście” – odpowiedziałam. Maślanko zapewniał, że wyda nam ciało Józka.

O godz. 21. martwego „Lalka” przewieziono do Akademii Medycznej w Lublinie. Został pochowany potajemnie, tak jak jego koleży z partyzantki, na cmentarzu przy Unickiej. Po czterech dniach, w nocy, rodzina wykopała ciało.

– Widok był straszny. Józek leżał nagi, bez głowy – opowiada Czesława Kasprzak.

„Powołując się na pismo prokuratury z dnia 24 października 1963 roku i na ustną rozmowę z dr. Iwaszkiewiczem proszę o zdjęcie głowy ze zwłok Józefa Franczaka”. Podpisał podprokurator powiatowy.

Wyjęty spod prawa

„Lalek” brał udział w wielu akcjach na „utrwalaczy władzy ludowej”. Kilka razy był ranny, a raz aresztowany. W czerwcu 1946 r. UB zrobił w okolicy wielką obławę. Po zatrzymaniu kilku osób, w tym Franczaka, który miał jednak dokumenty na inne nazwisko, ubecy pojechali do wsi Chmiel na wesele i raczyli się wódką. Kiedy po zabawie ciężarówka z aresztowanymi jechała do Lublina, partyzanci rzucili się na podchmielonych ubeków, obezwładnili ich i zabili pięciu. Sygnał do akcji miał dać „Lalek”.

Łapanka była związana z poszukiwaniami „Lwa” – Antoniego Kopaczewskiego, kierownika Inspektoratu Lubelskiego WiN. Kilka miesięcy później, w wyniku donosu i obławy „Lew” został zastrzelony, gdy wyskakiwał z konspiracyjnej kwatery. W podpalonych przez UB zabudowaniach, wskutek zaczadzenia zmarło kilka osób, m. in. czteroletnia córka gospodarzy. „Lalek” likwidował później ubeckich szpicli. Jedną z głośniejszych



Pomnik Franczaka
w Piaskach

akcji było wykonanie wyroku na Franciszka Kasperka, ps. Hardy, partyzanta, który po ujawnieniu się w 1947 r., przyczynił się do aresztowania Zygmunta Libery „Babinicza” i śmierci swojego dowódcy – Zdzisława Brońskiego „Uskoka”. Razem z „Wiktorem” – Stanisławem Kuchciewiczem, „Lalek” zlikwidował również innego konfidenta – chłopca Franciszka Drygałę, który wydał wcześniej UB dwóch partyzantów. Niewiele brakowało, aby w wyniku donosu wpadło wówczas całe

kierownictwo lubelskiego podziemia antykomunistycznego.

W lutym 1953 r., razem z „Wiktorem” i „Felkiem” – Zbigniewem Pielakiem (zmarł we wrocławskim więzieniu w 1954 r.) „Lalek” napadł na kasę Gminnej Spółdzielni w Piaskach, aby zdobyć fundusze na przetrwanie zimy. Skok nie udał się, gdyż kasjer zdążył wezwać na pomoc milicję. Stanisław Kuchciewicz – ostatni dowódca Franczaka, zginął. Jego los podzielił wcześniej „Zapora” – Hieronim Dekutowski, wspomniany już „Uskok” – Zdzisław Broński i wielu innych. Po śmierci „Wiktora” „Lalek” został sam. Przez następne 10 lat ukrywał się. Skazany na banicję, wyjęty spod prawa, aż do 21 października 1963 r.

Oprawcy gen. Fieldorfa bez sądu

16 kwietnia 1952 r. – po kilkugodzinnym procesie generał August Emil Fieldorf „Nil” został skazany na karę śmierci. 24 lutego 1953 r. komuniści zamordowali go w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Mimo iż na fali odwilży władze PRL łaskawie uchyliły wyrok, do dziś w III RP nie udało się osądzić żadnego z oprawców.

Trudno stwierdzić, kto ponosi największą odpowiedzialność za śmierć generała. Pracował na to cały sztab ludzi – przywódcy komunistycznej partii i państwa, kierownictwo Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, prokuratorzy, sędziowie, oficerowie śledczy. Wszyscy chcieli śmierci niebezpiecznego wroga politycznego – człowieka cieszącego się powszechnym autorytetem, legendy Polskiego Państwa Podziemnego. UB chciał wciągnąć go w swoją największą prowokację przeciw niepodległościowemu podziemiu – V Komendę WiN (Wolność i Niezawisłość), Fieldorf jednak odmówił.

Ten żołnierz I Brygady Legionów, uczestnik wojny 1920 r., w niepodległej Polsce zawodowy oficer, odznaczony Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyżem Walecznych, w czasie wojny był szefem Kedywu – Komendy Głównej Armii Krajowej, zastępcą ostatniego dowódcy AK gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, w końcu twórcą konspiracyjnej organizacji „Nie” (Niepodległość).

Schwytany w 1945 r. przez NKWD, po powrocie do Polski z dwuletniej zsyłki do sowieckich łagrów ujawnił się – aby utrzymać rodzinę, chciał służyć w wojsku. Generała zadenuncjował jego przełożony z kampanii wrześniowej gen. Gustaw Paszkiewicz, od 1945 r. szef Wojewódzkiego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego.

Helena Wolińska

Ta zmarła dwa lata temu prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej 21 listopada 1950 r. na wniosek por. Zygmunta Krasieńskiego z Departamentu III MBP (walka z podziemiem) wydała nakaz tymczasowego aresztowania Fieldorfa. Decyzja Wolińskiej była bezprawna, gdyż usankcjonowała aresztowanie „Nila” dopiero po 11 dniach od jego zatrzymania, nie przedstawiając do tego czasu żadnych dowodów winy. Drugi raz Wolińska złamała prawo 15 lutego 1951 r., przedłużając areszt Fieldorfowi – podobnie jak poprzednio ex post (poprzedni nakaz obowiązywał do 9 lutego) i również bez opisanego czynu, który był mu zarzucany. Przychylni się do niego przedstawiciele Sądu Rejonowego w Warszawie: płk Aleksander Warecki, mjr Mieczysław Widaj i mjr Zygmunt Wizelberg.



Oksford. Grób
Heleny Wolińskiej-Brus
i jej męża Włodzimirza Brusa

Kazimierz Górski

Oficer śledczy MBP w randze podporucznika (nie mylić z byłym trenerem piłkarskiej reprezentacji Polski). Kiedy 13 grudnia 1950 r. na rozkaz dyrektora Departamentu Śledczego MBP, płk. Józefa Różańskiego, Fieldorf został osadzony w więzieniu przy ul. Rakowieckiej, śledztwo – za zgodą naczelnika Wydziału Śledczego MBP ppłk. Ludwika Serkowskiego – przejął Górski (pierwsze przesłuchanie prowadził kpt. Lutosław Stypczyński). Intensywne przesłuchania (w sumie było ich 15) prowadził od 21 grudnia 1950 r. do 14 lipca 1951 r. Górski sporządził również kłamliwy akt oskarżenia przeciwko generałowi. Zarzucił mu, że podczas okupacji wydawał rozkazy likwidowania względnie rozpracowywania – przy współpracy z Niemcami – komórek PPR, oddziałów GL i AL oraz partyzantki sowieckiej.



Zygmunt Wizelberg



Aleksander Warecki

Mimo niebagatelnej roli w sprawie „Nila” Górski nigdy nie stanął przed sądem. W rozmowie ze mną pod koniec lat 90. podkreślał, że jest bardzo chory. Zaprzeczył, jakoby stosował jakikolwiek nacisk w śledztwie, miał jedynie spisywać zeznania Fieldorfa. Twierdził również, że charakter śledztwa nie zależał od niego, że wykonywał tylko rozkazy przełożonych. Na koniec wyraził żal, że musiał uczestniczyć w tej sprawie, gdyż generał był człowiekiem na wysokim poziomie, bardzo inteligentnym. Żyje do dziś.

Benjamin Wajsblech

Wiceprokurator Generalnej Prokuratury PRL podpisał (22 października 1951 r.) przygotowany przez Górskiego akt oskarżenia. Z ramienia MBP zatwierdził go wicedyrektor departamentu śledczego Wiktor Leszkowicz. Wajsblech był również ostatnią osobą, która przesłuchiwała Fieldorfa (25 lipca 1951 r.). Kilka miesięcy później oskarżał generała przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie.

W raporcie komisji powołanej w 1956 r. „dla zbadania przejawów łamania praworządności przez pracowników Generalnej Prokuratury i Prokuratury m.st. Warszawy” czytamy: „Spośród prokuratorów zatrudnionych w Departamencie Specjalnym [departament sprawował nadzór nad śledztwami prowadzonymi przez MBP i Wydziałami Specjalnymi w prokuraturach wojewódzkich – TMP] w sposób szczególnie negatywny wyróżnił się Benjamin Wajsblech. Wykazując dużą gorliwość w wykonywaniu często niepraworządnych poleceń kierownictwa oraz bezkompromisowość i bezwzględność wobec aresztowanych, obrońców, a nawet świadków, zyskał sobie u Podlaskiego [Henryk Podlaski, zastępca prokuratora generalnego PRL

– TMP] opinię jednego z najlepszych i najbardziej zaufanych prokuratorów. Opinia ta przyczyniła się do powierzenia Wajsblechowi nadzoru nad takiego rodzaju sprawami, w których osiągnięcie pozytywnego wyniku dla oskarżenia w dużej mierze zależało od stosowania niedozwolonych metod w śledztwie”.

Wajsblechowi zarzucono:

- bezpodstawne aresztowania podejrzanych i przetrzymywanie ich w areszcie mimo braku uzasadnionych przyczyn,
- usuwanie z akt śledztw protokołów zeznań korzystnych dla oskarżonych,
- sztuczne rozdzielanie spraw, które powinny być rozpatrywane łącznie,
- psychiczne i fizyczne upokarzanie i maltretowanie osób przesłuchiowanych, które podawały, że jego zachowanie było nieraz gorsze niż oficerów śledczych.



Gen. Fieldorf – więzień bezpieki

W 1957 r. Wajsblech został zwolniony z prokuratury. Zła opinia nie przeszkodziła mu jednak zostać radcą prawnym. Zmarł w 1991 r. Wiktor Leszkowicz żyje do dziś.

23 października 1951 r. Władysław Dymant, wicedyrektor Departamentu Specjalnego Prokuratury Generalnej, przesłał na ręce prezesa Sądu Wojewódzkiego m.st. Warszawy Ilii Rubinowa pismo (z klauzulą: „ściśle tajne”), w którym wnosił o prowadzenie rozprawy przeciwko Fieldorfowi przy drzwiach zamkniętych.

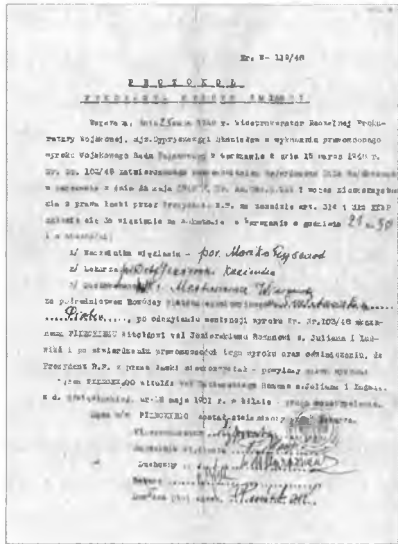
Maria Gurowska

Przewodnicząca składu sędziowskiego. 16 kwietnia 1952 r., po kilkugodzinnym procesie, razem z ławnikami: Michałem Szymańskim i Bolestawem Malinowskim oraz protokołantem H. Grądzką, „na zasadzie art. 1 pkt. 1 dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy” skazała Fieldorfa na karę śmierci. Generał miał występować przeciwko „bojownikom o wolność i wyzwolenie społeczne. Udowodnione materiałami sprawy morderstwa około 1000 antyfaszystów, tylko w części obrazują faktyczne zbrodnie, które obciążają skazanego”.

Maria Gurowska, przedwojenna komunistka, członek PPR i AL, do końca życia (zmarła pod zmienionym nazwiskiem Górowska w styczniu 1998 r., kiedy rozpoczął się jej proces o „zabójstwo sądowe”) twierdziła, że wyrok śmierci na generała był słuszny. W 1995 r. napisała do ministra sprawiedliwości, że Emil Fieldorf, jako komendant Kedywu podpisywał rozkazy mordowania bezbronnych ludzi. Twierdziła, że karę wymierzała, opierając się na dowodach, na podstawie obowiązującego wówczas prawa. Sąd III RP uznał jednak, że Gurowska działała bezprawnie, z pełną świadomością, że Fieldorf zostanie stracony.



Mord sądowy



Wykonanie wyroku śmierci

Na szczególną uwagę zasługuje podpisana przez Gurowską opinia składu sędziowskiego, skierowana do Sądu Najwyższego: „Skazany Fieldorf na łaskę nie zasługuje. Skazany wykazał wielkie natężenie woli przestępczej. (...) Zdaniem sądu nie istnieje możliwość resocjalizacji skazanego”.

Gurowska należała do sekcji tajnej Sądu Wojewódzkiego w Warszawie – grona sędziów, wyznaczonych przez wiceszefa MBP Romana Romkowskiego do wydawania wyroków na polskich patriotów. W latach 1950-1954 tajne sekcje osądziły 506 spraw.

Igor Andrejew

Razem z Emilem Merzem i Gustawem Auscalerem też pracował w sekcji tajnej. 20 października 1952 r. w imieniu Sądu Najwyższego ci trzej panowie podtrzymali wyrok śmierci wobec Fieldorfa.

Andrejew był potem chlubą polskiego sądownictwa, współtworzył uchwalony w 1969 r. kodeks karny. W 1988 r. Uniwersytet Warszawski dla uczczenia jego pracy naukowej opublikował XVI tom „Studia Iuridica”. Rok później, kiedy wyszedł na jaw udział Andrejewa w sprawie Fieldorfa, wykluczono go z Rady Naukowej Instytutu Prawa Karnego, a wkrótce potem z Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawa Karnego. Mimo to aż do śmierci Andrejewa w 1995 r. jego podręczniki figurowały w spisie lektur wydziału prawa UW.

Nie żyje również Emil Merz. Gustaw Auscaler w 1968 r. wyjechał do Izraela. Od kilku lat jest poszukiwany przez Interpol międzynarodowym listem gończym.

– W świetle prawa żaden z nich nie był sędzią – nie spełniali wymaganych kryteriów zawodowych, a jedynie polityczne. Gustaw Auscaler nie skończył nawet studiów – mówi prof. Andrzej Rzepliński.

W Izraelu mieszka jeszcze prawdopodobnie Jerzy Mering, obrońca „Nila” z urzędu. Do Janiny Fieldorf miał powiedzieć: „Pani mąż to człowiek ze stali, nie okazuje ani skruchy, ani żalu. Szkoda, że nie jest po naszej stronie”.

Paulina Kern

Wiceprokurator Generalnej Prokuratury PRL. Oskarżała Fieldorfa przed Sądem Najwyższym. Podobnie jak Helena Wolińska wyjechała potem do Wielkiej Brytanii, gdzie zmarła w 1980 r.

W Departamencie Specjalnym Kernowa pracowała od września 1950 r. do października 1951 r. Cytowany już raport komisji z 1956 r. stwierdza, że nagminnie łamała prawo: „w dniu 30 listopada 1950 roku w toku toczącej się rozprawie sądowej

odbywającej się w więzieniu przeciwko Eugeniuszowi Grzybowskiemu sprzeciwiła się wezwaniu na rozprawę świadków powołanych przez oskarżonego, a w szczególności świadka Ejmego, motywując to trudnościami w doprowadzeniu na rozprawę, mimo że świadek ten przebywał w tymże więzieniu. Świadek ten, będąc zwierzchnikiem Grzybowskiego, mógł najbardziej wiarygodnie naświetlić działalność organizacyjną oskarżonego”. Paulina Kern zignorowała również fakt, że Grzybowski odwołał wszystkie złożone w śledztwie zeznania, oświadczając, że zostały na nim wymuszone. „W swoim wystąpieniu oskarżycielskim zarzuciła Grzybowskiemu prowokację i szkalowanie organów MBP – jeśli chodzi o stosowanie »niewłaściwych metod śledztwa« – co znalazło swój wyraz w wyroku skazującym go na karę śmierci”.

Komisja przywoływała też udział Kernowej w sprawie Władysława Cisowskiego. „W lipcu 1951 roku (...), dokonując końcowego przesłuchania, nie umieściła w protokole wyjaśnień podejrzanego o torturowaniu go w toku śledztwa, a przeciwnie, oświadczyła mu, że »władze śledcze Polski Ludowej nie biją«. Odmówiła również Cisowskiemu zapoznania z całością materiałów śledztwa”.



Symboliczny grób „Nila” na Powązkach w Warszawie i pomnik w Krakowie

Z kolei 6 grudnia 1951 r. Kernowa zatwierdziła akt oskarżenia przeciwko członkom „Startu” – ekspozytury utworzonej przy delegacie rządu RP na kraj (w sprawie zapadły trzy wyroki śmierci). Komisja napisała: „Sprawa ta oparta była na wymuszonych i sztucznie dobranych dowodach” i wnioskuje wobec Kernowej: „Zwolnić z pracy w Prokuraturze PRL, gdyż stawiane jej zarzuty wskazują na to, iż nie daje ona gwarancji należytego spełniania funkcji prokuratora”.

Witold Gatner

Jeszcze niedawno ten stalinowski prokurator był szefem zespołu radców prawnych w firmie Agros. Dziś w ogóle nie zgadza się na rozmowę. Pół wieku temu, razem z naczelnikiem więzienia Alojzym Grabickim i lekarzem więziennym Maksymilianem Kasztelańskim, podpisał ostatnie zarządzenie w sprawie „Nila”: „O g. 15 doprowadzono skazanego Augusta Emila Fieldorfa na miejsce stracenia. Prokurator odczytał sentencję wyroku Sądu Najwyższego z dnia 20 października 1952 r., wyroku Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy z 16 kwietnia 52 r. oraz decyzję Rady Państwa z 3 lutego 53 r. o nieskorzystaniu z prawa łaski w stosunku do Augusta Emila Fieldorfa, po czym zarządził wykonanie wyroku. Wykonawca przystąpił do wykonania. Wyrok wykonano przez powieszenie. Po stwierdzeniu zgonu przez lekarza więziennego Prokurator ogłosił, że wyrok został wykonany. Zakończono i podpisano o godz. 15.25”.

Kaci z Mokotowa umierają bezkarni

Piotr Śmietański był na Mokotowie dowódcą plutonu egzekucyjnego. Sądząc z podpisów na protokołach wykonania wyroków śmierci – ledwo piśmienny. W praktyce żadnego plutonu nie było. Zabijał tylko on. W latach 1944-1956 w więzieniu przy ul. Rakowieckiej stracono ponad tysiąc osób. Wiele z nich było ofiarami Śmietańskiego.



Piotr Śmietański

Miał jedną wypróbowaną metodę – zabijał strzałem w tył głowy, metodą sowiecką. W ten sposób zostali zamordowani polscy oficerowie w Katyniu.

Zabijał żołnierzy AK, NSZ, WiN, działaczy niepodległościowych – wszystkich, którzy nie podobali się „ludowej” władzy.

Wśród najbardziej znanych więźniów, od kuli Śmietańskiego zginęli:

Witold Pilecki – 25 maja 1948 r.,

Hieronim Dekutowski, „Zapora” – 7 marca 1949 r.,

Adam Doboszyński – 29 sierpnia 1949 r.

Ich nazwiska można dziś znaleźć na pamiątkowej tablicy umieszczonej na więziennym murze. Zostali pogrzebani

prawdopodobnie na „Łączce” – dzisiejszej kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na Powązkach.



Adam Doboszyński
przed krzywoprzysiężnym sądem

Izrael powinien go wydać

Aż długo nie wiedzieliśmy, jak ten etatowy morderca wygląda. Po raz pierwszy zdjęcie st. sierż. Piotra Śmietańskiego opublikowano w albumie Jacka Pawłowicza „Rotmistrz Witold Pilecki 1901-1948” (Wydawnictwo Instytutu Pamięi Narodowej, 2009). Namówiłem historyka IPN, aby prócz materiałów ikonograficznych przedstawiających rotmistrza, jego rodzinę i współpracowników, pokazać także twarze morderców – od przywódców komunistycznej partii i państwa, szefostwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, po „oficerów” śledczych bezpieki, sędziów, prokuratorów, w końcu Śmietańskiego. Jacek Pawłowicz najdłużej szukał właśnie jego fotografii. Ale jest, udało się.

Po opublikowaniu albumu rozdzwoniły się telefony – wreszcie, po latach mogliśmy zobaczyć twarz (w bardziej dosadnych słowach: mordę) tego oprawcy. Ale zaraz pojawiło się

pytanie: co się z nim dzieje? Nikt nigdy go nie odszukał. Informacji o kacie z Rakowieckiej nie ma w polskiej ewidencji: Wydziale Kadr Centralnego Zarządu Służby Więziennej, Centralnym Departamencie Kadr MON, Archiwum Wojsk Lądowych i jego trzech filiach, Biurze Ewidencji i Archiwum UOP, Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Warszawie. Śmietański nie figuruje również w rejestrze PESEL. W związku z brakiem jakichkolwiek danych o mordercy śledztwo przeciwko niemu zostało w 2004 r. umorzone. Wiadomo było tylko, że wyjechał do Izraela.

Adam Cyra, historyk z Muzeum Auschwitz, napisał: „Na temat tego zbrodniarza, wykonującego wyroki śmierci w majestacie komunistycznego prawa, niewiele można ustalić. Urodził się prawdopodobnie około 1921 r., lecz jak przebiegała jego młodość i jakie były jego losy w czasie wojny, nic nie wiemy. Podobno za pozbawienie życia więźnia otrzymywał tysiąc złotych. Pensja nauczycielska w tym czasie wynosiła sześćset złotych. (...) Obecnie powinno się ustalić jego losy, o ile tam [w Izraelu – TMP] żyje. Polska powinna zażądać jego wydania celem należytego osądzenia i ukarania”⁵.

Co miałem robić?

W egzekucji rotmistrza, prócz Piotra Śmietańskiego, brali udział: ks. Wincenty M. Martusiewicz (zmarł w 1969 r. w Warszawie), prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej Stanisław

⁵ Ostatecznie okazało się, że kat Mokotowa Piotr Śmietański nie zdążył wemigrować do Izraela. Zmarł jeszcze w 1950 roku na gruźlicę. Pracę w bezpiece (Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie) zaczął na początku 1945 r. jako wywiadowca. Funkcja kata kryje się pod terminami: „do dyspozycji szefa” i „oficer do zleceń”. Był też „agentem zapotrzenia”, chyba po to, aby bardziej urozmaicić sobie monotonną pracę.

Cypryszewski (zmarł w 1983 r. w Warszawie), lekarz Kazimierz Jezierski (zmarł w 1994 r. w Podkowie Leśnej).

Z tej grupy żyje tylko zastępca naczelnika więzienia mokotowskiego Alojzego Grabickiego Ryszard Mońko. Grabicki, który skończył miesięczny kurs więziennictwa w Łodzi i pracował najpierw w Białymstoku, do końca życia, nienękany przez wymiar sprawiedliwości, ukrywał prawdę o miejscu grzebania więźniów. Jeden z ocalałych wspominał wizytę naczelnika w celi (w książce Małgorzaty Szejnert „Śród żywych duchów”). Do wysokiego, masywnego Woźniackiego powiedział: „O, na tym bym wykonał z przyjemnością”. Do „Łupaszkii”: „Na was to bym nie wykonywał, tylko bym was trzymał w więzieniu. Czasem bym was kazał przewieźć po mieście, żebyście widzieli, że Warszawa się buduje, że w Polsce jest dobrze, a wy siedzicie zbankrutowani. To by dla was była większa kara. Bo wykonaniem to się wam idzie z pomocą”. Żonie jednego ze skazanych powiedział: „Po takich zbrodniarzach ziemia musi być zrównana”.

Dziś Mońko (dwa zawody: technik rolniczy i mechanik, do 1962 r. był m.in. naczelnikiem więzienia w Częstochowie), wiedząc, że nic mu nie grozi, zdecydował się mówić: – Na Mokotów zostałem skierowany w styczniu 1948 r. ze zlikwidowanej jednostki saperskiej. Jako funkcjonariusz ds. polityczno-wychowawczych uczyłem śledczych zasad polskiego ruchu robotniczego [wcześniej sam ukończył odpowiednie kursy polityczne – TMP]. Wielu z nich nie miało nawet ukończonej podstawówki.

– A egzekucja Pileckiego?

– To był jedyne przypadek w mojej karierze. Zastępowałem Grabickiego, który takimi sprawami zajmował się rutynowo [asystował m.in. przy egzekucji mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” – TMP], ale akurat, wyjątkowo, wyjechał. Wcześniej wypełniałem tylko gotowe blankiety i podpisywałem się. Dane uczestniczących w egzekucji sprawdzałem na podstawie

okazanych mi legitymacji. 25 maja 1948 r., między godz. 21 i 21.30 do mojego gabinetu zgłosiło się czterech panów, dwóch w mundurach wojskowych, dwóch po cywilnemu. Byli z bezpieczeństwa. Na polecenie prokuratora [mowa o wiceprokuratorze NPW dla spraw szczególnych Stanisławie Cypryszewskim; też był przy rozstrzelaniu Dekutowskiego – TMP] rozkazałem doprowadzenie Pileckiego na miejsce straceń. To był mały, oddzielnie stojący budynek za X pawilonem, którym rządził MBP, a oficerowie służby więziennej nie mieli tam wstępu. Widziałem, jak prowadzili Pileckiego pod rękę, a on poprosił ich, żeby go puścili, bo chce iść sam. Weszli do środka, ja zostałem na zewnątrz. Słyszałem jeden strzał. Więźniów politycznych rozstrzelivano, pospolitych wieszano [były wyjątki, komuniści powiesili np. gen. Fieldorfa, aby go upokorzyć – TMP]. Pluton egzekucyjny to był jeden funkcjonariusz UB [mowa właśnie o Śmieciańskim – TMP]. Lekarz w wojskowym mundurze wszedł do budynku i stwierdził zgon. Przed wykonaniem wyroku z Pileckim rozmawiał ksiądz Martusiewicz.

– Gdzie pogrzebano Pileckiego?

– Nie brałem w tym udziału. Od dyżurnych wartowników słyszałem, że ciała zabitych wywoziła gdzieś sanitarka więzienna. Często jechał w niej naczelnik, który miał prawo jazdy.

– Dlaczego podpisał pan protokół wykonania kary śmierci?

– A co miałem robić?

„Dziadziuś” z „przedsiębiorstwa”

Nie żyje już żaden z funkcjonariuszy stalinowskiego wymiaru „sprawiedliwości” ze sprawy Pileckiego, sędziowie – Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie: Józef Badecki, Jan Hryckowian, Stefan Nowacki (delegowany z Informacji Wojskowej),

II instancji – Najwyższego Sądu Wojskowego: Kazimierz Drohomirecki, Leo Hochberg, Roman Kryże. Prokurator Czesław Łapiński zmarł 6 grudnia 2004 r. w trakcie procesu, jaki wytoczył mu IPN. Nie żyje także „góra”, która nadzorowała śledztwo – szefowie MBP: Stanisław Radkiewicz i jego zastępca Roman Romkowski (Natan Grunspan-Kikiel), Jacek Różański (Józef Goldberg), dyrektor Departamentu Śledczego MBP i Józef Czaplicki, dyrektor Departamentu III.



Józef Czaplicki,
„Akower”



Jan Hryckowian



Józef Badecki

Ich losy są na ogół znane. Inaczej ze śledczymi. Wymieńmy ich w kolejności alfabetycznej (w nawiasach data i miejsce śmierci). Stefan Alaborski (1972, Warszawa, pod zmienionym 12 lat wcześniej nazwiskiem Malinowski), Tadeusz Bochenek (1994, Warszawa), Henryk Buza (1970, miejsce nieznane), Walenty Chmiel (1952, Nieporęt – na skutek postrzelenia), Józef Dusza (1993, Warszawa), Władysław Fabiszewski (1987, Warszawa), Jan Janicki (1997, Toruń), Jerzy Kroszel (1989, Gdańsk), Stanisław Łyszkowski (1978, Radom), Stefan Skrzypiec (1988, Tarnowskie Góry), Tadeusz Słowianek (1993, Łódź, jako podpułkownik, na przebieg jego kariery nie wpłynęła surowa nagana, potem zatarta, którą otrzymał w 1962 r. za upicie się), Ludwik Woźnica (1988, Łódź). Jak widać po odejściu z MBP rozproszyli się po całym kraju.



Kazimierz
Drohomirecki



Leo (Lew)
Hochberg



Roman Kryże

Rok temu zmarł Marian Krawczyński (rocznik 1920), jeden z najbardziej „zasłużonych” w sprawie, podpisany pod aktem oskarżenia. Przed wojną skończył zawodówkę, po wojnie pułkownik. Na Mokotowie pracował przez 1,5 roku, w bezpiece do 1955 r.



Jacek
Różański
(Józef
Goldberg)



Stanisław
Łyszkowski



Marian
Krawczyński

Po ujawnieniu kilka lat temu roli Krawczyńskiego w sprawie rotmistrza Pileckiego dostałem list od osoby, która znała ubeka: „Spotykałem go podczas urodzin mojej koleżanki, jego wnuczki, (gdy byliśmy dziećmi). Wiem, że ona go bardzo kochała, zawsze zwracała się do niego »dziadziuś«. Ostatnio rozmawiałem z nim

w 2006 r., ok. kwietnia. Opowiadał o podróżach służbowych do Turcji z lat 60.-70. [nieźle, jak na byłego śledczego – TMP]. Wtedy już wiedziałem, że miał do czynienia z »bezpieką«, choć wyraźnie tego nie sprecyzował. Mówił o »przedsiębiorstwie«, jako pracodawcy. Podczas tej rozmowy zrobił na mnie dosyć dobre wrażenie umiarkowanie miłego starszego pana, choć był bardzo jak na swój wiek surowy i zdystansowany. Bardzo mało wychodził z domu pomimo nie najgorszego zdrowia”.

Napluć w twarz

– Z Pileckim miałem dobry kontakt, rozmawialiśmy dużo i szczerze – mówił 83-letni Krawczyński na procesie prokuratora Łapińskiego, (jako świadek). – Pracowałem z nim 1,5–2 miesiące. Czasem dzień po dniu – z własnej inicjatywy lub na polecenie przełożonego.

Przy okazji ubek ujawnił swój dzień „pracy”: od 9.00 do 24.00, z trzy-czterogodzinną przerwą po południu. Na pytanie sądu o zawód odpowiedział: urzędnik.

Z dalszej lektury listu można „zrozumieć”, czemu nikt go dziś nie ścigał: „Podczas jednego ze spotkań towarzyskich jego córka wspomniała o obecności Krawczyńskiego w sądach i z przekonaniem przekazywała jego słowa, że »może spać spokojnie«. Ponoć zarzekał się, że nie ma sobie nic do zarzucenia. Mówił, że zna okrutnego kata, który mieszka w bloku obok i że »tamten to świnia«. Domyślałem się, że chodziło o Chimczaka”.

Sąsiad Krawczyńskiego – Eugeniusz Chimczak (rocznik 1921 r.), nadal żyje w centrum Warszawy, niedaleko ul. Madałińskiego. Najpierw był śledczym PUBP w Tomaszowie Lubelskim, w końcu pułkownikiem w Warszawie, w bezpiece do... 15.06.1984 r. Tak jak Krawczyński skończył Centralną Szkołę

MPB w Łodzi. Tak samo zeznawał przed prokuratorem IPN: żadnego przymusu fizycznego i psychicznego nie było. Nie biliśmy, nie słyszeliśmy również, aby robili to inni. Wykonywaliśmy tylko polecenia przełożonych. Chimczak był jednak bardziej wylewny: „O tym, w co był zamieszany Pilecki, mogłem się zorientować z wyjaśnień, jakie mi złożył. Moich zwierzchników interesowały wyjątkowo »sprawy szpiegowskie«”.

– Metody miał szczególne. Kiedy bicie nie skutkowało, krzyczał: „My wiemy, że masz twardą dupę, ale w celi obok jest twoja żona, z której wszystko wyciśniemy” – wspominał Chimczaka mój Ojciec, Tadeusz Płuzański, skazany razem z Pileckim na karę śmierci. – Kiedy w latach 70. spotkałem go na Nowym Świecie, mogłem mu tylko napluć w twarz, ale tego nie zrobiłem. Po wyjściu z więzienia w 1956 r. Ojca pochłonęła filozofia chrześcijańska.

W procesie Adama Humera (wicedyrektora Departamentu Śledczego MBP, zmarł w 2001 r. w Warszawie), Chimczak został skazany na siedem i pół roku więzienia, ale za kratki „ze względu na stan zdrowia” – podobnie jak pozostali sądzeni wówczas ubecy – nie trafił. A powinien również odpowiedzieć za inne swoje zbrodnie.

Niedaleko Krawczyńskiego i Chimczaka, na ul. Spacerowej, mieszkał inny ober-oprawca Jerzy Kaskiewicz. Przez nikogo nienękany zmarł w 1999 r. To on prowadził pierwsze przesłuchania grupy Pileckiego i wnosił o zastosowanie tymczasowego aresztowania, do czego „przychylił się” zastępca naczelnego prokuratora wojewódzkiego do spraw szczególnych ppłk Henryk Podlaski. Ten sam Kaskiewicz



Adam Humer

wydał postanowienie o wszczęciu śledztwa na podstawie art. 7 dekretu z 13 czerwca 1946 r. (o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa – szpiegostwo).

Do ZSRS, do siostry

Podlaski to jedna z kluczowych osób w stalinowskim systemie bezprawia. Po 1948 r., kiedy odszedł ze stanowiska zastępcy naczelnego prokuratora wojskowego, był kierownikiem Departamentu Nadzoru Prokuratorskiego Ministerstwa Sprawiedliwości, a w latach 1950-1955 zastępcą prokuratora generalnego. Funkcja zastępcy jest myląca. To on faktycznie rządził. We wszystkich miejscach pracy nakazywał, w porozumieniu z bezpieczeńką, stosowanie brutalnych represji, prowadzenie spraw bez dowodów winy, w ścisłej tajemnicy. Wiemy o tym z raportu komisji powstałej na fali „odwilży” dla zbadania „przejawów łamania socjalistycznej praworządności”.

W dokumentach czytamy: Podlaski Hersz, syn Mojżesza i Szpryncy Austern, ur. 7 marca 1919 r. w Suwałkach. Później zmienił imię na Henryk, ojciec Mojżesz został Maurycym, a matka Szprynca Stanisławą. Jego zdjęć nie ma jednak na wystawach przedstawiających komunistycznych oprawców. Powód? W 1956 r., kiedy wspomniana komisja postawiła mu zarzuty, najpierw zaczął używać imienia Bernard, a potem zniknął (tak jak Śmietański). Jego ostatni adres w Warszawie to ul. Łądowa 5 m. 91. Tu zameldowana była również jego córka Swiętłana (ur. w 1948 r., w 1974 wyemigrowała do Szwecji) i syn Włodzimierz (ur. w 1949 r.).

Przez dłuższy czas Podlaskiego szukała KG MO, ale bezskutecznie. Mówiło się o utonięciu w nurtach Bugu podczas nieudanej ucieczki na Wschód albo o samobójstwie. W ostatnim (?)

liście do żony napisał, że nie może znieść ciężaru nieprawd-
wych zarzutów. W 1967 r., po 10 latach starań, Zyta Podlaska
uzyskała sądowe potwierdzenie zgonu męża, który miał nastąpić
31 grudnia 1956 r. Tą informacją zadowolili się również pół
wieku później IPN i zaprzestał poszukiwań krwawego proku-
ratora. W 1974 r. pani Podlaska też podążyła na północ, ale nie
do córki – do Szwecji, ale do Danii, gdzie zmieniła nazwisko na
Jansen. Istnieją jednak relacje, że cała sprawa została sfin-
gowana, a Podlaski... zamieszkał w swojej drugiej po Izraelu ojczyźnie
– ZSRS, u boku siostry, która wyszła za mąż za wysokiego funk-
cjonariusza NKWD. W Urzędzie Stanu Cywilnego w Suwał-
kach, gdzie się urodził, nie ma informacji o jego zgonie.

Rozpracowywał NSZ i WiN

Podlaski to nie jedyny funkcjonariusz stalinizmu, który za-
padł się pod ziemię. Przytoczmy jeszcze raz zeznania ubeka Kraw-
czyńskiego: – Sprawę Pileckiego kończyłem razem z mjr. Szy-
mańskim. To on przyniósł mi gotowy akt oskarżenia. Był razem
z Serkowskim, który zlecił mi śledztwo i nadzorował je. Pismo
pachniało jeszcze maszyną. Nawet go nie przeczytałem – nie
było po co, bo wytyczne przyszły z KC.

Ludwik Serkowski zmarł w 1990 r. w Warszawie. Był na-
czelnikiem Wydziału II Departamentu Śledczego MBP razem
z Różańskim odpowiedzialnym za stworzenie systemu wymu-
szania zeznań za pomocą fizycznego i psychicznego przymusu.
Dziś bardziej interesuje nas Bronisław Szymański – podwładny
Serkowskiego, a zarazem bezpośredni przełożony oprawców
z Mokotowa. Urodził się w 1922 r. w Omsku. Oddelegowany
przez NKWD do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki,
trafił następnie do centrali MBP. W 1954 r. odwołany do ZSRS.

Szymański został objęty śledztwem IPN, ale „pomimo podjęcia wielu działań nie ustalono miejsca jego pobytu. Otrzymano również z Komendy Głównej Straży Granicznej odpowiedź, że przeprowadzone w jej zasobie sprawdzenia nie wykazały faktów kontroli granicznej”. Jednak według wiarygodnych źródeł może żyć nadal w Rosji, tak jak Podlaski.

„Ludowej” władzy Szymański założył się nie tylko pracą na Rakowieckiej. We wrześniu 1946 r., jako członek grupy operacyjnej MBP uczestniczył w zbrodni ludobójstwa, na co najmniej 167 żołnierzach Narodowych Sił Zbrojnych kpt. Henryka Flame „Bartka” – największego ugrupowania niepodległościowego na Śląsku Cieszyńskim. Kilka lat później brał udział w rozpracowaniu oddziałów partyzanckich WiN działających na ziemi chełmsko-włodawskiej. 6 października 1951 r. ich dowódca – Edward Taraszkiewicz „Żelazny” – zginął w walce z 800-osobową grupą UB i KBW w Zbereżu nad Bugiem.

Bił, kopał, dusił

Prócz Eugeniusza Chmiczaka żyje jeszcze dwóch śledczych ze sprawy Pileckiego. Ze śledztwa IPN: „Edward Zajac zeznał, że nie pamięta przebiegu okazań podejrzanym dowodów rzeczowych w śledztwie w 1947 r., w których to czynnościach uczestniczył i że nic mu nie jest wiadomo o stosowaniu wobec Witolda Pileckiego i aresztowanych z nim osób przemocy”.

Na Mokotowie Zajac prowadził również ciężkie, wielomiesięczne śledztwo wobec Jerzego Woźniaka osadzonego w celi izolacyjnej X Pawilonu. Ten żołnierz AK, NIE, 2. Korpusu gen. Andersa i Zrzeszenia WiN w listopadzie 1948 r. został skazany w tzw. procesie kiblowym na karę śmierci zamienioną na dożywocie. W wolnej Polsce był m.in. kierownikiem Urzędu ds. Kombatantów i Osób

Represjonowanych. Zając torturował też, razem ze wspomnianym Jerzym Kaskiewiczem, Stanisława Sędziaka, cichociemnego, szefa sztabu Okręgu Nowogródek AK, któremu również udało się uniknąć strzału w tył głowy z rąk Piotra Śmietańskiego.

Na proces Łapińskiego Edward Zając nie stawiał się. Podobnie jak Zbigniew Kiszel. Prokuratorowi IPN mówił, że „nie przypomina sobie sprawy rotmistrza Witolda Pileckiego i innych z nim zatrzymanych osób. Ww. po okazaniu mu sporządzonych przez niego protokołów przesłuchań podejrzanych (...) potwierdził, że dokonywał czynności przesłuchania wymienionych osób, jednakże nie pamięta przebiegu tych przesłuchań”. Kiszel stwierdził oczywiście, że żadnego przymusu nie stosował i nie słyszał, żeby robili to inni. Dziwnie przypomina to tłumaczenia Zajęcia, Krawczyńskiego i Chimczaka.

Władysław Minkiewicz w książce „Mokotów, Wronki, Rawicz” wspominał, jak Kiszel – jego „główny oprawca” – bił go gumową pałką, kopał, kazał siedzieć na nodze odwróconego stołka i robić w nieskończoność przysiady: „Lubił również, kiedy byłem już zupełnie wyczerpany, dusić mnie, ściskając za gardło. Podczas śledztwa dwa razy zemdlałem”.

W charakterze świadków...

Wobec wszystkich śledczych postępowanie zostało umorzone. Uzasadnienie: „Analiza zgromadzonego w postępowaniu karnym materiału dowodowego pozwala na ustalenie w sposób niebudzący wątpliwości, iż funkcjonariusze MBP w 1947 r. znęcali się fizycznie i psychicznie nad przesłuchiwanymi podejrzanymi: Witoldem Pileckim, Marią Szelągowską, Tadeuszem Płużańskim, Makarym Sieradzkim, Witoldem Różyckim, Ryszardem Jamontt-Krzywickim, Jerzym Nowakowskim

i Maksymilianem Kauckim vel Antonim Turskim. Stwierdzić należy jednakże, że w chwili obecnej w sytuacji, gdy nie żyją wszyscy pokrzywdzeni, a członkowie ich rodzin posiadają jedynie szczątkowe informacje o przebiegu przesłuchań ich bliskich, nie ma możliwości ustalenia, który (którzy) z kilkunastu funkcjonariuszy MBP (...) stosował (stosowali) przemoc wobec przesłuchiwanym (...), a więc nie da się zindywidualizować odpowiedzialności i przypisać sprawstwa konkretnej osobie. Pomimo podjęcia wielu działań, nie zdołano w oparciu o istniejące dowody przedstawić zarzutu popełnienia przestępstwa znęcania byłym funkcjonariuszom”.

To niestety efekt braku deubekizacji i uznania całego ówczesnego systemu za przestępczy. Dzięki temu odpowiedzialności uniknął Zbigniew Kiszal, Edward Zając i żyjący jeszcze wówczas Marian Krawczyński. Dlatego prokurator IPN wzywał ich jako świadków.

„Nasza Polska” nr 5 (744) z dnia 2 lutego 2010 r.

Komunistyczni bandyci za kraty

Jak długo jeszcze jeden z najbardziej krwawych funkcjonariuszy stalinizmu – były zastępca Józefa Goldberga-Różańskiego – wiceszef Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Wiktor Leszkowicz pozostanie bezkarny? To samo pytanie dotyczy dwóch oprawców w todze – prokuratora Józefa Chomętowskiego i sędziego Jerzego Godlewskiego.

Cała trójka była oskarżona przez IPN o bezprawne pozbawienie wolności i nieuzasadnione przedłużanie aresztu Józefa Stemlera – wiceministra informacji Delegatury Rządu na Kraj. W lutym 1951 r. Stemler został zatrzymany przez UB na trzy miesiące, jednak formalna decyzja o aresztowaniu została podjęta dopiero po 5 dniach, a nie – jak wymagało tego prawo – po 48 godzinach. Takie bezprawne decyzje o pozostawianiu Stemlera w więzieniu zapadały jeszcze



Widok z okna byłego aresztu śledczego MBP przy ul. Rakowieckiej

wielokrotnie. Podczas trwającego przez pięć lat – od 1951 do 1955 r. śledztwa podejmowało je kilkanaście osób, m.in. prokurator Helena Wolińska i sędzia Stefan Michnik. Wobec śmierci w Oksfordzie tej stalinowskiej inkwizytorki tylko Michnik jest dziś w zasięgu polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Normalna praca



Była katownia bezpieki widziana
od więziennego podwórza

Kilkanaście lat temu na pytanie sądu, co robił w bezpiece, Wiktor Leszkowicz odpowiadał: normalnie pracowałem. Wówczas był świadkiem (a nie oskarżonym!) na procesie Adama Humerera (kolejny wiceszef Departamentu Śledczego MBP), podczas którego sądzono również jego podwładnych – „oficerów” śledczych. W czasie tej normalnej pracy Leszkowicz poznał

wszystkich oskarżonych. O dziwo pamiętał również Humera, który przez pewien czas był jego przełożonym (inni oskarżeni byli podwładnymi Leszkowicza). Tu jednak pojawiła się amnezja. O czym Leszkowicz zapomniał? Oczywiście o tym, jakie rozkazy dostawał od Humera i jakie sam wydawał podległym mu „śledziom”. Nie mógł zatem kojarzyć, jakie metody śledcze stosował sam, a także jakich wymagał od niższych rangą bezpieczeniaków. Krótko mówiąc – nie miał pojęcia, co działo się w jego pracy, a więc w areszcie śledczym MBP na Rakowieckiej w Warszawie. A skoro tak, nie mógł rzecz jasna wiedzieć, czy stosowano (stosował) jakikolwiek przymus wobec więźniów – czy to fizyczny czy psychiczny. Coś o zbrodniczych praktykach musiał jednak słyszeć, skoro stwierdził: „Jeśli ktoś to robił, to na własną rękę”. Pamięci nie przywróciły mu fragmenty jego własnych zeznań, jakie składał w 1956 r., kiedy przyznawał, że bezpieczeństwo nagminnie łamało socjalistyczną praworządność: „Tyle minęło lat, nie wiem, co wtedy miałem na myśli”.

Wiktor Leszkowicz do bezpieki wstąpił we wrześniu 1944 r., w wieku 26 lat. Funkcję wicedyrektora Departamentu Śledczego MBP pełnił od 15 listopada 1951 r. do 8 kwietnia 1954 r. Członek PPR i PZPR, absolwent kursu NKWD w Kujbyszewie, podpułkownik LWP. W 1957 r. został zwolniony z wojska. Twierdził, że powodem nie było jego okrucieństwo, ale względy zdrowotne. Był jednak ambitny i zdrowie nie przeszkodziło mu ukończyć 20 lat później wyższych studiów humanistycznych. Za swoje zbrodnie nigdy nie trafił za kraty.

Szpieg biskupa Kaczmarka

Wracając do sprawy, która połączyła śledczego Leszkowicza, prokuratora Chomętowskiego i sędziego Godlewskiego



Bp Czesław Kaczmarek

– sprawy Józefa Stemlera. Urodzony w 1888 r., w II RP był działaczem oświatowym, organizował m.in. walkę z analfabetyzmem, popularyzował czytelnictwo. W 1926 r. został członkiem Wielkiej Rady Obozu Wielkiej Polski. W czasie II wojny światowej więzień KL Auschwitz. Od listopada 1944 r. pełnił funkcję zastępcy dyrektora Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj, ps. „Doliński”, „Jan Dąbski”.

W marcu 1945 r. Stemler był sekretarzem delegacji, która przybyła do Pruszkowa na zaproponowane przez Sowietów rozmowy polityczne. Zaproszenie gen. NKWD Iwana Sierowa okazało się pułapką, w wyniku której – wraz z innymi przywódcami Polski Podziemnej – został wywieziony do Moskwy. Po trzech miesiącach spędzonych na Łubiance, podczas procesu 16 Józef Stemler został uniewinniony.

Wrócił do kraju i został szefem przedstawicielstwa Kongresu Polonii Amerykańskiej w Warszawie. Po kilku latach komunii – tym razem polscy – wszczęli przeciwko niemu śledztwo dotyczące „bezprawnego posiadania i rozpowszechniania informacji stanowiących tajemnicę wojskową i państwową”. Stemlerowi zarzucono udział w amerykańskiej siatce szpiegowskiej, związanej z biskupem kieleckim Czesławem Kaczmarkiem. 9 lutego 1955 r. został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę sześciu lat więzienia, obniżoną na mocy amnestii do lat trzech. Po wyjściu z więzienia długo wolnością się nie nacieszył – zmarł w 1966 r.

Względy merytoryczne

Dla trzech oskarżonych prokurator IPN żądał kar od 2,5 do 3,5 roku więzienia za bezprawne działania wobec Józefa Stemlera i łączniczki AK Józefy Głowczewskiej. Wiktorowi Leszkowiczowi i Józefowi Chomętowskiemu zarzucono, że przychylili się do wniosków o przedłużenie aresztu, mimo że prokuratura złożyła je po terminie, i nie podjęli decyzji o zwolnieniu aresztowanego, co – jak głosił akt oskarżenia – „skutkowało bezprawnym pozbawieniem wolności pokrzywdzonego z powodu jego wcześniejszej działalności w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego”.

Zdaniem IPN, decyzje stalinowców wynikały z „walki politycznej z przeciwnikami nowego ustroju”: „By dowieść rzekomej winy, organa bezpieczeństwa rękożma prokuratorów i sędziów fałszowały dowody i śledztwa”. Prokurator Marek Klimczak zwrócił również uwagę, że Józef Stemler był obwiniany o „faszyzację życia publicznego” w Polsce w latach... 20.

Oskarżeni, którym groziło do 10 lat więzienia, nie przyznali się do winy. Były sędzia Godlewski prote-



Rakowiecka – X Pawilon

stował przeciwko przypisywaniu wyłącznie jemu winy za decyzje trzyosobowego składu sędziowskiego: „Mogłem głosować nie tak, jak większość składu. Nie ma możliwości uchylecia tajemnicy narady”. Twierdził, że „nie ma żadnej więzi” między stawianymi mu zarzutami a jego zachowaniem jako sędziego.

Były prokurator Chomętowski zaprzeczał, by o areszt dla Stemlera wnioskował z pobudek politycznych: „Nie wiedziałem,

że Józef Stemler był działaczem Państwa Podziemnego, ja wtedy w ogóle nie wiedziałem, że coś takiego istnieje”. Przyznał, że brał udział w posiedzeniu sądu, który podjął decyzję o przedłużeniu aresztowania dla Stemlera, ale zaprzeczył, jakoby składał taki wniosek, bo nie leżało to w jego kompetencjach. W innym zeznaniu sam sobie przeczył: „W całej tej sprawie kierowałem się tylko względami merytorycznymi – dlatego 6 lipca 1954 r. na posiedzeniu sądu opowiadałem się za przedłużeniem aresztu, a po 6 miesiącach odstąpiłem od dalszego żądania aresztowania, co spowodowało, że Józef Stemler wyszedł na wolność. Dziś stawia mi się zarzut zbrodni za czyny, które spowodowały, że sprawa Stemlera nie skończyła się gorzej niż mogła się skończyć”. Innym razem stwierdził: „Nawet gdybym wnosił wtedy o uchylenie aresztu, to i tak byłoby to nieskuteczne działanie, bo Stemler był oskarżony o zbrodnię przeciwko państwu”. Chomętowski przekonywał, że nie popełnił żadnego przestępstwa w związku ze sprawą Stemlera, m.in. dlatego, że nie miał wpływu na to, że właśnie on został przydzielony do sprawy.

Kim właściwie jest Józef Chomętowski, ten niewinny, niekompetentny człowiek? W wieku 19 lat – w 1949 r. – został prokuratorem wojskowym. W MSW służył od 1955 r., najpierw jako pracownik Biura Śledczego, a od 1965 r. jego dyrektor. W maju 1971 r. został dyrektorem gabinetu ówczesnego ministra SW Franciszka Szlachcica, uzyskując awans na generała brygady. Od 1985 r. kierował Departamentem Kadr MSW, w listopadzie 1989 r. przeszedł na emeryturę.

„To nie była żadna władza”

Przed sądem Wiktor Leszkowicz na swoje usprawiedliwienie podawał, że nie miał prawa nikogo zwalniać z aresztu. Taką decyzję

mógł podjąć jego przełożony – dyrektor Departamentu Śledczego MBP Józef Różański – albo wiceminister bezpieczeństwa Roman Romkowski (Naran Grunszpan-Kikiel), który nadzorował śledztwa.

Leszkowicz przyznał jednak, że zatwierdzał wnioski do sądu i prokuratury o przedłużenie aresztowania Stemlera. Potwierdził też, że czasem robił to kilka dni po terminie, ale... za pilnowanie terminów odpowiadał kto inny: „Ja podpisywałem przygotowane dokumenty, nie sprawdzałem, jakie są tam daty i czy one się zgadzają, miałem zaufanie do naczelnika wydziału. (...) To utwierdzało mnie w przekonaniu, że wnioski były zasadne”.

Sędzia pytał, czy przy zatwierdzaniu wniosków zapoznawał się ze sprawą, czy czytał akta. Leszkowicz: „Nie mogłem czytać całych akt”. Sędzia: „To znaczy, że na podstawie lakonicznego zdania: »Ponieważ sprawa wymaga dalszego prowadzenia, wnioskuję o zastosowanie dalszego aresztu« decydował pan, żeby ktoś siedział kolejne trzy miesiące?”. Leszkowicz: „Tamtych zdarzeń dokładnie nie pamiętam”. Jakże przypomina to jego zeznania na procesie Humera. Pytany o szczegóły pracy, nagle dostawał amnezji.



Piwnice X Pawilonu

„Czy można było w tamtych warunkach trzymać kogoś bez sankcji prokuratorskiej. Czy było tak, że kodeks kodeksem, a praktyka praktyką?” – dopytywał sędzia. „Różnie bywało, mogło być święto i dlatego jakiś wniosek mógł się opóźnić” – odpowiadał pokrętnie Leszkowicz.

Sędzia pytał dalej, czy bał się odpowiedzialności za swoje czyny: „Czy czuliście się wtedy tak pewni władzy, że nie zastanawialiście się nad tym”. Leszkowicz: „To nie była żadna władza. Za dużo było spraw, by o każdej wiedzieć”. (...) Wtedy nie można było – jak dziś – powiedzieć, że nie chcę tego robić, bo się nie znam i zabrać swoje manatki. Mnie obowiązywał rozkaz i zgodnie z nim wykonywałem to lub tamto”. Podkreślał, że dwa razy prosił szefa bezpieczeństwa, by pozwolił mu wrócić do jednostki wojskowej, lecz odpowiedź była odmowna. Tak czy inaczej nic złego nie zrobił: „Czyniłem wszystko, aby ludzie nie siedzieli bez sankcji”.



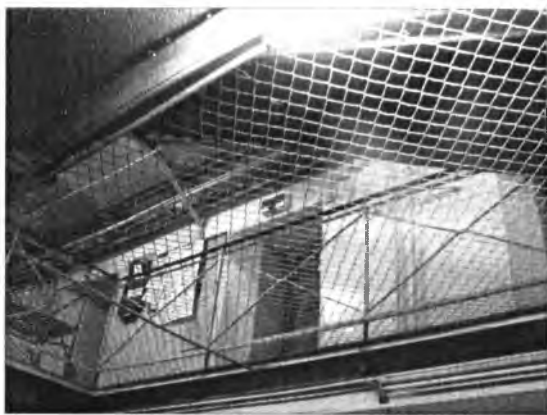
Rakowiecka

Niewinny Leszkowicz już raz w III RP był sądzony. W 2004 r. został nawet skazany na rok więzienia bez zawieszenia. Wyrok jednak odroczono bezterminowo ze względu na jego zły stan zdrowia. O mały włos nie doprowadziło to do zablokowania obecnego procesu, gdyż w świetle prawa nie można być dwa razy sądzonym za te same czyny. Szczęśliwie do sędziów dotarło w końcu, że poprzedni proces dotyczył innych

przestępstw Leszkowicza z lat 50. Ten fakt wykorzystał oczywiście jego obrońca uzasadniając, że skoro wówczas oskarżony nie trafił za kraty, teraz nie może stać się inaczej.

Prokurator IPN replikował: „Wydaje się, że do wiadomości oskarżonego w ogóle nie dociera fakt, że był karany. Myśli, że jak nie poszedł do więzienia, to wszystko jest w porządku, bo według niego nie był skazany. Oczywiście jest inaczej – wina w tamtej sprawie została potwierdzona przez sądy”. Te i inne argumenty na nic jednak się zdały.

Zbrodniczy immunitet



Tu powinien wylądować Wiktor Leszkowicz i inni oprawcy

Sąd odrzucił argumentację prokuratora, twierdząc, że oskarżeni nie prześladowali Stemlera ze względu na jego działalność niepodległościową (w takim razie dlaczego?; innego powodu nie podano). Uznał, że nie popełnili żadnego przestępstwa, ani zbrodni komunistycznej, gdyż... podczas rozprawy sądowej

Stemler miał adwokata. Dodatkowo na korzyść zastępcy Różańskiego miał świadczyć fakt, że „tylko” podpisywał dokumenty przedstawione przez podlegających mu „oficerów” śledczych.

W ten sposób Leszkowicz, tak jak Chomętowski, został uniewinniony. Wobec trzeciego z oskarżonych – Godlewskiego, który nie uchylił wadliwej decyzji o areszcie wobec Stemlera – sąd umorzył sprawę, wskazując, że pociągnięcie sędziego do odpowiedzialności karnej jest możliwe tylko w przypadku uchylenia mu immunitetu, a uzyskanie uchylenia spoczywa na oskarżycielu: „Gdyby immunitet przysługiwał czasowo, niezawisłość sędziowska byłaby iluzoryczna” – argumentował sąd, powołując się na konstytucję i orzecznictwo. Ale czy ta zasada ma chronić również oprawców w togach? Gdyby tak było, nie można by skazać żadnego funkcjonariusza stalinowskiego wymiaru „sprawiedliwości”.

Przypomnijmy, że taką samą argumentację – o ochronie immunitetem – sąd starał się przeprowadzić w sprawie Stefana Michnika. Szczęśliwie IPN obalił te absurdalne twierdzenia, skutecznie tłumacząc, że taka klauzula mogła obowiązywać jedynie w latach 50., kiedy Michnik był sędzią. Ścigania brata naczelnego „Wyborczej” nie udało się zablokować – wydano nakaz o jego tymczasowym aresztowaniu.

PS W 2010 roku Szwecja ostatecznie odmówiła ekstradycji do Polski Stefana Michnika. Były stalinowski sędzia – morderca sądowy, może spokojnie dożywać swoich dni w wygodnym domku w małej miejscowości Storvreta 10 kilometrów pod Uppsala na północ od Sztokholmu i uprawiać ogródek.

Nie osądzony nawet za część swoich zbrodni

Kazimierz Graff, zastępca naczelnego prokuratora wojskowego Stanisława Zarakowskiego, winny wielu zbrodni sądowych na żołnierzach AK i działaczach niepodległościowych, w III RP pozostaje bezkarny. Do tej pory jedynym sukcesem niepodległej Polski było odebranie mu 4 tys. zł wojskowej emerytury.



Kazimierz Graff



Stanisław
Zarako-Zarakowski

Instytut Pamięci Narodowej postawił Graffa przed sądem za prześladowanie dwóch wysokich oficerów WP – płk Stefana Biernackiego i kmdr Wacława Krzywca – komendanta ORP



gen. Stanisław Tatar

„Błyskawica”, wobec których bezprawnie przedłużył areszt w 1951 r. Pogwałcenie stalinowskiego prawa polegało na tym, że pod nakazami podpisał się ex post – kilka dni po upływie terminu aresztowania obu oficerów. Zamiast zostać zwolnieni, byli dalej poddawani ubowskiej machinie zbrodni.

Ale Graff i bezpieka wiedzieli, co robią. Aresztowanie i przesłuchanie Biernackiego i Krzywca miało związek z przygotowywanym procesem

gen. Stanisława Tatara i innych wojskowych oskarżonych w sfingowanym procesie o szpiegostwo na rzecz obcych wywiadów i tworzenie spisku w wojsku. Pod dyktando UB sądy wydały wyroki śmierci, w najlepszym wypadku dożywotniego więzienia.

Płk Stefan Biernacki i kmdr Wacław Krzywiec mieli szczęście – obaj odzyskali wolność w czasie „odwilży” 1956 r. Pierwszy został redaktorem w PWN, drugi na skutek tortur zmarł wkrótce po zwolnieniu.

Rzeczpospolita – państwo prawa?

Oskarżenie IPN na nic jednak się zdało. Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie uniewinnił Graffa, uzasadniając, że taki wyrok „nie może dziwić, bo Rzeczpospolita jest demokratycznym państwem prawa i tym obecne czasy różnią się od lat 50.”, a skazanie byłego stalinowskiego prokuratora nie miałyby sensu, gdyż system, w którym służył, „osądziła już historia”.

Szczęśliwie innego zdania był Sąd Najwyższy, który uznał, że sąd I instancji zbyt szybko i zbyt pobieżnie przeszedł do porządku nad realiami stalinizmu. Sędzia SN Antoni Kapłon tłumaczył skierowanie sprawy do ponownego rozpoznania: – Kazimierz G. twierdził, że podpisał przedłużenie aresztu, bo przesłuchiwany się przyznał. Ale oskarżony powinien był zauważyć, że przedłużał areszt wobec osoby przesłuchiwanej wielokrotnie, o różnych porach dnia i nocy. Z bogatej praktyki radzieckich służb wojskowych – z której czerpały wtedy także służby polskie – wiadomo, że osoba przesłuchiwana w ten sposób może podpisać każde zeznanie. Ostatecznie ściganie Graffa zakończyło się jednak fiaskiem. Dwa sądy: Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie, do którego sprawa wróciła, a następnie Sąd Najwyższy, który rozpatrywał zażalenie prokuratorów IPN, nie dopatrzyły się w działalności Graffa przestępstwa. Uznano, że działał zgodnie z ówczesnym prawem. Czyli represje wobec wrogów „ludu” – zamykanie w więzieniach, brutalne śledztwa, wyroki wieloletniego więzienia, w tym śmierci – były czymś normalnym.

Przeciwko Graffowi w wolnej Polsce toczyło się jeszcze jedno postępowanie. IPN-owski akt oskarżenia również dotyczył bezzasadnego aresztowania – tym razem innego niepodległościowca – żołnierza antykomunistycznego podziemia (Ruch Oporu Armii Krajowej i Narodowe Zjednoczenie Wojskowe) Stanisława Figurskiego. Kazimierz Graff usankcjonował przetrzymywanie go w więzieniu dopiero po miesiącu. W tym czasie śledczy zmusili Figurskiego, aby przyznał się do próby obalenia przemocą ustroju państwa polskiego oraz napadów rabunkowych z bronią w rękę. Ten sam Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie nie dopatrzył się w postępowaniu Graffa „znamion czynu zabronionego”, a Sąd Najwyższy ostatecznie zawyrokował: niewinny.

Kula za antysemityzm

Te dwie sprawy sądowe Kazimierza Graffa to kropla w morzu jego zbrodni. Swoje krwawe żniwo późniejszy zastępca naczelnego prokuratora wojskowego rozpoczął na początku 1946 r., kiedy jako wiceprokurator pracował w Wydziale do spraw Doraźnych Sądu Okręgowego w Siedlcach. Wydziały doraźne były chyba najbardziej krwawymi sądami w powojennej Polsce. Ze względu na liczbę zasądzonych i wykonanych wyroków śmiało można je nazwać komunistycznymi trybunałami śmierci. Skazywały przeciwników politycznych, nawet nie próbując zachować elementarnych zasad stalinowskiego prawa (sprawy prowadzono w trybie przyspieszonym, bez postępowania dowodowego, prawa do obrony i odwołania).

I tak 26 lutego 1946 r. na sesji wyjazdowej siedleckiego wydziału doraźnego w Sokołowie Podlaskim Kazimierz Graff oskarżał 15 żołnierzy AK, żądając dla nich kary śmierci i podżegając skład sędziowski do wydania takich wyroków. W ten sposób 10 AK-owców dostało KS. Żeby tego było mało – już następnego dnia Graff wydał rozkaz ich rozstrzelania tak, aby nie zdążyli przypadkiem złożyć prośby o ulaskawienie.



Bolesław Bierut

Skazany wówczas na 10 lat Leonard Gierowski zapamiętał, że Graff był w sądzie agresywny i nastliwy. Nie pozwolił rzecz jasna, by oskarżeni mieli obrońców. Koleźce Gierowskiego – Romanowi Bielińskiemu – powiedział, że „dostanie kulę w łeb”, (co rzeczywiście się stało). Powód? Bieliński przed wybuchem wojny studiował na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie

– jak zaznaczył Graff – szerzył się antysemityzm. Co krwawy stalinowski prokurator mógł wiedzieć o stosunkach panujących na przedwojennej polskiej uczelni? Otóż sam studiował prawo na UW. Już wówczas był zaangażowany politycznie: działał w Komunistycznym Związku Młodzieży „Życie” i z jego ramienia, w latach 1937-1938, przewodniczył Warszawskiemu Akademickiemu Komitetowi Antygettowemu.

Siedlecki sąd „na kółkach” (razem z prokuratorem Graffem) zawiązał nie tylko do Sokołowa Podlaskiego, ale również do innych okolicznych miejscowości, m.in. Ostrowi Mazowieckiej. Za każdym razem niósł ze sobą obfite żniwo śmierci (w Ostrowi skazał na KS 12 osób). Z dokumentów zachowanych w tzw. archiwum Bieruta wiadomo, że 6 kwietnia 1946 r. Graff uczestniczył w wykonaniu egzekucji na Henryku Dąbrowskim, Włodzimierzu Łukawskim, Tadeuszu Matejkowskim, Władysławie Mizierskim, Janie Adamiaku i Janie Mościborskim.

Sądy doraźne działały od lutego do czerwca 1946 r., orzekając w całej Polsce 364 wyroki śmierci, z tego 334 zostały wykonane.

„Przysłali mi z Warszawy Kazimierza Graffa”

Kazimierz Graff urodził się rok przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości – 11 listopada 1917 r. w Warszawie. Był najmłodszym z trzech synów kupca Maurycego i nauczycielki Gustawy z Simonbergów. Rodzinie świetnie się powodziło – miała piękne mieszkanie w kamienicy w centrum Warszawy – w Al. Jerozolimskich pod numerem 93. W 1935 r. Kazimierz ukończył elitarne gimnazjum im. Mikołaja Reja, a zaraz przed wybuchem wojny wspomniane prawo na warszawskim uniwersytecie. Tam miał poznać innych bohaterów komunizmu – Hankę Szapiro-Sawicką, Janka Krasickiego i... swoją przyszłą żonę.



Stanisław Sojczyński „Warszyc”

We wrześniu 1939 r. zaciągnął się do 44. Pułku Piechoty w Równem. Przed Sowietami uciekł do Lwowa, gdzie miał się różnych zawodów – był m.in. inspektorem domów akademickich Państwowego Instytutu Medycznego i administratorem w Państwowym Instytucie Krajoznawczym. W końcu nastąpił wymarzony dla Graffa dzień – po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej wstąpił do Armii Czerwonej, by później znaleźć się w szeregach LWP. Jako dowódca kompanii samodzielnej rusznic 3. pp. walczył pod Lenino. We wrześniu 1944 r. został ciężko ranny w walkach na warszawskiej Pradze.

W prokuraturze wojskowej rozpoczął pracę w 1945 r. (dobrowolnie; do przełożonych pisał, że znalazł swoje miejsce w życiu). Podobno był inteligentny i dowcipny. Po serii morderstw sądowych w siedleckim Kazimierz Graff awansował – w czerwcu 1946 r. został majorem. Już w grudniu został głównym oskarżycielem w sprawie poakowskiej organizacji zbrojnej – Konspiracyjnego Wojska Polskiego, dowodzonego przez legendarnego kpt. Stanisława Sojczyńskiego „Warszycą”. Dla dowódcy i jego żołnierzy domagał się wielokrotnych kar śmierci, które zostały

następnie wykonane. „Warszyca” rozstrzelano 17 lutego 1947 r., na kilka dni przed wejściem w życie amnestii. Nie wiadomo, dlaczego tej sprawy nie dołączono w 2001 r. do aktu oskarżenia przeciwko Graffowi!?

W sprawie „Warszyca” oskarżał również prokurator Czesław Łapiński (wcześniej „ciężko pracował” w innym Wydziale do spraw Doraźnych – w Białymstoku, a następnie oskarżał „grupę szpiegowską” rotmistrza Witolda Pileckiego). Kilka lat temu dał się namówić na rozmowę o „tamtych tragicznych sprawach”:

– Łódź i okolice to był mój teren, jako szefa tamtejszej prokuratury wojskowej. Na tym terenie działał Sojczyński, który po wojnie nie złożył broni, tylko brał udział w bratobójczych walkach, mordował bezbronną ludność, przedstawiciele władzy, peerowców. Kiedy aresztowano „Warszyca”, ludzie odetchnęli. Do pomocy w procesie przysłali mi z Warszawy Kazimierza Graffa, mimo że wcale o taką pomoc nie prosiłem. Widać chcieli, żeby sprawę poprowadził ktoś zaufany. Grupę Sojczyńskiego podzieliliśmy między siebie na pół. Graff „obsługiwał” tych od góry, ja mniejsze przewinienia i wnosiłem o kary od pięciu do dziesięciu lat więzienia.

„To nie ja mordowałem, tylko oni”

W wolnej Polsce, poprzedniczka IPN – Główna Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu ustaliła, że skazanie Stanisława Sojczyńskiego było morderstwem sądowym. Konspiracyjne Wojsko Polskie zostało uznane za jednostkę walczącą o niepodległość kraju przeciwko sowieckiemu zniewoleniu.

Kazimierz Graff odmówił rozmowy o procesie „Warszyca”.

– Wyjeżdżam na dłużej – oświadczył. – Wszystko znajdzie pan w aktach. Nie mam nic do dodania.

- A zarzut o morderstwo sądowe?
- To tylko sugestia. Kiedyś były inne oceny, teraz są inne.
- Dla Stanisława Sojczyńskiego domagał się pan kilku kar śmierci...
- Może to dużo, a może mało. Sprawę ocenią historycy.
- Niczego pan nie żałuje?
- Udziału w procesie „Warszyca” nie. Żałuję tylko, że w ogóle były takie sprawy, że mordowano ludzi.
- Nie czuje się pan winny morderstwa?
- ...

Po chwili słyhać ściszony głos żony. Podpowiada, co Graff ma mówić.

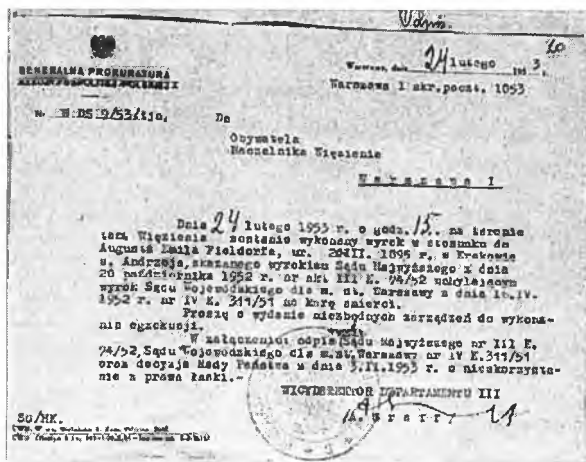
- Morderstwo? Przecież to nie ja mordowałem, tylko oni.
- Kto?
- Przepraszam, ale muszę już kończyć.
- Kiedy przesłuchiwałeś Graffa w 1997 r., twierdził, że nie pamięta procesu „Warszyca”. Niewiele brakowało, aby zapomniał, że w ogóle pracował w sądownictwie – usłyszeliśmy przed laty w łódzkiej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, która prowadziła dochodzenie w sprawie zabójstwa Stanisława Sojczyńskiego.

Za „Warszyca” Graff dostaje kolejny awans – we wrześniu 1949 r. zostaje zastępcą naczelnego prokuratora wojskowego Stanisława Zarako-Zarakowskiego.

Bez słowa przepraszam

Żona Kazimierza Graffa, Alicja – w czasach stalinowskich wicedyrektor Departamentu III Generalnej Prokuratury, w 1953 r. podpisała się pod pismem do naczelnika więzienia na Rakowieckiej, informującym o terminie wykonania wyroku

śmierci na generale Augustcie Emilu Fieldorfie „Nilu”. Podobnie jak w przypadku „Warszyca”, był to mord sądowy. Kiedy po latach rodzina bohatera Polski Podziemnej napisała do niej list z prośbą o wyjaśnienie okoliczności śmierci gen. Fieldorfa, Graff nie odpisała. Nigdy nie odpowiedziała na pytanie: jak zginął legendarny szef Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej, ani na żadne inne pytanie o swoją przeszłość i rolę w stalinowskim systemie bezprawia. Nie zdobyła się na słowo: przepraszam.



Pismo Alicji Graff
w sprawie gen. Fieldorfa

Alicja Graff była zaangażowana nie tylko w morderstwo na gen. Fieldorfie. Nadzorowała również sprawę aresztowanego przez bezpiekę płk. Wacława Kostka-Biernackiego, zaufanego Józefa Piłsudskiego jeszcze z czasów legionowych. W piśmie z 19 listopada 1953 r. Graff wymieniała zarzuty wobec Biernackiego: „Od 1931 r. do 31 sierpnia 1939 r. w związku z wykonywaniem urzędu wojewody nowogródzkiego i poleskiego



Płk Waclaw
Kostek-Biernacki

na terenie tych województw realizował politykę sanacyjnego rządu faszystowskiego dławienia rewolucyjnego ruchu mas pracujących miast i wsi oraz wynaradawiania ludności ukraińskiej i białoruskiej. (...) Nadzorował znajdujący się na podległym mu terenie obóz w Berezie Kartuskiej, będący zorganizowanym ośrodkiem wyniszczania działaczy ruchu robotniczego”. Dalej pani prokurator przywołała suche liczby: „Początek kary dnia 9 XI 1945 r., koniec kary 9 XI 1955 r. (...) pozostało do od-

bycia 2 lata więzienia [10 kwietnia 1953 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał Waclawa Kostka-Biernackiego na karę śmierci zamienioną potem na 10 lat więzienia, z zaliczeniem aresztu śledczego – TMP]”.

Następnie Graff opisywała zachowanie i stan zdrowia więźnia: „Opinia Naczelnika Więzienia z września 1953 r. – negatywna. Z orzeczenia Komisji Lekarskiej z dnia 1.IX.1953 r. wynika, że skazany cierpi na przewlekły zniekształcający gościec stawowy, miażdżycę uogólnioną, zwyrodnienie miażdżycowe mięśnia sercowego, rozedmę płuc, padaczkę oraz że wskazana jest [przekreślone długopisem słowa: przedterminowe zwolnienie – TMP] przerwa na okres 1 roku z uwagi na chorobę przewlekłą, stale pogarszającą się”. Płk Waclaw Kostek-Biernacki zmarł w maju 1957 r., niecałe dwa lata po odbyciu całej, 10-letniej kary w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie. Żyłby dłużej, gdyby nie mozolna praca „oficerów” śledczych. Miał tylko to szczęście, że śmierć dosięgła go na wolności.

Polityczne mielizny

Funkcję zastępcy naczelnego prokuratora wojskowego Kazimierz Graff pełnił do listopada 1951 r. Następnie do 1968 r. kierował Prokuraturą Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Był znany z tego, że nagle, jako wysłannik wyższych czynników, pojawiał się na rozprawach sądowych. W trakcie jednego z takich procesów miejscowy prokurator po konsultacjach z nim oraz „korespondencji” przy użyciu podawanych pod stołem karteczek wniósł o jak najszybsze zakończenie rozprawy. Gdy sąd doszedł do wniosku, że sprawę należy jednak kontynuować, „płk Graff dał otwarcie wyraz niezadowoleniu z tej decyzji sądu, uciekając się nawet do osobistych uszczypliwych uwag”.



Jakub Berman



Józef
Goldberg-Różański

Kazimierz Graff zasłynął jako współautor aktu oskarżenia w sprawie wspomnianego już generała Tatara i innych oficerów WP, mającej wykryć „imperialistyczny spisek w wojsku”. Pismo powstało na polecenie Bieruta. Zmarły kilka lat temu historyk wojskowości Jerzy Poksiński napisał, że akt oskarżenia „był

dokumentem politycznym. Stanowił wykładnię merytoryczną i metodologiczną dla niższych szczebli maszyny represyjnej państwa. Z tego względu przygotowaniem i zawartymi w nim treściami były zainteresowane najwyższe czynniki w państwie”.

Najwyższe czynniki w osobach Bieruta i Bermiana nie zaakceptowały jednak też oskarżycielskich, uznając, że zawierają zbyt wiele „mielizn politycznych”, a niektóre fragmenty określono wręcz jako naiwne. Nad następną wersją oskarżenia pracowali już ludzie z departamentu śledczego MBP – Anatol Fejgin i Józef Goldberg-Różański.

Po 1968 r., na fali antysemitycznych czystek, Kazimierz Graff został usunięty z prokuratury wojskowej i dwa lata później rozpoczął praktykę adwokacką.

W 1997 r., na wniosek rodziny jednego ze straconych, został skreślony z listy adwokatów. Płk Kazimierz Graff od lat mieszkał w centrum Warszawy, a ze względu na swoje „zasługi” do niedawna dostawał od państwa 4 tys. emerytury. Niemalę pieniądze za „służbę krajowi” otrzymywała również jego żona Alicja.

PS. Krwawa prokurator Alicja Graff zmarła w 2005 roku. Jej mąż, krwawy prokurator Kazimierz Graff w 2012 roku. Zostali pochowani na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie.

„Nasza Polska” nr 14 (753) z 13 kwietnia 2010 r.

Sadysta z Wroniek

Według świadków Konrad K. był jednym z najbrutalniejszych strażników w więzieniu we Wronkach. Instytut Pamięci Narodowej zarzuca mu, że w czasach stalinowskich – przez kilka lat znęcał się fizycznie i psychicznie nad więźniami politycznymi. Toczący się od kilku miesięcy przed opolskim sądem proces oprawcy dobiega końca.



Represjonowanym we Wronkach

W toku postępowania byli więźniowie Wroniek zeznawali, że Konrad K. znęcał się nad nimi: „Gdy szliśmy do pracy, Konrad K. wraz z innymi strażnikami krzychał: „Ty, ty i ty”. Ja wiedziałem, by się nie oglądać, ale mój kolega to zrobił, więc go wyciągnęli z grupy, skopali, bili po całym ciele, a potem kazali robić żabki. Gdy wrócił, słał się na nogach” – opowiadał pierwszy ze świadków. Ale jego też w innym momencie spotkały represje. K. wydał polecenie skopania go na spacerniku za to, że zamienił się na swetry z kolegą. Świadek ten zapamiętał jeszcze jedną scenę: „Na początku usłyszeliśmy od innego strażnika zdanie: „Krew wam z d... tryśnie i z mord, a będziecie, sukiny, robić jeden z drugim”. Tego zdania nigdy nie zapomnę, ono obrazuje, jak nas tam traktowano”.

Ponad 200 osób

Kolejny świadek wspominał swoje widzenie z matką. „W jego trakcie przyszli strażnicy, wywlekli mnie za ubranie, a potem zaprowadzili do K. i powiedzieli: „To jest ten skur..., który chce tu przenieść wojnę koreańską”. Gdy odzyskałem przytomność, byłem cały zakrwawiony. Nie byłem traktowany jak człowiek. Strażnicy nosili młotki za paskami, którymi bili więźniów także po głowie” – zeznawał. Podkreślał, że K. miał wśród więźniów opinię sadysty.

Sprawa K. jest częścią IPN-owskiego śledztwa dotyczącego zbrodni popełnianych na więźniach politycznych we Wronkach w latach 1945-1956. tej stalinowskiej katowni zamordowanych zostało ponad 200 osób. Oprawcami byli funkcjonariusze służby więziennej, członkowie oddziału specjalnego lub osoby działające na ich zlecenie.

K. pracę we Wronkach zaczął jako 17-latek. Z kierownika warsztatu krawieckiego awansował na komendanta pawilonu.

Podczas obecnego śledztwa i w sądzie do niczego się nie przyznał. Na swoją niewinność przywoływał fakt, że podczas jego pracy we wronieckim więzieniu obowiązywał przedwojenny regulamin: „Nawet zwracano uwagę, by więźniów nie popychać, nie ubliżać im”. Twierdził, że Wronki to był raj na ziemi: więźniowie mieli prawo do spacerów, opieki lekarza i skarg: „Osobiście tego pilnowałem. Sam nieraz pomagałem pisać o zwolnienia warunkowe, załatwiałem dla nich sprawy rodzinne”. Oczywiście sam był łagodny jak baranek: nikogo – również z przyczyn politycznych – nie represjonował. Konradowi K. grozi do pięciu lat więzienia.



„Zbrodnię można przebaczyć,
ale nie wolno jej zapomnieć”

O Boguwoli słyżał každy

Z jednym ze strażników z Wroniek rozmawiałem przed kilkoma laty. Na pytanie, czym się zajmował, odpowiedział, że pracował na „zwyżkach”: – Ale co mogłem zrobić, nic nie można było pomóc. Za každy strażnikiem stał kapuś, a za kapusiem grupa specjalna. Najwięcej kapusiów przyjechało z Warszawy i Łodzi.

Przepytywany przeze mnie strażnik zapamiętał nazwiska:

Naczelnicy więzienia: Adamczewski (Stefan Adamczewski, przedwojenny naczelnik więzienia w Rybniku, był krótko), Lwowski (Żyd), Rosiński, Boguwola (Jan Boguwola, zapamiętany jako najgorszy ze wszystkich, za jego wiedzą i zgodą stosowano fizyczne i psychiczne tortury), Jakubowski, Grembowski.

Strażnicy („klawisze”): Kamieniczny, Krzywina, Napierała.

Oddział specjalny („specie”): Srech, Gol, Szymczak (Jan Szymczak, „wyjątkowa menda”). Oddziałem kierował Wiktor Urbaniak.

Przesłuchani przez IPN świadkowie – byli więźniowie – wymieniają najbardziej krwawych oprawców. Najczęściej pojawiają się nazwiska Szymczaka i Urbaniaka. Prócz nich: Józef Mikołajczak, Jerzy Białas z kadry wyższej i niżsi rangą: Marian Dusik, Marian Kraus, Tomasz Nowicki i Adam Serwata. O naczelniku Boguwoli słyszał każdy.

„Nie po białym!, nie po czarnym!”

Władysław Minkiewicz w książce „Mokotów, Wronki, Rawicz” pisał, jak w styczniu lub lutym 1950 r. wywieziono go z więzienia na Rakowieckiej: „Po wielogodzinnej, uciążliwej podróży przyjechaliśmy do Wronek. Z dworca przeprowadzono nas pod silną eskortą przed ponury gmach więzienia i kazano stać pod bramą co najmniej godzinę. (Dowiedziałem się później, że w najgorszym okresie Wronek kazano więźniom klęczeć przed bramą)”.

Inny więzień Ryszard Pietras wspomina ten wcześniejszy okres: „Służba więzienna tłukła »nowych« pękami kluczy, pięściami i kopniakami, krzycząc jednocześnie »NIE PO BIAŁYM!« lub »NIE PO CZARNYM!«, a przecież posadzka inaczej nie była pomalowana. Oglupiano więźniów już na starcie. Szóstka, w której znalazł się Ryszard, wpadła w końcu do celi 69 na

skrzydle »B«. Ostatni biegł zdyszany redaktor Zygmunt Augustyński. Potężnie zbudowany klucznik Andrzej Krzywina [mówił o nim przepytany przeze mnie strażnik – TMP] zamierzył się na niego kluczem, aż tamten stęknął na wszelki wypadek, ale cios nie padł. Jak się później okazało, nie był to najgorszy klawisz”.

– Nowo przybyłym urządzano „ścieżkę zdrowia” – potwierdza prowadzący śledztwo prokurator IPN. – Niezależnie od pogody, nawet na mrozie, więźniowie musieli rozbierać się do naga i przez wiele godzin czekać na dziedzińcu więzienia. W tym czasie robiono im bardzo szczegółową kontrolę osobistą. Następnie byli przepędzani przez szpaler funkcjonariuszy, którzy bili ich gdzie i czym popadnie.

Jak strzelał Józik

Ryszard Pietras: „Specem od spraw politycznych był niejaki Błażejewski. (...) To właśnie on był przedtem na Mokotowie i mówił, że „tak bije AK-owiec AK-owca”. (...) Na oddziałowych-sadystów więźniowie znaleźli dobry sposób. W czasie dość częstych wizytacji więzienia ze strony władz warszawskich lub wojewódzkich padało pytanie: Jak wam się żyje, czy nie macie skarg, zażaleń? Odpowiadano: Nie mamy. Mamy bardzo dobrego, ludzkiego oddziałowego. Taka wypowiedź wystarczała, aby oddziałowy tego samego dnia zniknął. Ale ponieważ większość klawiszy miała psychopatyczne usposobienie, toteż represji nigdy nie udało się uniknąć do końca. (...) 10 maja 1950 roku rankiem około godziny 4.00 rozległ się krzyk. Ktoś na górze na IV oddziale skrzydła »B« w pojedynce bił szyby i śpiewał: »Chłopcy, na nas już czas!«. Rozległ się alarm. Słychać było tupot na korytarzu. (...) Ryszard zauważył politruka »Józika« – Józefa Grabowskiego, który z PS-a celował wyżej od okna celi. Po kilku wystrzałach

wszystko ucichło. (...) W jakiś czas później Ryszard został skierowany do szpitala więziennego i tam spotkał człowieka, który nazywał się Mieczysław Sieradzki i miał zawiązane oko. To był właśnie ten, do którego strzelał »Józik« i wystrzelił mu oko”.

Więzień Sieradzki miał szczęście. Wielu nie wytrzymało tortur. W kartotekach więziennych odnotowywano ich jako zmarłych. Jeden z więźniów rzucił się z wyższego piętra klatki schodowej na parter. Po tym „incydencie” na górze założono kraty. Często zdarzało się, że na „wolność” wypuszczano śmiertelnie chorych.

Więźniowie nie wierzyli np. w samobójczą śmierć płk Wacława Lipińskiego, bliskiego współpracownika Piłsudskiego.



Płk Wacław Lipiński

Minkiewicz pisze: „Podczas mego pobytu na Mokotowie słyszałem od kolegów, że Lipiński zachowywał się cały czas bardzo odważnie, czasami aż do przesady, wymyślał oddziałowym bez żadnego skrępowania, narażając się wskutek tego na nieustanne kary. Najprawdopodobniej tak samo postępował we Wronkach, a przy tym przesłano go tutaj z pewnością z odpowiednią adnotacją Departamentu Śledczego, zalecającą „zmiękczenie” opornego więźnia. W tym celu oddano go w ręce doświadczono-

nego oprawcy, Hoffmana, skazanego na dożywocie za współpracę z okupantem. (...) Mówiono, że po prostu powiesił go – może z pomocą innego kapusia – Hoffman”.

Płk Lipiński spoczął na cmentarzu nieopodal wronieckiego więzienia. Obok znajdują się groby innych więźniów.

Mieli sypać

Władysław Minkiewicz: „Miałem wiele szczęścia, bo w mojej [celi – TMP] zastałem wyjątkowo dobrych kolegów i ani jednego kapusia. W celi o rozmiarach podobnych jak na mokotowskiej „dziesiątce”, ale niestety bez klozetu, tylko z kibelem, jak na „jednostce”, siedziało nas pięciu. (...) Po wzajemnej prezentacji każdy z nas opowiedział pokrótce swoje więzienne dzieje. Zaczęło się ode mnie, gdyż musiałem dodatkowo przedstawić ówczesną sytuację na Mokotowie, a ponieważ ze względu na dwie rozprawy siedziałem na „ogólniaku” wyjątkowo długo i miałem możliwość poznać wielu ludzi, koledzy zasypywali mnie pytaniami o przyjaciół i znajomych, bo chyba wszyscy przeszli przez mokotowskie więzienie. Z kolei oni opisali mi dokładnie warunki we Wronkach, które na szczęście uległy ostatnio dość znacznej poprawie. Przed wszystkim zaniechano już dodatkowych przesłuchań więźniów przez władze nielubianych. Prowadzili je, na rozkaz naczelnika więzienia lub „spec’a”, więźniowie-kapusie, odznaczający się brutalnością i okrucieństwem. Niewątpliwie działo się to z inicjatywy departamentu śledczego, który liczył, że więźniowie karni, mając przed sobą perspektywę długoletnich szykan, a nawet



Stanisław Karolkiewicz

tortur, załamają się i wreszcie zaczną sypać. Znacznie rzadziej zwymano teraz więźniów do „specy”, który najczęściej starał się zjednać sobie nowych kapusiów albo przynajmniej dowiedzieć się ogólnikowo, jakie są nastroje w więzieniu. Jednakże nadal stosowano dawne, wypróbowane kary, jak na przykład tzw. żabki, polegające na niezwykle uciążliwym skakaniu w przysiadzie po więziennej galerijce oraz „pojedyńki”, czyli lokowanie więźnia w oddzielnym pawilonie w pojedynczej celi na kilka miesięcy, bez książek i gazet, bez prawa pisania i otrzymywania listów i bez prawa widzeń”.

W „pojedyńce” siedział np. ppłk Stanisław Karolkiewicz, były prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Ci z „pojedynek” i ci z tzw. ogólniaka spotykali się w „klatkach” – umieszczonych na więziennym dziedzińcu boksach, gdzie jednocześnie mogli spacerować tylko kilka osób.

Codzienny, kilkunastominutowy spacer był właściwie jedyną atrakcją monotonych dni.

Prawdziwe szczęście

Mieczysław Malczyk, który jako dziewiętnastolatek trafił do Wronek za działalność niepodległościową, opowiadał: – Aby zająć czymś myśli, nie otępieć, uczyliśmy się – tego, czego zdążyliśmy się nauczyć na wolności. Ja uczyłem innych historii. Ponieważ nie wolno nam było mieć ani papieru, ani ołówków, polaliśmy szufłę do śmieci resztkami tłuszczu z jedzenia i posypaliśmy kredą. Dostrzegł to oddziałowy, i choć nie dowiedział się, co knujemy, ukarał jednego z nas 24-godzinny karczerem. We Wronkach była to niewielka komórka pod schodami, wypełniona wodą. Niezależnie od pory roku więźniowie stali tam nago, przy otwartym oknie.



Więzienie wronieckie.
Tu mury nadal krzyczą

Powszechnie znaną osobą był ksiądz Jan Stępień, więzienny bibliotekarz (wcześniej kapelan AK i działacz narodowy), który dostarczał współwięźniom książki. W piekle odosobnienia było to prawdziwe szczęście.

Po wyjściu na wolność więźniowie nie mogli znaleźć pracy. Ludzi z przeszłością nikt nie chciał zatrudniać. Syndrom więzienny i ubecka inwigilacja dawały o sobie znać jeszcze przez wiele lat, nawet na początku lat 90.

„Nasza Polska” nr 34 (877) z 21 sierpnia 2012 r.

Zachowałam się jak trzeba

Opowieść o Danucie Siedzikównie

Danuta Siedzikówna z przestępcami nie miała nic wspólnego, choć tak traktowała V Wileńską Brygadę Armii Krajowej „ludowa” władza. Zamordowano ją 28 sierpnia 1946 r. o godz. 6.15 w gdańskim więzieniu przy ul. Kurkowej, niecałe 40 dni po aresztowaniu.

Prócz udziału w „bandzie Łupaszki”, czyli niepodległościowym oddziale mjr. Zygmunta Szendzielarza (regularna jednostka Wojska Polskiego, podlegająca konstytucyjnym władzom RP), i nielegalnego posiadania broni, komuniści oskarżyli ją – niepełnoletnią sanitariuszkę (rozstrzelano ją sześć dni przed 18. urodzinami) – o wydanie rozkazu zastrzelenia dwóch wziętych do niewoli funkcjonariuszy UB. Tego „przestępstwa” nie udowodnił jej nawet podległy bezpiece „sąd” i nie potwierdziło dwóch z pięciu zeznających „dobrowolnie” w sprawie milicjantów, którym żołnierze „Łupaszki” darowali życie. Jeden z nich



Zygmunt Szendzielarz
„Łupaszko”

– Mieczysław Mazur – zeznał, że opatrzyła go, gdy został ranny w walce z żołnierzami V Wileńskiej Brygady AK. Ale dla stalinowskich siepaczy nie miało to żadnego znaczenia.

Przez długie lata PRL-u Danuta Siedzikówna „Inka” była bandytą – podobnie jak jej dowódcy – szczególnie Zygmunt Szendzielarz. W wydanej w 1969 r. książce-paszkwilu Jana Bobczeni (były szef UBP w Kościerzynie, potem w SB) i gdańskiego dziennikarza Rajmunda Bolduana „Front bez okopów” „Inka” uczestniczy w egzekucji funkcjonariuszy UB w Starej Kiszewie. Jest „krępa”, ma „sadystyczny uśmiech”, a w jej ręce błyszczą „czarna, oksydowana stal rewolweru”.

Jeden z „łupaszkowców”, ppor. Olgierd Christa „Leszek”, zapamiętał dzień wyjazdu „Inki” do Gdańska, który stał się początkiem jej dramatu: „Stała przede mną smukła, uśmiechnięta, ładna dziewczyna, w pożyczonej gdzieś na wsi letniej sukience”.

Nie jesteśmy żadną bandą



Danuta Siedzikówna
„Inka”

Historia „Inki” jest wyjątkowa – choć dla tamtego pokolenia, wychowanego w niepodległej Polsce – właściwie typowa. Danuta Siedzikówna urodziła się 3 września 1928 r. we wsi Guszczewina pod Narewką, pow. Bielsk Podlaski (na skraju Puszczy Białowieskiej). Po wywiezieniu ojca na Syberię, leśniczkę Siedzików zajęło NKWD, i rodzina (babcia, matka i trzy córki) wynajęły pokój w Narewce. „Inka” pracowała

jako kancelistka w tamtejszym nadleśnictwie. Trzy miesiące po śmierci matki wstąpiła – mimo swoich 15 lat – tak jak jej starsza o rok siostra Wiesia – do Armii Krajowej. W ubeckim więzieniu – torturowana i poniżana – cały czas pamiętała słowa przysięgi, którą złożyła w grudniu 1943 r. Zgłaszając się na ochotnika do polskiego podziemnego wojska, przyjęła pseudonim „Inka”, na pamiątkę szkolnej przyjaźni i została żołnierzem ośrodka Hajnówka – Białowieża.



Eljasz Koton

Walczyła zatem z dwoma okupantami – najpierw niemieckim, później sowieckim. Nie tylko dla „Inki” sowiecki terror w polskim wydaniu okazał się nieporównanie gorszy. Wstępem do późniejszej tragedii były wydarzenia z czerwca 1945 r., kiedy – wraz z innymi pracownikami nadleśnictwa Narewka – za współpracę z antykomunistycznym podziemiem została aresztowana przez grupę NKWD-UB, z polecenia zastępcy szefa WUBP w Białymstoku Eljasza Kotona. W czasie transportu do siedziby białostockiego UB zostali odbici przez patrol żołnierzy V Wileńskiej Brygady majora „Łupaszki”.

Mimo rozkazu o demobilizacji Zygmunt Szendzielarz pozostał w konspiracji. Swój wybór tłumaczył w ulotce z marca 1946 r.: „Nie jesteśmy żadną bandą, tak jak nas nazywają zdrajcy i wyrodni synowie naszej Ojczyzny. My jesteśmy z miast i wiosek polskich (...). My chcemy, by Polska była rządzona przez Polaków oddanych sprawie i wybranych przez cały Naród, a ludzi takich mamy, którzy i słowa głośno nie mogą powiedzieć, bo UB wraz z kliką oficerów sowieckich czuwa. Dlatego też wypowiedzieliśmy walkę na śmierć lub życie tym, którzy za

pieniądze, ordery lub stanowiska z rąk sowieckich, mordują najlepszych Polaków domagających się wolności i sprawiedliwości”.

Koncert pieśni patriotycznych



Późniejszy
Paweł Jasienica

Po uwolnieniu „Inka” wstąpiła do oddziałów „Łupaszki”. Przez krótki czas jej przełożonym był zastępca mjr. Szeniawski, por. Lech Beynar „Nowina” (późniejszy publicysta i historyk Paweł Jasienica; w marcu 1968 r. Gomułka oskarżył go o liczne morderstwa na zlecenie „Łupaszki”).

Kiedy na początku 1946 r. brygada wznowiła działalność na Pomorzu (podporządkowana Eksterytorialnemu Okręgowi Wileńskiemu AK), Siedziówna nie miała wątpliwości, gdzie jest jej miejsce. Znow była sanitariuszką i łączniczką, służąc w szwadronie „Żelaznego” – ppor. Zdzisława Badochy, dowódcy jednego ze szwadronów „Łupaszki”. Do lipca 1946 r. uczestniczyła w akcjach przeciwko NKWD, UB i ich konfidentom, zadziwiając ofiarnością i poświęceniem (powtórzymy – opatrywała nie tylko żołnierzy niepodległościowego podziemia, ale także rannych ubeków i milicjantów). Cytowany już zastępca „Żelaznego”, ppor. Olgierd Christa „Leszek” wspominał: „Była bardzo skromna i bardzo obowiązkowa. Nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek skarżyła, choć nie brakowało długich, forsownych marszów”.

Dramat „Inki” rozpoczął się 13 lipca 1946 r., kiedy „Leszek” wysłał ją do Gdańska po medykamenty dla szwadronu i aby nawiązała kontakt z „Żelaznym” – nie wiedziano jeszcze, że miesiąc

wcześniej został zabity podczas ubeckiej obławy. Nie wiadano również, że jedna z łączniczek – Regina Żylińska-Mordas, ps. „Regina” – wydała szereg punktów kontaktowych V Brygady Wileńskiej. Jednym z nich był lokal przy ul. Wróblewskiego 7 we Wrzeszczu, do którego „Inka” przybyła 19 lipca. Było to mieszkanie siostr Mikołajewskich z Wilna. Obie siostry, Helena i Jagoda, niewiele starsze od Siedzikówny, działały w konspiracji, więc dziewczęta urządziły sobie koncert pieśni patriotycznych, który trwał do późnej nocy. Nie przypuszczały, że mieszkanie jest „spalone” i pod oknami czają się ubecy. „Inkę” aresztowali nad ranem 20 lipca i przewieźli do więzienia przy ul. Kurkowej w Gdańsku.



V Brygada Wileńska AK przed aresztowaniami

Palec na ustach

Śledztwo przeciwko Danucie Siedzikównie prowadzili funkcjonariusze gdańskiego WUBP. Strażniczka o imieniu Sabina, znana z ludzkiego traktowania więźniarek, opowiadała im, że „Inka” była bita i poniżana. Że rozbierano ją do naga, że do jej celi wpuszczano żony ubeków, którzy zginęli w akcjach przeciwko



Józef
Bik/Bukar/Gawerski

oddziałom „Łupaszki”. Aresztowana wkrótce po Siedzikównie, jedna z sióstr Mikołajewskich – Helena, zobaczyła ją tydzień po aresztowaniu. „Inka”, wyglądając przez zakratowane okno, położyła palec na ustach – dała znak, że nic nie powiedziała. Pytana o cel przyjazdu do Gdańska, powtarzała, że była umówiona na wizytę u dentysty. Ubecy nie zmusili jej nawet, aby wskazała miejsce swojego spotkania ze szwadronem – wiedzieli tylko (od „Reginy”), że ma to

nastąpić na jednej ze stacji kolejowych w Borach Tucholskich. Dlatego obstawili kilka z nich, a na właściwej – Lipowa – zostali rozbici przez żołnierzy „Łupaszki”.

Drugiego sierpnia 1946 r. Józef Bik (potem występujący pod nazwiskami Bukar i Gawerski), naczelnik Wydziału Śledczego gdańskiego WUBP, wystosował pismo do prokuratury wojсковej: „Przesyłam akta sprawy przeciwko Siedzikównie Danucie, ps. Inka, w celu przekazania do Wojskowego Sądu Rejonowego w trybie postępowania doraźnego. Proszę o uzgodnienie terminu rozprawy na dzień 3.08.1946”.

Proces, mimo iż trwał trzy godziny, był jedynie formalnością. Wyrok wydali wcześniej ubecy. Sędziowie i prokurator mieli pełną świadomość bezprawności swoich działań: niepełnoletnią dziewczynę skazali bez dowodów.

Skazana na śmierć „Inka” czekała na wykonanie wyroku zamknięta w izolatce. Wysłaną przez obrońcę prośbę o łaskę do Bieruta skład sędziowski zaopiniował negatywnie. Nie miała ona i tak żadnego znaczenia – wyrok na Siedzikównie wykonano, nim do Gdańska dotarła odmowna odpowiedź Bieruta.

„Niech żyje Polska”
 „Niech żyje „Łupaszko!”

Danuta Siedzikówna – sanitariuszka „Inka” – została rozstrzelana rankiem 28 sierpnia 1946 r., wraz ze skazanym na śmierć dowódcą pododdziału V Brygady Wileńskiej – por. Feliksem Selmanowiczem „Zagończykiem” w więzieniu przy ul. Kurkowej. Przed egzekucją „Inkę” wypowiadał ks. Marian Prusak, ściągnięty przez UB-eków z kościoła garnizonowego w Rumi, gdzie był wikarym (uczestnik Powstania Warszawskiego, w 1949 r.



„Inka” z żołnierzami
 V Brygady Wileńskiej AK

skazany na sześć lat więzienia, odsiedział trzy i pół roku): „Była bardzo spokojna. Wypowiadała się i prosiła, by pójść do mieszkania we Wrzeszczu i powiedzieć, że ją rozstrzelano. Do siostry, która była w domu dziecka w Sopocie, wysłała już pocztówkę z informacją, że dostała wyrok śmierci. [...] W końcu zaprowadzono mnie do sali egzekucyjnej. [...] Tam była cała gromada UB, jacyś żołnierze, lekarz, prokurator. Chyba ze trzydzieści osób. Było ciemno. Oszołomiła mnie ta sytuacja. W końcu wprowadzili skazańców. Prawdopodobnie mieli skute albo związane ręce. Ubecy zachowywali się grubiańsko. Nie chciałym przytaczać tu wyzwisk, które sypały się na dziewczynę i tego pana [o tym, że był to „Zagończyk”, ks. Prusak dowiedział się dopiero po latach – TMP]. Ustawiono ich pod słupkami przy ścianie. Przed rozstrzelaniem dałem im krzyż do pocałowania. Chciano im zawiązać oczy, nie pozwolili. Prokurator siedział za

małym stolikiem okrytym czerwonym suknem. Odczytał wyrok i powiedział, że nie było ułaskawienia. Potem padła komenda „po zdrajcach narodu polskiego ognia”. W tym momencie oni krzyknęli: „Niech żyje Polska!”, tak jakby się umówili. Padła salwa i oboje osunęli się na ziemię. Żołnierze strzelali z trzech, może czterech metrów”.



Symboliczny grób „Inki” i „Zagończyka”

Z najnowszych ustaleń wynika, że „Zagończyk” zginął od razu, natomiast „Inka” jeszcze żyła. Kiedy zbliżył się do niej dowódca plutonu egzekucyjnego (ppor. Sawicki) zdążyła jeszcze krzyknąć: „Niech żyje »Łupaszek!«”. Oprawca dobił ją strzałem w głowę. Ksiądz Prusak spełnił ostatnie życzenie „Inki” – przekazał wiadomość pod wskazany adres. Za to został potem skazany.

Socjalista niepodległościowiec „Bazyli”

Opowieść o Kazimierzu Pużaku

Mimo okrutnego śledztwa nie dał się złamać. Do winy się nie przyznał i – wbrew wielokrotnym wezwaniom przewodniczącego składu sądzącego – odmówił odpowiedzi na pytania. Zamiast samokrytyki, sala sądowa usłyszała: „W chwili, gdy stoję nad grobem, byłoby nie do uwierzenia, gdybym zmienił poglądy”. „Robotnik” skomentował: „Pużak prowokacyjnie rezygnuje z zeznań, trwając na pozycjach zdrady”. Kazimierz Pużak do końca pozostał wierny swoim ideałom – do Bieruta, agenta Moskwy, nie napisał prośby o ulaskawienie.

„Był głównym budowniczym Polski Podziemnej i mimo klęsk wytrwał do końca w wierności dla swego dzieła, przypieczętowując je ofiarą własnego życia” – pisał Zygmunt Zaremba, inny stary PPS-owiec. Kazimierz Pużak – więzień Szlisselburga, Łubianki, Rakowieckiej, zmarł 30 kwietnia 1950 r. w Rawiczu. Według oficjalnej wersji – na zapalenie płuc. Tylko czy



Kazimierz Pużak

na pewno była to naturalna śmierć? Przetrzymany w fatalnych warunkach mógł umrzeć z wycieńczenia.

Jego zięć, inżynier Roman Mazik, wspominał: „W styczniu 1950 r. pojechałem z żoną do Rawicza. Teść miał wyraźne kłopoty z chodzeniem. Był bardzo smutny, przygarbiony, jakby przeczuwał, że to jest ostatnie spotkanie”.

Choć amnestia zmniejszyła Pużakowi wyrok do 5 lat, z więzienia już nie wyszedł. Współwięźniowie z Rawicza opowiadają, że został zepchnięty z metalowych schodów przez strażnika nazywanego „Grubym Jankiem” (do dziś nie udało się ustalić jego personaliów), a potem – przez ok. dwa tygodnie – nie udzielono mu pomocy lekarskiej.

Władysław Gorzan zapamiętał: „Kiedy odbierali [rodzina] zwłoki, zapowiedziano, że nie wolno nikomu wyglądać przez okno. Istotnie, nikt nie wyglądał, gdyż wszyscy więźniowie stali na baczność pod ścianą celi, aby uczcić wielkiego Polaka”.

Odmówili orderu od Kwaśniewskiego

Kazimierza Pużaka pochowano 5 maja 1950 r. w nocy na cmentarzu katolickim na Powązkach w Warszawie. W pogrzebie mogła uczestniczyć tylko najbliższa rodzina pod czujnym nadzorem funkcjonariuszy UB. Miał 68 lat.

Przywódca PPS, nie bez przyczyny nazywany „romantykiem socjalizmu”, musiał zginąć, gdyż zagrażał uzurpatorskiej władzy przyniesionej do Polski na sowieckich bagnietach. Tradycję Pużaka kontynuuje jego rodzina. W III RP młodsza córka Maria nie odebrała przyznanego ojcu Orderu Orła Białego, bo miał go wręczyć prezydent Kwaśniewski.

– Szwagierka odmówiła przyjęcia Orderu Orła Białego, bo wiedziała, że ojciec nie życzyłby sobie tego – mówił mi Roman Mazik,

mąż starszej córki Pużaka. – Pan Kwaśniewski wywodzi się z tej samej formacji, która zamordowała ojca. Nigdy niczego od tego reżimu nie chcieliśmy, sami wiele wycierpeliśmy – po śmierci Pużaka wzięli nas na UB, potem przez wiele lat byliśmy śledzeni i szykanowani.

W 1989 r. Pużak został zrehabilitowany. – Gdyby żył zgodziłby się na rehabilitację – zapewniał Roman Mazik. – Rehabilitacja to darowanie win, a on nigdy żadnego przestępstwa nie popełnił. Sąd, który go skazał, i komunistyczną władzę uważał za organy obce, okupacyjne.

W latach 70. rodzina odebrała dla Kazimierza Pużaka Order Virtuti Militari i Krzyż Armii Krajowej, tyle tylko – że w Londynie.

Ze Szlisselburga do polskiego Sejmu

Kazimierz Pużak urodził się 26 sierpnia 1883 r. w Tarnopolu, gdzie uczęszczał do gimnazjum. Już w 1904 r. – na rok przed maturą – wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej. Dla partii, a nade wszystko Polski poświęcił nawet studia na wydziale prawa Uniwersytetu Lwowskiego. W 1906 r. współtworzył, razem z Józefem Piłsudskim, PPS – Frakcję Rewolucyjną, która wbrew nazwie głosiła prymat niepodległości nad reformami społecznymi. „Bazyli” – bo taki pseudonim przyjął, dał się poznać jako świetny organizator. Był również członkiem Organizacji Bojowej PPS, biorąc udział w likwidacji prowokatorów – agentów carskiej Ochrazy.

W 1911 r. aresztowano go w Łodzi. Po ponad dwuletnim śledztwie obciążony zeznaniami prowokatora został skazany na osiem lat ciężkich robót, a po odbyciu kary na dożywotnie osiedlenie na Syberii. W carskich kazamatach spędził w sumie sześć lat, z czego cztery w najcięższym więzieniu Rosji – osławionej twierdzy szlisselburskiej, skuty kajdanami w ciemnej celi. Pużaka uwolniła rosyjska rewolucja lutowa 1917 r.

Jesienią 1918 r. przybył do Warszawy, od razu włączając się w szybki bieg życia politycznego odradzającej się Ojczyzny. W rządzie Jędrzeja Moraczewskiego objął tekę sekretarza stanu Ministerstwa Poczt i Telegrafów. W pierwszych wyborach mandat poselski uzyskał z Zagłębia Dąbrowskiego, później trzykrotnie, aż do 1935 r., z Ziemi Częstochowskiej.

Od 1919 r. był członkiem Rady Naczelnej PPS. Dwa lata później został sekretarzem generalnym Centralnego Komitetu Wykonawczego, którym pozostał aż do wybuchu wojny.

Praca w II RP upłynęła mu pod znakiem działalności politycznej w Sejmie – w latach 30. jako działacz Centrolewu protestował przeciw niedemokratycznym rządóm sanacji (niewiele brakowało, aby został aresztowany w tzw. procesie brzeskim w 1930 r. – podobno Piłsudski wykreślił nazwisko Pużaka, mówiąc: „Co by o mnie powiedziano, gdybym więźnia Szlisselburga zamknął w twierdzy?”), ale i społecznej – był m.in. inicjatorem spółdzielni mieszkaniowych. W jednej z nich – kolonii złożonej z domków jednorodzinnych na warszawskim Grochowie – zamieszkał wraz z rodziną.

Wielka krzywda w Jałcie

W czasie okupacji hitlerowskiej – mimo zaawansowanego wieku – nie zaprzestał działalności dla Ojczyzny. Już w październiku 1939 r. w miejsce rozwiązanego PPS organizował konspiracyjny PPS-WRN (Wolność-Równość-Niepodległość; sama nazwa wskazuje, że w przeciwieństwie do komunistów, socjaliści dążyli do odzyskania przez Polskę niepodległości). Jego partia weszła również w skład Politycznego Komitetu Porozumiewawczego przekształconego w 1943 r. w Krajową Reprezentację Polityczną, a w marcu 1944 r. w Radę Jedności Narodowej. Temu

politycznemu przedstawicielstwu największych konspiracyjnych partii politycznych – Parlamentowi Polski Podziemnej – działającemu przy strukturach wojskowych ZWZ-AK, przewodniczył właśnie Pużak.

Szef parlamentu uznawał emigracyjne władze, uważał jednak, że kluczowe decyzje powinny zapadać w kraju. Z jego zdaniem liczone się zarówno w Polsce, jak i w Londynie. Wyrazem tego była decyzja prezydenta Władysława Raczkiewicza z wiosny 1944 r., w której ustanowił Pużaka swoim następcą. W tym celu zorganizowano nawet przelot na Wyspy, ale „Bazyli” odmówił. W rozmowie z emisariuszem rządu RP Jerzym Lerskim „Jurem” oświadczył: „Moje miejsce na złe i dobre jest z polską klasą robotniczą, a nie w emigracyjnym Londynie”.

Równie krytyczny był Pużak wobec układania się z Sowiecami, wyrażonemu paktem Sikorski–Majski (przy braku jakichkolwiek gwarancji dla naszych granic wschodnich), jak i postawy mocarstw zachodnich odnośnie sprawy polskiej. Po konferencji w Jałcie pisał: „Cios był dobrze przygotowany przez zmowę nowego »Świętego Przymierza«, (...) był aktem wielkiej krzywdy wyrządzonej Polsce, krzywdy, której nasz naród – jeśli ma zostać narodem o własnej godności – nie może zapomnieć”.

Trudno się dziwić, że przy takich poglądach miał również jednoznaczny stosunek do komunistów. A więc żadnych paktów, żadnej „bratniej” pomocy, a po wojnie – żadnej wspólnej, „zjednoczonej” partii. Właśnie za taką postawę zapłacił życiem.

Z Łubianki do Rawicza

W Powstaniu Warszawskim dowodził Organizacją Wojskową Pogotowia Powstańczego Socjalistów. Nie oznaczało to, że nie targały nim wątpliwości. „Mówił o niebezpieczeństwach

rozpalenia walki bez pewności, czy Czerwona Armia przyjdzie z odsieczą i nade wszystko – bez zapewnienia wystąpieniu zbrojnemu (...) osłony z powietrza” – wspominał Zygmunt Zaremba.

Gdy w marcu 1945 r. – znów pełen obaw – ostatecznie zgodził się wziąć udział w rozmowach z przedstawicielami Armii Czerwonej – nastroje w kraju oceniał bardzo krytycznie, co wyraził słowami: „coś się złamało w psychice i nastawieniu ludzi odpowiedzialnych za całość powierzonej im Sprawy”. Miał m.in. na myśli „legalistyczne” tendencje w Radzie Jedności Narodowej, jak i w WRN. Wielu jego kolegów chciało włączyć się w nurt budowy nowej Polski, łudząc się, że – przy pomocy aliantów – uratują demokrację i ograniczą wpływy komunistów.



Proces Kazimierza Pużaka

O tym, że jest to iluzja, Pużak przekonał się na własnej skórze. 28 marca 1945 r., razem z innymi przedstawicielami Polski Podziemnej, został podstępnie aresztowany w Pruszkowie i przewieziony do moskiewskiego więzienia na Łubiance. Ciężkie śledztwo trwało trzy miesiące – na przesłuchania był zwoływany ponad 140 razy. Mimo iż odmawiał zeznań, NKWD

zarzuciło mu dywersję na tyłach Armii Czerwonej i współpracę z hitlerowcami. Jak wspominał, „robili wszystko, żeby (...) przedstawić [nas] jako faszystów”. Ostatecznie akt oskarżenia mówił o nieujawnianiu władzom radzieckim faktu ukrycia przez Armię Krajową stacji radiowych oraz zapasów broni i amunicji. To wystarczyło, aby skazać Pużaka na półtora roku więzienia.



Więzienie w Rawiczu

Pod koniec 1945 r., dzięki amnestii, Kazimierz Pużak po czterech miesiącach więzienia wrócił do kraju. W życiu publicznym nie udzielał się, widząc, że jakiegokolwiek działalności „propaństwowej” nie da się pogodzić z wiernością przekonaniom. WRN został rozwiązany, w jego miejsce powołano „oficjalne” PPS – tylko dla takich koncesjonowanych socjalistów było miejsce w „ludowej” Polsce. Szanse na wolne wybory były iluzoryczne. Zatem Pużak spotykał się ze starymi przyjaciółmi i pisał pamiętniki.

Choć pozostawał na uboczu, „ludowa” władza o nim nie zapomniała. Komuniści już planowali „zjednoczenie” Polskiej

Partii Robotniczej z Polską Partią Socjalistyczną. Pużakowi proponowali współpracę, a nawet stanowisko premiera „ludowego” rządu (na rolę komunistycznej marionetki zgodził się jego przedwojenny współpracownik z Krakowa, działacz PPS, a w czasie okupacji PPS-WRN Józef Cyrankiewicz). Nie chciał również przymusowo emigrować, na co nalegało część znajomych i... UB.

Razem ze Zbigniewem Zarembą podjął jeszcze jedną próbę działalności – konspiracyjnej, którą miał we krwi. Wiosną 1947 r. niezależna struktura została rozbita przez bezpiekę. Po raz kolejny w swoim życiu Pużak trafił do więzienia, najpierw na Mokotów, a następnie do Rawicza.

Rydwan polskiej kontrrewolucji

Polscy komuniści – wzorem Sowietów – postanowili go zniszczyć. Wobec starego człowieka zastosowano brutalne metody nacisku. Wydawało się, że piękny życiorys Pużaka sprawia, iż nie można mu nic zarzucić, a jednak...

3 listopada 1948 r. Cyrankiewicz – już jako sekretarz generalny CKW PPS, mówił: „Dokonał się wielki rozrachunek nie tylko z dawną, niesławną przeszłością przedwojenną, reformistyczną i nacjonalistyczną PPS, ale i szczegółowy obrachunek błędów, wahań i omyłek dokonanych już w odrodzonej PPS”.

Dwa dni później Kazimierz Pużak powrócił z Rawicza do Warszawy... na swój proces. Na ławie oskarżonych przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie zasiadł obok innych zastrzelonych socjalistów – niepodległościowców: Tadeusza Szturm de Sztrema, Józefa Dziegielewskiego, Ludwika Cohna oraz Feliksa Misiorowskiego i Wiktora Krawczyka.

W dniu rozprawy poprzednik „Trybuny Ludu” – „Głos Ludu” pisał: „Proces jednoczenia się ruchu robotniczego dokonuje się

równoległe do innego procesu – eliminowania z ruchu robotniczego elementów spod znaku prawicy socjalistycznej, która jest agenturą burżuazji”. „Robotnik”, prasowy organ prokomunistycznej PPS, dodawał: „My, socjaliści polscy, oskarżamy Kazimierza Pużaka dodatkowo o to, że przez całą swoją działalność starał się wpruć PPS w rydwan polskiej kontrrewolucji”.



Kazimierz Pużak ze współoskarżonymi

Sędzili: Władysław Stasica (przewodniczący), Roman Różański (nie mylić z Jackiem Różańskim – Józefem Goldbergiem; według ustaleń historyków skazał na śmierć co najmniej dziewięciu „wrogów ludu” – wszystkie wyroki wykonano) i Napoleon Czesnak.

Oskarżali prokuratorzy: płk Stanisław Zarakowski (naczelnik prokurator wojskowy; mimo swojej krwawej działalności zmarł w Warszawie, nigdy nie osądzony, w 1998 r.) i płk Oskar Karliner (inny „ludowy” oprawca – prezes Najwyższego Sądu Wojskowego). Człowiekowi, który całe życie poświęcił walce o niepodległość Polski, zarzucili planowanie obalenia przemocą

„ludowo-demokratycznego” ustroju państwa, utrzymywanie kontaktów organizacyjnych „ze zdrajcami PPS w Londynie i innych ośrodkach emigracyjnych na zachodzie” (szczególnie z innym starym PPS-owcem – Tomaszem Arciszewskim, prezydentem RP na uchodźstwie), uprawianie politycznej dywersji, współpracę z wywiadami państw zachodnich oraz działanie „pod kierownictwem czynników światowego imperializmu” zmierzające do rozbitcia ruchu robotniczego i bloku stronnictw demokratycznych.

Renegaci socjalizmu

6 listopada we wspomnianym „Robotniku” ukazał się artykuł pod tytułem: „Proces przywódców WRN ukazuje nieprzerwany łańcuch zbrodni przeciwko ludowi polskiemu”: „Na sali sądowej odżyły wczoraj ciemne duchy przeszłości. Odżyły na szczęście już na właściwym miejscu – postaci zdradzieckie przedwojennych bonzów Partii, tych, którzy przez dwudziestolecie drugiej niepodległości konsekwentnie szli po linii zdrady i rozbijania klasy robotniczej, tych, którzy w okresie okupacji wywiedli na manowce uczciwych robotników, tych wreszcie, którzy nie spiskując przeciw Polsce sanacyjnej, spiskowali przeciw Polsce Ludowej”.

W tym samym numerze przewodniczący Rady Naczelnej reżimowego PPS Stanisław Kowalczyk tak pisał o WRN: „Ta prawicowa, złośliwa narośl na naszym ruchu, wywodzi się z pseudopatriotycznej tendencji przeciwstawiania walki narodowej walce klasowej. (...) Kiedy Pużak, Zaremba i spółka natychmiast po klęsce wrześniowej rozwiązały Polską Partię Socjalistyczną i utworzyły WRN – to uczynili to bynajmniej nie dlatego, by zmylić Gestapo. (...) Stali się po prostu macką piłsudczyzny, macką sanacji, macką ideologii burżuazyjnej, wysuniętą na

teren ruchu robotniczego. (...) Przywódcy WRN rozpoczęli zdradzieckie knowania, zesłi w podziemie konspiracji, stoczyli się do sojuszu z reakcją i do dywersji przeciwko Polsce i Socjalizmowi. To są właśnie WRN-owcy – renegaci socjalizmu”.

19 listopada 1948 r., mimo braków dowodów winy, Kazimierz Pużak i Tadeusz Szturm de Sztrem zostali skazani na 10 lat więzienia. Pozostali „renegaci” otrzymali niższe wyroki. Wobec wszystkich sąd ogłosił przepadek całego mienia na rzecz skarbu państwa. „Robotnik” triumfował: „Łagodny wyrok siłą ludowego państwa”. W rzeczywistości „ludowej władzy” chodziło o wyeliminowanie groźnego przeciwnika politycznego. Nie było już przeszkód, aby prosowiecki PPR mógł się „zjednoczyć” i zmienić nazwę na PZPR, co nastąpiło miesiąc po procesie kierownictwa PPS-WRN. Bez aresztowania i skazania Pużaka nie byłoby to możliwe.

W grudniu 1948 r. w wyniku przeprowadzonej czystki w PPS z ponad 700 tys. członków pozostało 513 tys. – tych, którzy dali się stłamsić. 15 grudnia w gmachu Politechniki Warszawskiej ogłosili swój triumf – powstanie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Pużak, od początku przeciwny tzw. zjednoczeniu ruchu robotniczego przewidział, że oznacza to wasalizację, a następnie zniszczenie prawdziwego PPS. Na wchłonięcie przez sowiecką agenturę, pod postacią PPR zgodził się Józef Cyrankiewicz. U jego boku pojawili się inni „socjaliści” – Edward Osóbka-Morawski i Henryk



Grób Kazimierza Pużaka

Jabłoński. Ceną jednego wyboru było pozostawanie przez lata u steru uzurpatorskiej władzy, drugiego – więzienie i w konsekwencji śmierć.

Groźny nawet zza grobu

Dla komunistów Kazimierz Pużak był groźny nawet zza grobu. Po pogrzebie rodzina była przesłuchiwana w gmachu MBP przy ul. Koszykowej, a oddział wojska dokonał rewizji w ich domu na Grochowie. Bezpieka za wszelką cenę chciała znaleźć rękopis wspomnień Pużaka z lat 1939-1945. Roman Mazik opowiadał: „Szukali tak szczegółowo, że rozkopali cały ogródek. W pewnym momencie jeden z żołnierzy głośno krzyknął i zawołał dowódcę. Z ziemi wyciągnięto drewnianą skrzynkę, w której zamiast archiwum PPS był... zdechły pies. Zeszyty zawierające wspomnienia „Bazylego” zostały ukryte za spluczką w ubikacji”.

Rodzina Pużaka była szykanowana aż do końca lat 70. Roman Mazik opowiadał: „Do 1956 r. musiałem »spotykać się« z ubekami, którzy za każdym razem pytali mnie o archiwum Pużaka. Po dojściu do władzy Gomułki »spotkania« były rzadsze, ale bardziej napastliwe. Przychodzili do domu, cały czas byliśmy obserwowani. Podczas każdej rocznicy śmierci Kazimierza Pużaka robili nam zdjęcia przy jego grobie”.

W 1974 r. wdowa po Pużaku, Jadwiga, na krótko przed swoją śmiercią zdecydowała się przekazać pamiętnik na Zachód. Opublikował go Instytut Literacki w Paryżu w ramach serii „Zeszytów Historycznych” (nr 41) w 1977 r. Powtórne wydanie w 1989 r., jeszcze w Polsce Ludowej, zostało okaleczone przez cenzurę.

Życiorys Kazimierza Pużaka świadczy o tym, jak dalece idee przedwojennego, niepodległościowego socjalizmu zostały po 1945 r. przerobione na propagandową papkę. Do jego historii

lubią co prawda nawiązywać różne lewicowe grupki, ale jak przybudówki postkomunistycznego SLD mogą kontynuować tradycję antykomunistycznego PPS?



Tablica na kościele
św. Karola Boromeusza
na Warszawskich Powązkach

Okazuje się, że Kazimierz Pużak nawet dziś jest groźny – i to nie tylko dla komunistów. W 1992 r. Roman Mazik zwrócił się do Ministerstwa Łączności z pytaniem, czy Pużak nie zasłużył na to, aby wydać znaczek pocztowy z jego podobizną. W odpowiedzi napisano: „propozycja ta nie została uwzględniona w planie emisji znaczków pocztowych na przyszły rok”. Polski Sejm – którego Pużak był przed wojną wieloletnim posłem – nie pamięta o jego kolejnych rocznicach. Socjalista niepodległościowiec „Bazyli” w III RP nie doczekał się również pomnika ani muzeum.

„Nasza Polska” nr 25 (764) z 22 czerwca 2010 r.

„Zapora” przeciw komunizmowi

Opowieść o Hieronimie Dekutowskim

7 marca 1949 r. został stracony wraz z sześcioma podkomendnymi – żołnierzami WiN. Podstawą był wyrok Wojkowego Sądu Rejonowego w Warszawie, chyba najbardziej krwawego trybunału śmierci w stalinowskiej Polsce. Tak zginął Hieronim Dekutowski „Zapora”, jeden z najsłynniejszych bohaterów antysowieckiej partyzantki, najbardziej znany i poszukiwany przez szwadrony NKWD i UB żołnierz Lubelszczyzny. W czasie niemieckiej okupacji, był cichociemnym, przeprowadził 83 akcje bojowe i dywersyjne. Zasłynął jako obrońca mieszkańców Zamojszczyzny przed represjami. Aresztowany wskutek zdrady we wrześniu 1947 r. podczas próby przedostania się na Zachód. Zamordowany po trwającym ponad rok, brutalnym śledztwie w katorżni bezpieki na ul. Rakowieckiej w Warszawie.

„Był ranek. Pułkownika, który podpisywał zgody na widzenie, nie było.



Hieronim Dekutowski

Siadam więc i czekam na niego, a tymczasem sekretarki, młode dziewczyny, krzątały się wśród akt. Czerwone teczki – kara śmierci, zielone – wszystko inne. Biorą te czerwone teczki i jedna z nich czyta nazwisko: Dekutowski Hieronim. Jakie śmieszne imię – mówi. A mnie serce zamarło – wiem, co znaczy czerwonateczka! A więc piszą na maszynie jakieś dane o tych skazanych, ale nic poza tym nie wiem – ani kiedy, ani gdzie te wyroki mają być wykonane”.



Hieronim Dekutowski
(po prawej)

Tak swoją wizytę w biurze przepustek na ul. Suchej w Warszawie wspominała Irena Siła-Nowicka, żona Władysława Siła-Nowickiego, powojennego politycznego przełożonego Dekutowskiego, inspektora WiN na Lubelszczyźnie, ps. „Stefan”.

Z więziennego biura przepustek Irena Nowicka poszła do aresztu na Rakowieckiej: „Wchodzę ze strażnikiem w bramę, potem korytarzem. Obok przechodzą ludzie niosący na noszach człowieka. Nie wiem, czy był żywy, czy umarły, ale zrobiło to na mnie okropne wrażenie. (...) Po jakimś czasie słyszymy stukot drewniaków – prowadzą więźniów.

Widzę Władka. Pyta od razu: co z moimi? Odpowiadam – nie wiem, zrobiłyśmy wszystko, co było można. Przecież mu nie powiem o tych teczkach na Suchej. (...) Jak się okazało tego właśnie dnia, 7-go marca 1949 roku rozstrzelano na Mokotowie siedmiu wspaniałych ludzi, towarzyszy broni Władka. A on słyszał te strzały, zegnał się z przyjaciółmi...”.

My nigdy nie poddamy się!

„Miał trzydzieści lat, pięć miesięcy i 11 dni. Wyglądał jak starzec. Siwe włosy, wybite zęby, połamane ręce, nos i żebra. Zerwane paznokcie. – My nigdy nie poddamy się! – krzyknął, przekazując przez współwięźniów swe ostatnie posłanie. Według dokumentów, wyrok wykonano przez rozstrzelanie [o godz. 19.00 – TMP]. Mokotowska legenda głosi jednak, że ubowscy kaci zapakowali majora »Zaporę« do worka, worek powiesili pod sufitem i strzelali, sycąc swą nienawiść widokiem płynącej spod sufitu niepokornej krwi. Potem, w pięciominutowych odstępach, mordowali jego żołnierzy: »Rysia«, »Żbika«, »Mundka«, »Białego«, »Junaka« i »Zawadę«, – czytamy w książce Ewy Kurek „Zaporczycy”.

„Pluton egzekucyjny” stanowił st. sierż. Piotr Śmietański, który, wzorem sowieckim, uśmiercał skazańców jednym strzałem w tył głowy. Ten sam oprawca zabił też innych bohaterów walki o wolną Polskę – rotmistrza Witolda Pileckiego i Zygmunta Szendzielarza. Przy wyroku asystował naczelnik więzienia, lekarz i kapelan.

Wybitny dowódca

Hieronim Dekutowski urodził się 24 września 1918 r. w Tarnobrzegu. Harcerz drużyny im. Jana Henryka Dąbrowskiego, członek Sodalicii Mariańskiej. Podczas wojny obronnej 1939 r. był ochotnikiem, 17 września przekroczył granicę z Węgrami i został internowany. Z obozu jednak uciekł i przedostał się do Francji, gdzie walczył z Niemcami w ramach Polskich Sił Zbrojnych, ewakuowany następnie do Anglii. W marcu 1943 r. zaprzysiężony jako cichociemny przyjął pseudonim „Zapora” i „Odra” (używał głównie tego pierwszego).



Podczas niemieckiej okupacji

W nocy z 16 na 17 września 1943 r., w ramach operacji o kryptonimie „Neon 1”, Hieronim Dekutowski został zrzucony do Polski na placówkę „Garnek” 103 (okolicie Wyszkowa). Lot z Anglii halifaksem BB-378 „D”, należącym do Dywizjonu RAF trwał 12 godzin i 30 minut (poprzednia próba z 9 na 10 września nie udała się z powodu niskich chmur i braku paliwa w samolocie; część halifaksów z polskimi skoczkami zestrzelili Niemcy).

Początkowo Dekutowski dowodził oddziałem AK w Inspektoracie Zamość, broniąc ludność Zamojszczyzny przed wysiedleniami. W styczniu 1944 r. mianowany został szefem Kedywu AK w Inspektoracie Lublin – Puławy.

Władysław Siła-Nowicki tak go zapamiętał: „Wkrótce zyskał opinię wybitnego dowódcy. Cechowała go odwaga, szybkość decyzji, a jednocześnie ostrożność i ogromne poczucie odpowiedzialności za ludzi. Znakomicie wyszkolony w posługiwaniu się bronią ręczną i maszynową, niepozorny, ale obdarzony wielkim czarem osobistym, umiał być wymagający i utrzymywał żelazną dyscyplinę w podległych mu oddziałach, co w połączeniu z umiarem i troską o każdego żołnierza zapewniało mu u podkomendnych ogromny mir. Nazywali go »Starym«, choć nie miał jeszcze trzydziestu lat”.

200-osobowy oddział „Zapory” przeprowadził 83 akcje bojowe i dywersyjne. Brał udział w akcji „Burza” na Lubelszczyźnie, po czym bezskutecznie próbował przedrzeć się na pomoc walczącej Warszawie.

Wdzięczność ubeka

Po wejściu Sowieców Dekutowski nie ujawnił się. Poszukiwany przez NKWD i UB ukrywał się na dawnych AK-owskich kwaterach. Dlaczego nie złożył broni?

Bohdan Urbankowski w książce „Czerwona msza” napisał: „Zaczęło się od tego, że czterej żołnierze »Zapory«, mieszkający w okolicach Chodla, zostali zaproszeni na tamtejszy posterunek. Dowódca posterunku MO/UB, Abram Tauber, był uratowanym przez jednego z nich Żydem, kilkakrotnie znajdował przytulisko w melinach »Zaporczyków«, po wejściu Rosjan został szefem UB w Chodlu. AK-owcy mogli spodziewać się jakiejś wdzięczności, tymczasem Tauber kazał ich wszystkich powiązać i własnoręcznie, jednego po drugim, zastrzelił. W odwecie Dekutowski rozbił posterunek w Chodlu. Data tego ataku – noc 5 na 6 lutego 1945 – oznacza początek Powstania Antysowieckiego na tych terenach”.

Wkroczenie do Polski nowego okupanta oznaczało masowe represje i mordy na Polakach, szczególnie żołnierzach AK. Jeśli uniknęli wywózki na Sybir, trafiali do katowni UB na Zamku Lubelskim (tam, prócz innych morderców, działał m.in. ściągany do swej śmierci bezskutecznie przez Instytut Pamięci Narodowej Salomon Morel). „Zapora” nie mógł stać z boku. Walce o wolną Ojczyznę poświęcił nawet prywatne życie. Ukochanej narzeczonej powiedział: „Idę do lasu, nie wiem, czy przeżyję, nie możemy być razem”. W odpowiedzi



Walce o Polskę poświęcił nawet prywatne życie

na komunistyczny terror stworzył poakowski oddział samoobrony (liczący, podobnie jak w czasie niemieckiej okupacji, ok. 200 osób). Razem z nim dokonał szeregu brawurowych akcji odwetowych na NKWD, UB, KBW i MO.

„Trzęśli” Lubelszczyzną

Latem 1945 r., na rozkaz dowództwa, po ogłoszonej przez „ludową” władzę amnestii Hieronim Dekutowski rozwiązał oddział (część jego żołnierzy ujawniła się). Sam, uważając amnestię za oszustwo i podstęp, wraz z kilkoma podkomendnymi chciał przedostać się na Zachód, ale grupa została rozbita przez UB pod Świętym Krzyżem w Górach Świętokrzyskich. Wkrótce ponowili próbę – tym razem po przejściu „zielonej granicy” dopadła ich czeska bezpieka. „Zapora” dotarł do Pragi, ale – nie znając dalszej trasy (w ambasadzie USA nie chcieli mu pomóc, twierdząc, że zajęte przez Sowieców Czechy to demokratyczny kraj), wrócił do kraju z grupą repatriantów. Na Lubelszczyźnie został żołnierzem powstającego właśnie Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (WiN). Jako najwybitniejszemu dowódcy podporządkowała się mu większość oddziałów. Znowu prowadził akcje obronne i zaczepne przeciw komunistom, zadając im znaczne straty.

Dlaczego „Zaporczycy” byli dla bezpieki szczególnie niebezpieczni?

Władysław Siła-Nowicki: „Okolo dwustu – dwustu pięćdziesięciu ludzi o wysokim poziomie ideowym, dobrze uzbrojonych i wyszkolonych,



„Zaporczycy” stanowili poważną siłę na Lubelszczyźnie

utrzymywanych w dyscyplinie, »trzęsło« połowę województwa. Stan ten przypominał pewne okresy powstania styczniowego, gdy władza państwowa ustabilizowana była jedynie w dużych ośrodkach, zaś w terenie istniała tylko iluzorycznie. Oczywiście partyzantka opierała się na pomocy miejscowej ludności ogromnej większości wsi, udzielającej ofiarnie poparcia, kwater i informacji”.

Rafał Wnuk w książce „Lubelski Okręg AK-DSZ-WiN 1944-1947” pisze, że oddziały Dekutowskiego „rozbudowały swą siatkę od Lubartowskiego na północy do Tarnobrzесьkiego na południu i od Zamojszczyzny po wschodnią Kielecczyznę”.

Pomoc „Zaporczykom” niósł klasztor w podlubelskiej Ra-decznicy, gdzie odbywały się również narady dowódców.

Dwa raporty

Z raportu Iwana Sierowa, gen. NKWD, szefa Smierszu (16 kwietnia 1945 r.): „Grupa uzbrojonych bandytów, licząca 11 osób, dokonała napadu na oddział banku w Lublinie, skąd zrabowała 200.000 złotych. Znajdujący się tam podczas napadu naczelnik pierwszej sekcji Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego województwa lubelskiego porucznik Kulwaniewski stawiał rabusiom opór i został zabity”. W rzeczywistości oddział „Zapory” zabrał 1.170 tys. zł, pierwsza sekcja WUBP w Lublinie była tą najgorszą – śledczą, a Antoni Kulwaniewski był członkiem WKP(b), oficerem Armii Czerwonej i LWP, absolwentem szkoły funkcjonariuszy bezpieczeństwa w Kujbyszewie. W ramach odwetu za akcję Dekutowskiego Sowietci aresztowali 43 osoby, z czego 13 skazali na karę śmierci i stracili w podziemiach Zamku Lubelskiego.

W innym raporcie, sporządzonym przez lubelski okręg WiN (marzec 1946 r.), czytamy: „Urzędy bezpieczeństwa działają

pod wyłącznym kierownictwem NKWD. W działalności swojej posługują się podstępem. W końcu marca grupa cywilna UB, występująca jako grupa dywersyjna AK, powołując się na »Zaporę«, zażądała kontaktu na komendanta placówki w Chodlu, lecz zapytani, zorientowawszy się w porę, podstęp udaremnili. Grupa ta udała się następnie do Bełżyc, gdzie ułatwiono jej kontakt na komendanta placówki. Żądano od niego ściągnięcia ludzi celem rzekomego urządzenia napadu wspólnego na posterunek MO. W wyniku rozstrzelano komendanta placówki oraz kilku jego ludzi”.

Moniaki, czyli Moskwa

Stefan Korboński, działacz PSL. Mikołajczyka, w książce „W imieniu Kremla” pod datą 3 października 1946 r. zapisał: „komunikat PAP z Lublina, według którego »bandy« »Zapory« z WiN i »Cisego« z NSZ, uzbrojone w broń maszynową, razem 50 osób, napadły na wieś Maniaki i spaliły ją, w tym 11 gospodarstw należących do b. akowców”.

Przypis Korbońskiego: „Mowa o starciu oddziału Hieronima Dekutowskiego »Zapory« 23 IX 1946 z ormowcami ze wsi Moniaki (a nie Maniaki), nazywanej potocznie Moskwą, zakończonym śmiercią jednego z nich i wymierzeniem kary chłosty pozostałym”.

Korboński komentował: „Najlepszy jest ten pomysł, że członkowie WiN, który składa się z nieujawnionych akowców, niszczą własność swych ujawnionych towarzyszy broni. (...) Te kłamstwa są obliczone na obudzenie w społeczeństwie oburzenia przeciwko podziemiu. Przypomina mi to tolerowanie przez gestapo bandytów, by ich zbrodniami obarczyć ówczesną konspirację i zohydzić ją w oczach kraju. Nauka nie poszła w las

i dzisiaj mają w bezpieczeństwie wiernych naśladowców. Nie darmo ją ludzie nazywają »czerwone gestapo«”.

Wieś Moniaki (obok kilku innych na Lubelszczyźnie) jeszcze przed wojną była wylęgarnią komunistycznej zarazy – późniejszych AL-owców, milicjantów i ubeków.

„Zapora” rozbił wiele placówek MO i UB. Schwytanym komunistom na ogół wymierzał kary chłosty, a następnie puszczał ich wolno. Jeśli zabijał, to nie za samą przynależność do PPR czy bezpieki, ale za wyjątkowo szkodliwą działalność, choć wielu UB-eków też oszczędził.

Odbijał też więzienia, wypuszczając aresztowanych. Jego oddział był przygotowany do akcji na Zamek Lubelski, a nawet na areszt na Rakowieckiej w Warszawie, ale w obu przypadkach znaleźli się kapusie, którzy donieśli o tych planach UB. Dzięki posiadaniu zdobycznych samochodów ciężarowych „Zaporczycy” potrafili przeprowadzić w ciągu doby kilka akcji na terenie dwóch, a nawet trzech powiatów i błyskawicznie „odskoczyć”. W biały dzień wjeżdżali do miasteczek Lubelszczyzny, rozbijali posterunki MO i uwalniali przetrzymywanych w więzieniach AK-owców. Ze względów bezpieczeństwa ciągle zmieniali kwatery, nigdy nie stacjonowali dwa razy z rzędu w tej samej wiosce.



Hieronim Dekutowski
(z prawej)

Helikopterem z Warszawy

Po kolejnej amnestii z lutego 1947 r., razem z Władysławem Siłą-Nowickim, Dekutowski podjął rozmowy

z przedstawicielami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (m.in. z płk Józefem Czapllickim, dyr. Departamentu III MBP – ds. walki z bandytyzmem, czyli niepodległościowym podziemiem; ze względu na swoją nienawiść do AK-owców nazywanym „Akowerem”, i płk Janem Tatajem, szefem WUBP w Lublinie) o warunkach ujawnienia się lubelskiej partyzantki niepodległościowej.

Władysław Minkiewicz w książce „Mokotów, Wronki, Rawicz. Wspomnienia 1939-1954” pisze: „W rezultacie w lasach na Lubelszczyźnie odbyła się konferencja, na którą przylecieli helikopterem z Warszawy wiceminister bezpieki Romkowski [Roman Romkowski – Natan Grunszpan-Kikiel – TMP], oraz dyrektor Departamentu Politycznego MBP, Luna Bristigierowa”. Porozumienia nie zawarto, gdyż bezpieka nie zgodziła się, aby aresztowani wcześniej WiN-owcy odzyskali wolność.



„Zapora” trzeci z prawej

Siła-Nowicki: „Kiedyś w trakcie tych rozmów, po podpisaniu pewnych punktów porozumienia, grupa ludzi od »Zapory« i obstawa dygnitarzy MBP zdrowo wspólnie popiła, zawsze

jednak na zasadach równości tak, aby żadna ze stron nie pozostawała bezbronna [obie strony były uzbrojone i w równej liczbie ludzi – TMP]. Potem wszyscy wsiedli do trzytonowej ciężarówki »Dodge« ze sprzętu amerykańskiego, dostarczonego armii radzieckiej. Samochód prowadził »Zapora«. Wyszkolony w prowadzeniu samochodów w warunkach terenowych, na znanej sobie gruntowej drodze pojechał z szaloną szybkością, jakby szukając śmierci. Na jednym z zakrętów wóz zarzucił, uderzył w drzewo i rozbił się na kupę szmelcu. O dziwo – nikomu z jadących nic się nie stało!”.

Ostatni rozkaz

W wyniku nieudanych rozmów „Zapora” razem z dowódcami pododdziałów swojego zgrupowania podjął kolejną próbę przedostania się na Zachód. 12 września 1947 r. wydał – jak się później okazało – swój ostatni rozkaz, przekazując dowództwo kpt. Zdzisławowi Brońskiemu „Uskokowi”. W prywatnym liście do „Uskoka” napisał: „Ja dziś wyjeżdżam na angielską stronę – jestem umówiony z chłopakami co do kontaktów, jak będę po tamtej stronie. Stary – najważniejsze nie daj się nikomu wykiwać i bujać, jak tam wyjadę, załatwię nasze sprawy pierwszorzędnie – kontakt będziemy mieć i tak. Czołem – Hieronim”. (W 1949 r. „Uskok” zdetonował pod sobą granat, nie chcąc wpaść w ręce UB podczas oblawy.)

Ludzie „Zapory”, docierając kolejno (w połowie września 1947 r.) na punkt przerzutowy w Nysie na Opolszczyźnie, trafiali bezpośrednio w ręce katowickiego UB. Dekutowski wpadł 16 września. Wszyscy zostali wydani przez kapusia. Podstępnie schwytanych „Zaporczyków” przewieziono na Rakowiecką i poddano brutalnemu śledztwu. Tak było przez ponad rok.

W niemieckich mundurach

Stefan Korboński zapamiętał: „O tym, że »bandyta Zapora« to Hieronim Dekutowski »opinia publiczna« dowiedziała się dopiero po rozpoczęciu procesu”.

3 listopada 1948 r. w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie, prócz Dekutowskiego, na ławie oskarżonych zasiedli jego podkomendni: kpt. Stanisław Łukasik ps. „Ryś”, por. Jerzy Miatkowski ps. „Zawada” – adiutant, por. Roman Groński ps. „Żbik”, por. Edmund Tudruj ps. „Mundek”, por. Tadeusz Pelak ps. „Junak”, por. Arkadiusz Wasilewski ps. „Biały” i ich polityczny przełożony Władysław Siła-Nowicki.

Nowicki wspominał, że na rozprawę ubrano ich w mundury Wehrmachtu: „Ten mundur hańbił katów, nie ofiary. I nieskończenie ważniejszym od naszego ubrania było to, co przed sądem krzywoprzysiężnym mówiliśmy podczas procesu”.



„Zapora” i „Uskok” – Zdzisław Broński

W sądzie żaden z oskarżonych nie przyznał się do absurdalnych zarzutów, (o czym niżej), nie pokajał się. „Zapora” wziął na siebie całą odpowiedzialność. Pytany, dlaczego zamiast ujawnić się, pozostał ze swoimi żołnierzami, odpowiedział: „Byłem związany ze swoimi ludźmi trudem i walką, byłem ich dowódcą. Nie mogłem umyć rąk i zostawić ich jak grupy bandyckie w terenie, bez dowództwa”.

15 listopada 1948 r. „sąd” skazał siedmiu „Zaporczyków” na kilkakrotne kary śmierci. Po rozprawie przewieziono ich ponownie na Rakowiecką, również w niemieckich mundurach i pod silnym konwojem. Dekutowski znów został poddany brutalnemu śledztwu (co było częstą praktyką stalinowskich katów), ale – podobnie jak wcześniej – nikogo nie wydał.

Władysław Minkiewicz: „Wożono ich potem z workami na głowach, żeby ich nikt nie rozpoznał (z obawy przed ewentualnym odbiciem) jako świadków na rozmaite procesy podległych im członków WiN-u”.



W III RP Hieronim Dekutowski
zaczął być upamiętniany

Zeskoczyć na chodnik

„Zapora” razem z podwładnymi trafił do celi dla „ka-esowców”, gdzie siedziało ponad sto osób. Podjęli próbę ucieczki – postanowili wywiercić dziurę w suficie i przez strych dostać się na dach jednopiętrowych zabudowań gospodarczych, a stamtąd zjechać na powiązanych prześcieradłach i zeskoczyć na chodnik ulicy Rakowieckiej.

Minkiewicz: „Na noc rozkładało się na betonowej podłodze sienniki i ustawiało się wszystkie ławki pod ścianą, a ze stołków robiono w kłozecie piramidę sięgającą aż do sufitu. Po tej piramidzie Józio Górski [więzień kryminalny – TMP] wchodził co noc z wyostrzoną o beton łyżką i mozolnie wiercił nią dziurę w suficie, starannie zbierając gruz do typowego więziennego worka, zwanego u nas „samarą”. Potem ten gruz wrzucał do kłozetu i spuszczał wodę, żeby nie pozostawiać żadnych śladów.

A jak ustrzec się przed kapusiami? W tym celu wszyscy wtajemniczeni mieli kolejno nocne dyżury i w jakiś przemyślny sposób dawali znać Górskiemu, jeśli ktokolwiek z niewtajemniczonych budził się i szedł do kłozetu. Górski przerywał wówczas na chwilę pracę i siedział sobie cichutko na szczycie swojej piramidy. (...) Po kilku tygodniach dziura była na tyle szeroka, że Górski wszedł przez nią na strych i odbył trasę aż do okienka nad niskimi budynkami gospodarczymi. W zasadzie



Pomnik „Zapory”

można już było podjąć próbę ucieczki, postanowiono jednak czekać na czas, kiedy nadejdą noce bezksiężycowe, co dawałoby większą gwarancję uniknięcia pościgu przez często krążące po Rakowieckiej patroli KBW”.

Kiedy do zrealizowania planu zostało ledwie kilkanaście dni, jeden z więźniów kryminalnych uznał, że akcja jest zbyt ryzykowna i wyspał uciekinierów, licząc na złagodzenie wyroku. Dekutowski i Siła-Nowicki trafili na kilka dni do karca, gdzie siedzieli nago, skuci w kajdany.

Nowickiemu pomogły rodzinne koneksje – był siostrzeńcem Dzierżyńskiego. Aldona Dzierżyńska-Kojalłowicz, rodzona siostra twórcy Czeki, napisała do Bieruta: „Kocham go jak własnego syna, a więc przez pamięć niezapomnianego brata mego Feliksa Dzierżyńskiego, błagam Obywatela Prezydenta o łaskę darowania życia Władysławowi Nowickiemu”.

Inaczej było z „Zaporą”. Na nic zdały się prośby o łaskę jego rodziny, w tym najstarszej siostry Zofii Śliwy, czynione drogą dyplomatyczną przez prezydenta Republiki Francuskiej – od końca lat 20. mieszkała we Francji, odznaczona Legią Honorową za udział we francuskim ruchu oporu. Hieronim Dekutowski też walczył w czasie wojny z Niemcami, ale dla komunistycznych siepaczy nie miało to żadnego znaczenia. Zginął, bo nie pogodził się z nową, sowiecką okupacją.

Po pierwsze honor

Opowieść o Emilii Malessie i Janie Rzepeckim

„Poniosłam klęskę na wszystkich odcinkach swego życia” – te słowa wypowiedziała na krótko przed śmiercią. Ale czy na pewno była to klęska? Może, szczególnie w dłuższej perspektywie, jednak zwycięstwo? Czy „Marcysia” – jak do dziś utrzymują niektórzy – wyspała WiN, czy raczej musiała wykonać rozkazy przełożonych? A może organizacja wpadła po prostu na skutek rozpracowania – nie tylko przez UB, ale NKWD?

To również pytania głębsze. Jaka postawa wobec nowego okupanta Polski – Sowieców – była właściwa: bezwzględny opór czy może jakaś forma ugody, porozumienia? Jak być wiernym ideałom? Na jakie ustępstwa można pójść, aby z obranej przez siebie drogi nie zejść, aby nie pobłądzić? Czy kompromis z wrogiem jest w ogóle możliwy? W końcu – czym jest honor? Czy można zawierzyć słowu honoru pułkownika UB? Jaką cenę trzeba zapłacić? Emilia Malessa – kapitan AK, żołnierz II konspiracji niepodległościowej, zapłaciła najwyższą.



Emilia Malessa

Żona majora „Ponurego”



Jan Piwnik
„Ponury”

Emilia Malessa, ps. „Marcysia”, „Miłsza”, „Maniuta”, urodziła się w 1909 r. w Rostowie nad Donem. Pochodziła z bardzo patriotycznej rodziny. Do Polski wrócili po odzyskaniu niepodległości. Po ukończeniu szkoły handlowej w Łucku na Wołyniu, pracowała w miejscowym Urzędzie Wojewódzkim i Komunalnej Kasie Oszczędności. Po śmierci ojca przeniósł się do Warszawy i zatrudniła się w Głównym Urzędzie Statystycznym.

1 września 1939 r. zgłosiła się do pracy w Ochotniczej Służbie Kobiet. Pełniła funkcję szofera-zwiadowcy i organizatora lotnych punktów dożywiania i punktów sanitarnych przy 19. Wileńskiej Dywizji Piechoty. Od października 1939 r. organizowała komórkę łączności zagranicznej przy Komendzie Głównej SZP, którą kierowała następnie w ZWZ i AK aż do końca okupacji niemieckiej. Zadaniem placówki, działającej pod kryptonimami: „Zenobia”, „Łza”, „Załoga” i najbardziej znanym, ustanowionym w kwietniu 1944 r. – „Zagroda”, było utrzymywanie łączności między podziemiem w kraju a władzami RP i Naczelnym Wodzem na obczyźnie (trasy kurierskie, przerzut poczty, przyjmowanie cichociemnych). Na przełomie 1943-1944, a więc w okresie największego rozwoju, „Pani na Zagrodzie”, jak ją nazywano, dysponowała 120 ludźmi w całej Europie.



Jewlasze
na Nowogródzczyźnie

Kiedy w nocy z 7 na 8 listopada 1941 r. pod Skierniewicami został zrzucony do kraju – jako pierwszy cichociemny – major Jan Piwnik, przejmowała go właśnie Emilia Malessa, jako łączniczka Komendy Głównej AK.

Cezary Chlebowski napisał, że była „kobietą nie tylko wielkiej urody, ale i takiej samej inteligencji, jak i wpływów”. Ślub wzięli prawdopodobnie dwa lata później – w listopadzie 1943 r. w kościele ewangelickim w Warszawie (z pierwszym mężem Stanisławem Malessą, poślubionym w 1935 r., rozwiódła się po dwóch latach). Mjr Jan Piwnik „Ponury” zginął pół roku po ślubie z Emilią – 16 czerwca 1944 r. – pod Jewłaszami na Nowogródczyźnie.



Jan Rzepecki



Elżbieta Zawacka „Zo”

Dwa miesiące wcześniej „Marcysia” cudem uniknęła aresztowania przez gestapo po donosie prowokatora. Tadeusz Bór-Komorowski „Lawina” informował: „Zo i Marcysia kierowniczką łączności zagranicznej uniknęły aresztowania b. zagrożone”.

„Zo” to Elżbieta Zawacka, kurierka KG AK, jedyna kobieta wśród cichociemnych, razem z „Marcysią” pracowała w komórce łączności zagranicznej.

Na rozkaz Rzepeckiego



„Marcysia”

W Powstaniu Warszawskim „Marcysia” otrzymała Order Virtuti Militari za bohaterską służbę kurierską podczas walk w Śródmieściu. Po kapitulacji uciekła z transportu do Rzeszy i przedostała się do Krakowa, gdzie odbudowała kanały łączności między AK a Zachodem. Tam również przygotowała przerzut do kraju kpt. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, emisariusza komendanta głównego AK.

Za całokształt działalności konspiracyjnej Emilia Malessa została awansowana do stopnia kapitana. Po rozwiązaniu AK pozostała w podziemiu, najpierw w organizacji „NIE”, potem w Delegaturze Sił Zbrojnych, w końcu w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Była członkinią ścisłego sztabu, a przede wszystkim nadal kierowała komórką łączności zagranicznej.

W połowie października 1945 r. „Marcysia” chciała odejść z WiN i wyemigrować. Przyczyny były dwojakie – planowała wziąć ślub z Michałem Pobołą z NSZ; przede wszystkim jednak była żołnierzem, a WiN pod wodzą płk. Jana Rzepeckiego prowadził głównie działalność polityczną). 20 października Rzepecki zgodził się, a 31 października 1945 r. Malessa została aresztowana. 5 listopada ubecy przyszli po Rzepeckiego i drugiego członka kierownictwa – płk Antoniego Sanoję, a później po następnych przywódców organizacji. WiN istniał zaledwie od dwóch miesięcy...

Tu zaczyna się początek tragedii Emilii Malessy. W areszcie ujawniła przywódców WiN-u. Powód? Pułkownik Józef Goldberg-Różański, szef Departamentu Śledczego MBP, ręczył jej „oficerskim

słowem honoru”, że żadna z ujawnionych osób nie zostanie aresztowana i osądzona. Odwoływał się do jej patriotycznych uczuć: „Tylu już Polaków niepotrzebnie zginęło, trzeba z tym skończyć”. Jeśli nie pójdzie na ugodę” – argumentował dalej ubek – „będzie odpowiedzialna za mordownię”. „Marcysia” uwierzyła, wychowana w świecie wartości, w którym słowo honoru coś znaczyło.

Różański słowa nie dotrzymał, rozpoczynając aresztowania WiN-owców. Po latach winę zrzucił na innych – twierdził, że jego honor ma swoją wagę, ale zwolnieniu aresztowanych kategorycznie sprzeciwił się Bierut, który – dodatkowo – zarzucił mu uleganie drobnomieszczańskim przesądom. Z kolei radziecki doradca MBP – płk NKWD Jurij Nikołaszkin zdziwił się ponoć: „Co to znaczy, że ty dałeś słowo honoru? Jeśli dałeś, to znaczy ono było twoje, a jak było twoje, to możesz je odebrać”.

W więzieniu oszukana i zrozpaczona Malessa w akcie protestu podjęła pierwszą głódówkę. Jednak – wbrew dość powszechnym do dziś twierdzeniom – to nie ona wpadła na pomysł ujawnienia WiN. Działała na wyraźne polecenie swojego dowódcy, płk. Jana Rzepeckiego (a także płk. Antoniego Sanojcy), co w wojsku oznaczało ni mniej, ni więcej tylko rozkaz. Według relacji, Rzepecki nie pozostawił „Marcysi” wyboru: jeśli nie ujawni swoich współpracowników, zaszkodzi im znacznie bardziej. Rzepecki ujawnił organizację już po 24 godzinach pobytu na Rakowieckiej. W liście do Franciszka Niepokólczyckiego, prezesa Obszaru Południowego WiN, napisał: „Jest to wyjście jedyne, a zarazem korzystne, gdyż władze bezpieczeństwa rzetelnie dotrzymują obietnicy, że kto wezwania naszego do ujawnienia usłucha, ten nie



Franciszek
Niepokólczycki

będzie odpowiadał za swoją dotychczasową działalność i ani na chwilę nie będzie pozbawiony wolności – oczywiście z wyjątkiem tych, którzy przez swoją niemoralną i występłą działalność wpędzili nas w takie położenie”. Potem Rzepecki przerzucił całą odpowiedzialność na Malessę.

Stefan Korboński (ostatni delegat Rządu na Kraj) wspominał: „Po aresztowaniu ujawnił on wszystko bez wyjątku: ludzi, adresy, broń i pieniądze, obliczane na około jeden milion dolarów. Według wiadomości, jakie do mnie doszły, nie zostało to na nim wymuszone torturami, a stało się dzięki pewnemu systemowi obrony, jaki Rzepecki przyjął. Przyznał on uroczyście i kategorycznie, że pozostanie w konspiracji było ciężkim błędem i oświadczył, że ze swej strony dokona wszystkiego, by ten błąd naprawić i podziemie winowskie ostatecznie zlikwidować. Wobec tego w śledztwie wydał wszystkich i wszystko. W zamian za to otrzymał przyrzeczenie, że nikt z ludzi przez niego ujawnionych nie zostanie aresztowany i to przyrzeczenie było przez wiele miesięcy przez bezpiekę honorowane. Jest to pierwszy wypadek masowego ujawnienia podwładnych, dokonany przez przełożonego, bez ich wiedzy i zgody”.

Właśnie dzięki takiej postawie Rzepeckiego komuniści mogli urządzić pokazowy proces i pokazać Polakom oraz światu, jak bohaterowie walk o niepodległość dogadują się z nową władzą, która jeszcze do niedawna była dla nich nielegalna i narzucona przemocą. To właśnie postawa Rzepeckiego była powodem infamii, jaka spotkała później Emilię Malessę.

List do Różańskiego

3 lutego 1947 r. w procesie sztabu głównego WiN Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał ją na dwa lata więzienia.

Potem Bierut całkowicie ją ułaskawił, a pozostałym też zmniejszył kary. Niskie wyroki miały być świadectwem dobrotliwości komunistów dla tych, którzy wyznali swoje winy, a przede wszystkim opowiedzieli się przeciwko dalszemu oporowi, legalizując tym samym nowy ustrój. Były też zapowiedzią planowanej amnestii, dzięki której zamierzano ostatecznie rozbić podziemie. Postawa Rzepeckiego świetnie wpisała się zatem w polityczne zapotrzebowanie nowego okupanta Polski.



Po wyjściu z więzienia
Rzepecki (po lewej), Malessa (po prawej)

Współwięźniarka Ruta Czaplińska wspominała „Marcysię”: „Mogła być natychmiast zwolniona, [ale] nie chciała opuścić więzienia. (...) Wyszła wreszcie parę miesięcy potem i swoją walkę prowadziła już na wolności, wierząc, że będzie mogła więcej osiągnąć. Prowadziła liczne pertraktacje z MBP, przypominając bezustannie o wszystkich przyrzeczeniach wypuszczenia na wolność ujawnionych osób, wymieniając wszystkich z nazwiska”.

Emilia Malessa domagała się po prostu dotrzymania słowa honoru, które dał jej Józef Różański. Zabiegała o wizytę u Bieruta, pisała listy do szefa bezpieki Stanisława Radkiewicza. Na wiosnę 1948 r. listy z nazwiskami aresztowanych i okolicznościami ich ujawnienia wysłała też do placówek dyplomatycznych. Ale świat milczał.

„Marcysia” pomagała też aresztowanym i ich rodzinom. Odwiedzała koleżanki z celi, wysyłała paczki. Świadczyła na rzecz swoich kolegów z konspiracji, zeznając z wolnej stopy podczas ich procesów.



Powstanie Warszawskie.
Jan Rzepecki (drugi od lewej)

W kwietniu 1949 r. Malessa napisała list do Różańskiego: „Po wyczerpaniu na przestrzeni trzech i pół lat wszystkich środków dla uzyskania zwolnienia pozostałych ujawnionych, donoszę Panu Pułkownikowi, że od 9 kwietnia podjęłam głódówkę [przechodnie na ul. Rakowieckiej widzieli ją skuloną pod więziennym murem – TMP], jako ostatni z mojej strony

akt protestu przeciwko niedotrzymaniu umowy dotyczącej akcji ujawniania WiN i grupy »Liceum«. Mając za sobą wypełnienie wszystkich obowiązków wobec mego kraju w okresie okupacji oraz w pierwszym okresie niepodległości przez dokonanie aktu ujawniania, mam niewątpliwie prawo oczekiwać od władz bezpieczeństwa, a w szczególności od Pana Pułkownika jako głównego inicjatora akcji ujawniania, decyzji, która zapobiegnie mojej śmierci i dalszemu więzieniu lojalnie ujawnionych wobec państwa ludzi”.

Bezsilna, obarczona poczuciem winy, bojkotowana i odrzucona przez część środowiska byłych żołnierzy Armii Krajowej, które oskarżało ją o zdradę, 5 czerwca 1949 r. popełniła samobójstwo. Miała 40 lat.

Uratował głowę, ale czy honor?

Wbrew komunistom i linii Rzepeckiego niepodległościowe podziemie – mimo świadomości beznadziei sytuacji – nadal trwało. Po rozbięciu I Zarządu Głównego WiN powstał II Zarząd ze wspomnianym już płk Franciszkiem Niepokólczyckim na czele. Gdy Rzepecki był skazywany, działał IV Zarząd WiN pod wodzą Łukasza Cieplińskiego.

Jak wyglądały obietnice i łaskawość „ludowej” władzy – można było przekonać się już wkrótce. Wielu skazanych w procesie Rzepeckiego (w tym on sam) zostało potem ponownie aresztowanych. Byli torturowani w śledztwie, a następnie skazani na wieloletnie więzienie. Ostatecznie wyszli na wolność w połowie lat 50. i zostali zrehabilitowani. Rzepecki był nadal aktywny w życiu publicznym, służył w LWP, ZBoWiD-zie, w 1956 r. poparł Gomułkę, później został historykiem. Uratował głowę, ale czy honor?

Wielu innych AK-owców, w tym Witold Pilecki, musiało zginąć. W czasie śledztwa na Rakowieckiej bezpieczniecy chcieli „przekonać” rotmistrza, aby namawiał żołnierzy niepodległościowego podziemia do ujawnienia się, tak jak to zrobił prezes WiN. Pilecki odpowiedział: „Rzepeckiemu za to, co zrobił, prawdziwi patrioci naplują w twarz”. W aktach sprawy Pileckiego – notatce, którą 9 czerwca 1947 r. (kilka miesięcy po procesie Rzepeckiego) sporządził Komar – „agent celny” (kapuś, który wyciągał informacje od współwięźniów w celi) czytamy: „Pileckiemu proponowano rolę Rzepeckiego, ale on stwierdził, że nie będzie się kajał, przyznawał do nie popełnionej winy”.

Emilia Malessa „Marcysia” została pochowana na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Kilka lat temu po uroczystym pogrzebie w Katedrze Polowej Wojska Polskiego jej skremowane szczątki przeniesiono, w asyście kompanii honorowej WP, do Panteonu Żołnierzy Polski Walczącej na wojskowych Powązkach.

Czaplińska: „Wielokrotnie, jeszcze w więzieniu mokotowskim, a potem już na wolności, chciała się widzieć i rozmawiać z Rzepeckim, ale ten nie poczuwał się do niczego i zostawił ją samą”.



5 czerwca 1949 r.
popełniła samobójstwo.
Miała 40 lat

W tajnym więzieniu bezpieczeństwa

Uwięzieni tutaj nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Nie mówiono im, dlaczego zostali aresztowani, nie przedstawiano aktu oskarżenia. Dla zamkniętych miesiącami w piwnicznych celach jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym był brutalny oficer śledczy. Właściwie nikt nie słyszał o tym ponurym miejscu, z wyjątkiem kilku komunistycznych dygnitarzy. W stalinizmie nosiło kryptonim „Spacer”. Do dziś obiekt jest supertajny.



Dawna siedziba tajnego aresztu Departamentu
X MBP w podwarszawskim Miedzeszynie



Gomułka też siedział
w Miedzeszynie

Zainterесowani akcją Instytutu Pamięci Narodowej „Śladami zbrodni” postanowiliśmy odwiedzić miejsca kaźni polskich patriotów – dawne siedziby bezpieki. Podwarszawskie, bo w Warszawie nawet mój 18-letni syn wie, co znaczy Rakowiecka, Koszykowa, Cyryla i Metodego. Jedziemy do Miedzeszyna. Ze znalezieniem słynnego „Spaceru” nie powinno być kłopotów. Zdjęcie na stronie IPN przedstawia piętrową willę pokrytą żółtą farbą – tuż

obok głównej ulicy Patriotów. – Takiego budynku nie ma ani tu, ani w okolicy – mówią zgodnie okoliczni mieszkańcy. – Tajne więzienie MBP? – zainteresował się dopiero starszy mężczyzna. – Musicie jechać w głąb miejscowości. Szukajcie budynku za wysokim murem.

Wewnątrz okazałej posesji mającej kontury pięknie odrestaurowanego pałacyku. – „Spacer”, tak, ale trzeba być gościem hotelu – barczysty pracownik ochrony patrzy podejrzliwie.

– Pałacyk z parkiem należą do Gudzowatego – tłumaczy kobieta z sąsiedztwa. – I willa obok też. Tu przetrzymywano Gomułkę. Wcześniej to było komunistów i dziś też. Rozumie pan?

– To gdzie był „Spacer”?

– Jedźcie bliżej Wisły, z daleka widać las anten.

Z zawiązanymi oczami

Dlaczego anteny? W latach 50. zagłuszano tu audycje nadawane z Zachodu po polsku. A dwumetrowy mur otaczający ogromny, podobno siedmiohektarowy teren? U zarania III RP

wprowadził się tu UOP, a potem jego następcy – Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencja Wywiadu. Szczelnie chroniony obiekt nadal jest ściśle tajny.

To tu, w środku, był „Spacer”, czyli więzienie stanowiące wyłączną własność X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Tu w największej tajemnicy przed światem przetrzymywano i katowano „wrogów ludu” – prawdziwych i urojonych. Bohaterów Polski Podziemnej, antykomunistów i ludzi władzy, których zamierzano skompromitować. Ilu ich przeszło przez piwnice „Spaceru” w ciągu kilku lat jego funkcjonowania – nie wiadomo. Znamy zaledwie kilka, najwyżej kilkanaście nazwisk. Listy więźniów nie ma, większość dokumentów zniszczono. Ale przecież „Spaceru” w ogóle nie było...

Dziś również nie funkcjonuje w pamięci okolicznych mieszkańców. Nawet tuż obok muru – w parterowym pawilonie, w którym w latach 50. była bursa stanowiąca zaplecze więzienia. Mieszkali tu żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego ochraniający obiekt, a potem śledczy MBP, pracujący wewnątrz. Potem przenieśli się do okazałych willi obok.



Cichociemny
Bolesław Kontrym



Tablica na „Łączce”

– To tu przetrzymywano Kontryma? Cisza. A Spychalskiego? – Przetrzymywano tych, których było trzeba – ucina rozmowę męski głos w domofonie.



„Ludowy” marszałek
Marian Spychalski

Bolesław Kontrym „Żmudzin”, przedwojenny oficer Policji Państwowej, żołnierz AK, cichociemny, został aresztowany 13 października 1948 r. w Warszawie. I tu ślad urywa się na blisko cztery lata. Od kolegi z celi na Mokotowie wiadomo było jedynie, że był w jakimś więzieniu pod Warszawą, gdzie dowieziono go z zawiązanymi oczami. Depowano mu tam palce, wzywano co 15 minut na przesłuchanie, wlewano do celi kubły wody, którą musiał łyżką zbierać do kibla. Dopiero niedawno wyszło na jaw, że to miejsce to „Spacer”.

Z dokumentów wynika, że postanowienie o wszczęciu śledztwa przeciwko „Żmudzinowi” wydał 30 października 1948 r. śledczy Edmund Kwasek. Jest podpisany pod 23 protokolowanymi przesłuchaniami. Bezpieka chciała, aby Kontrym „przyznał się” do rzekomych przestępstw popełnionych w latach 1923-1944, wydał wywiadowców działających przed wojną w KPP i obciążył osoby, wobec których prowadzono śledztwo. W Miedzeszynie Bolesław Kontrym był przetrzymywany do 30 października 1951 r. Tego dnia został przyjęty do więzienia mokotowskiego. Rozstrzelany 2 lub 20 stycznia 1953 r. i pochowany potajemnie w nieznanym miejscu. W śledztwie nikogo nie wydał.

Centralne sprawy

Józef Dusza, od początku istnienia „Spaceru” starszy grupy oficerów śledczych, żalił się: „Nasze warunki życia i pracy miały w sobie elementy niewolnictwa. Nie wolno nam było wydać się z posesji. Do domu byliśmy zwalniani raz na miesiąc na 24 godziny. Pracowaliśmy od ósmej rano do trzeciej w nocy, z przerwami na obiad i kolację. Stale w nas wpajano, przede wszystkim Różański, że pracy tej wymaga od nas Partia i że pracujemy pod kierownictwem Partii”.



Ludwik Szenborn

Z opinii Ludwika Szenborna: „Pułkownik Dusza. Bezwzględny dla swoich podwładnych. (...) Rozkazy kierownictwa wykonywał ślepo. Może na usprawiedliwienie jego nieprzystępnego charakteru można by dodać, że takim chciało go widzieć kierownictwo”.

Kierownikiem „Spaceru” był... Szenborn. Wcześniej w bezpiece w Rzeszowie, Krakowie i Bydgoszczy zwalczał niepodległościowe podziemie. Przed wojną w PPS-Lewicy, Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej, w końcu KPP. Kilkakrotnie aresztowany za działalność komunistyczną. Podczas niemieckiej okupacji w GL, ps. „Jaś”, od 1941 r. był agentem sowieckiego wywiadu. Znów aresztowany, tym razem przez gestapo – za szpiegostwo na rzecz ZSRS. W Miedzeszynie osobiście przesłuchiwał m.in. Mariana Spychalskiego, wówczas członka Biura Politycznego PZPR, oskarżonego o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”.

Zarządzając willą „Spacer”, Szenborn był jednocześnie szefem stołecznego UB. W ramach rozpracowywania Kurii Metropolitalnej w Warszawie inwigilował m.in. ks. Stefana Wyszyńskiego. Wiadomo, że Prymas trafił do „Spaceru” po aresztowaniu 25 września 1953 r. Na jeden dzień. Po zwolnieniu z bezpieki Ludwik Szenborn otrzymał rentę inwalidzką. Zmarł w 1990 r.



Szefowie bezpieki:
Stanisław Radkiewicz i Roman Romkowski

Jacek Różański, osławiony dyrektor Departamentu Śledczego MBP, do Miedzeszyna pojechał jesienią 1948 r. Towarzyszący mu wiceminister bezpieki Roman Romkowski (właściwie: Natan Grunspan-Kikiel) stwierdził, że może posadzą tu nawet Gomułkę. Na pomysł miał wpaść jego szef Stanisław Radkiewicz. Willę, w ramach braterskiej pomocy wybrało wcześniej NKWD, rekwirując ją Kazimierzowi Skarżyńskiemu, członkowi delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża podczas ekshumacji w kwietniu 1943 r. Katyniu. To on przekazał światu pierwszy obszerny raport o śmierci polskich oficerów. Po wojnie Skarżyńskiemu, ściganemu przez Sowieców, udało się uciec na Zachód. Zmarł w Kanadzie.

Pierwszych aresztowanych przewieziono do Miedzeszyna już w październiku 1948 r. Supertajny „Spacer” musiał być nadzorowany przez kogoś bardzo pewnego, bezgranicznie oddanego partii i Moskwie. Wybrano Józefa Świątę (Izaaka Fleischfarba, wicedyrektora Departamentu X MBP, pracownika sowieckich służb specjalnych). To on osobiście – kilka lat później – w połowie 1951 r. przywiózł tu Władysława Gomułkę i jego żonę z sanatorium w Krynicy. „Jechałem powoli” – raportował później – „by do Warszawy przyjechać wieczorem, kiedy będzie ciemno”. Gomułków zamknięto w osobnych budynkach. Warunki mieli dobre – jedzenie, książki, wybrana prasa. Katowani w Miedzeszynie członkowie niepodległościowego podziemia mogli o tym tylko pomarzyć. Śledztwo – jak zawsze w przypadku „Spaceru” – prowadził X Departament, nadzorowany przez Komisję Biura Politycznego ds. Bezpieczeństwa Publicznego (Bierut, Berman, Radkiewicz i Anatol Fejgin, dyrektor „Dziesiątki”).



Główne gęby stalinowskiego terroru:
Jakub Berman i Anatol Fejgin

Paradoksem jest, że o istnieniu supertajnego więzienia Polska dowiedziała się z fal Radia Wolna Europa właśnie od Świątły, po jego ucieczce na Zachód w grudniu 1953 r. (w Berlinie

urwał się swojemu przełożonemu – Fejginowi). Okupowany przez Sowieców kraj usłyszał także, że w „Spacerze” prowadzono centralne dla partii sprawy: wspomniane „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”, czyli „oczyszczanie” szeregów PZPR z agentów i prowokatorów, przeciwko Gomułce, Spychalskiemu i innym; oraz tzw. spisek w wojsku – z kierownictwa WP bezpieczeństwa robiła „imperialistyczną agenturę” (zapadły wyroki śmierci i wieloletniego więzienia).

Zbigniew Błażyński w książce „Mówi Józef Światło” pisał, że „Departament dziesiąty był główną bronią Stalina w Polsce. (...) Zbierały się tutaj nici wszystkich obciążeń, którymi wzajemnie rozporządzają przeciw sobie dygnitarze reżymu”. Prócz Miedzeszyna „Dziesiątka” dysponowała jeszcze własnym wydziałem śledczym i pawilonem w więzieniu mokotowskim.

Dwanaście cel i dwa karcery



Izaak Fleischfarb
znany jako Józef Światło

Kolejnego „prawicowego odchyleńca”, Włodzimierza Lechowicza, komunistycznego agenta, który w czasie wojny przeniknął do struktur Polskiego Państwa Podziemnego, też wieźli tu o zmroku. Do swojego aresztowania przez UB – również na początku działania „Spaceru”: w październiku 1948 r. – Lechowicz był ministrem aprowizacji w rządzie Cyrankiewicza. W lipcu 1955 r. został skazany na 15 lat więzienia m.in. za udział w organizacji „Start”

powołanej przez Delegaturę Rządu na Kraj do walki z konfidentami gestapo, jak i zwykłym bandytyzmem (bezpieka przypisała „Startowi” mordy na komunistach).

Na dziedzińcu aresztu przy ul. Koszykowej w Warszawie ubecy skuli go kajdankami, oczy zawiązali chustą i wepchnęli do karetki szpitalnej. Lechowicz domyślił się trasy – most Poniatowskiego, aleja Waszyngtona, roгатka grochowska. Później samochód zjechał z szosy w boczną drogę i – zahaczając o konary drzew – zatrzymał się. Przejazd trwał około 45 minut.

W willi „Spacer” umieszczono go w piwnicy z zakratowanym oknem, szybami zamalowanymi na zielono i wilgotną podłogą. Spędził tam ponad dwa lata, z przerwami na pobyt w karcerze o rozmiarach półtora na dwa metry. Miał zakaz kąpieli, siedzenia (od piątej rano do dwudziestej pierwszej musiał stać, ale nie opierając się o ściany) i wychodzenia na prawdziwy spacer. Za nieprzestrzeganie regulaminu było szereg tortur: bicie i kopanie, polewanie kubłami zimnej wody, klęczenie nago na betonie przez całą noc i chłostanie stalowymi prętami. Lechowicz policzył, że w piwnicy jest dwanaście cel i dwa karcery. Ale co to za więzienie – nie dowiedział się nigdy.

Wspomniany już Edmund Kwasek zmuszał go do wykonywania setek przysiadów, aby – jak to sam nazywał – „pompować rozum z tyłka do głowy”. Załamany fizycznie i psychicznie Lechowicz rozłamał metalową sprzączkę od spodni i przeciął nią skórę na lewej ręce, jednak strażnik zauważył krwawienie.

„Łamanie socjalistycznej praworządności”

Niektórym więźniom Miedzeszyna samobójstwo udało się popełnić. Np. Aleksandrowi Gierczykowi, który po torturach Różańskiego i Kędziory wyciągnął druty z siatki łóżka i wbił

sobie w głowę. Ściągnięty z Warszawy dyrektor Departamentu Służby Zdrowia MBP pułkownik Gangel w pokoju przesłuchań przeprowadził operację bez znieczulenia. Gierczyk jednak zmarł.

Jan Dąbrowski, po blisko pół wieku, w 1996 r., sądzony razem z kilkoma innymi śledczymi MBP w tzw. procesie Humera (od nazwiska głównego oskarżonego), zapamiętał, że kiedyś rozkazano mu usunąć ciało zabitego w czasie przesłuchania. Dąbrowski przeniósł zakatowanego więźnia do sanitarki. Kim był i gdzie został pochowany – były ubek nie wiedział.

Problem Miedzeszyna badała powołana w 1956 r. komisja ds. „łamania socjalistycznej praworządności”. Wtedy pojawiła się sprawa śmierci Wacława Dobrzyńskiego (w czasie niemieckiej okupacji oficera Sztabu Głównego AL, przed aresztowaniem naczelnika wydziału w IV Departamencie MBP).

I tak szef bezpieczeństwa Radkiewicz opowiadał o spotkaniu na ten temat w Belwederze: „Romkowski i Fejgin przedstawiali, że zejście śmiertelne było wynikiem cukrzycy, na którą chorował. Nie było wówczas mowy o tym, że został pobity w śledztwie”.



„Polscy” generałowie
Świerczewski,
Spychalski i Zymierski

Jakub Berman, który z ramienia partii nadzorował bezpieczeństwo: „Zostało przedstawione zaświadczenie lekarskie, z którego wynikało, iż wskutek jakiegoś okaleczenia [!!! – TMP] i w związku z chorobą cukrzycy nastąpił zgon Dobrzyńskiego”.

Dopiero Różański wyjaśnił, na czym owo okaleczenie mogło polegać: „Kędziora wziął wieczorem Dobrzyńskiego na przesłuchanie,

podczas nieobecności mojej, Romkowskiego i Fejgina, i w czasie przesłuchania zaczął go bić. Oficerowie śledczy, którzy byli w sąsiednim pokoju, wywołali Kędziorę i zwracali mu uwagę na to, co on robi. W kilka dni po tym pobiciu Dobrzyński zmarł”.

Komunistyczna „wierchuszka” zrzucała z siebie odpowiedzialność. Winni mieli być wyłącznie pracownicy niższego szczebla. Kędziora nie dawał jednak za wygraną: „Odpowiedzialnym za wprowadzenie terroru jest Romkowski. Zostałem zdjęty z pracy na skutek pobicia Dobrzyńskiego, który poprzednio był bity przez Romkowskiego i Różańskiego. Po 1949 roku byłem szykanowany przez Różańskiego do tego stopnia, że po usunięciu mnie z Departamentu Śledczego dostałem rozstroju nerwowego i choroby psychicznej. Do 1954 roku chodziło za mną to, że jestem wrogiem”.

Oprawca z emeryturą

Jerzy Kędziora zeznawał jako świadek w sprawie odpowiedzialności Romkowskiego, Różańskiego i Fejgina:

„Kiedy zostałem skierowany do Miedzeszyna, miałem 23 lata. Podczas przesłuchań używano takich metod jak: klęczenie na stolku, karcer czy wkładanie ołówka między palce. Pierwszy wypadek z ołówkiem zastosował Różański, był z początku uważany przez nas za wzór komunisty i człowieka oddanego Partii. Mieliśmy pełne zaufanie do Różańskiego. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że bicie więźniów było zabronione prawem. (...) W 1949 roku były rozkazy karne na temat bicia, ale równocześnie Romkowski i Różański sami bili więźniów. W tym okresie, kiedy stosowaliśmy bicie, nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że to jest nieludzkie. Wydawało nam się, że stosowanie tego przymusu jest koniecznością. Słyszeliśmy w tym czasie opowiadania

na temat metod stosowanych w »dwójce« i dlatego wydawało się nam, że nasze postępowanie było łagodne. (...) W początkowym okresie nie było gum, a któryś z oficerów śledczych, nie pamiętam nazwiska, bił podejrzanego kijem. Ponieważ bicie kijem było niewygodne, wartownicy znaleźli kawałek kabła grubości wiecznego pióra, ogumionego, z cienkim drutem wewnątrz. Tą gumą posługiwano się kilku oficerów, a później każdy zaopatrzył się w kawałek kabła. Te gumy nazywano »małymi konstytucjami« (faszystowskimi) w odróżnieniu od »dużej konstytucji«, którą zrobił oficer śledczy Laszkiewicz przy pomocy wartowników. Była ona zrobiona z kilku drutów izolowanych».

Ostatecznie Jerzy Kędziora, sadyista z Miedzeszyna i Mokotowa, został zwolniony z bezpieki. Żadnej odpowiedzialności karnej nie poniósł. Pewnie dlatego, że władza wiele mu zawdzięczała.

„Nasza Polska” nr 10 (749) z dnia 9 marca 2010 r.

Przedawniony Kędziora?

Kilka lat temu proces ubeka Jerzego Kędziory został zawieszony ze względu na śmierć wszystkich jego ofiar. Tak jakby nie wystarczyły dokumenty i pisemne zeznania świadków. Takie wadliwe prawo mamy dziś w Polsce. Ale zaprotestował Wacław Sikorski: ja przecież jeszcze żyję. Tylko dzięki byłemu AK-owcowi sprawa jest dziś kontynuowana. Kędziora w śledztwie tak znęcał się nad Sikorskim, że do dziś nie słyszy na jedno ucho i ma rozbitą przegrodę nosa.

W tym czasie doszło do kuriozalnej sytuacji. Prowadzący proces Kędziory Sąd Rejonowy dla Warszawy Mokotowa (ul. Ogrodowa 51A) uznał, że sprawa wymaga wiedzy historycznej i nie jest kompetentny, aby ją właściwie ocenić. Dlatego chciał, aby rozpatrywał ją sąd wyższej instancji (okręgowy). Ten jednak odmówił, twierdząc, że... oskarżony nie jest osobą znaną i nie budzi zainteresowania opinii publicznej. A pojedyncze artykuły w specjalistycznej prasie nie są w stanie tego zmienić. Cóż, gdyby Kędziora był celebrytą, warto byłoby się nim zająć, bo część splendoru takiej „gwiazdy” mogłaby



Jerzy Kędziora



Władysław Jedliński

spłynąć na sędziów i nazwisko pojawiłoby się w czołowych mediach.

Kędziora wniósł o umorzenie sprawy ze względu na przedawnienie. Powołał się na dwa wyroki Sądu Najwyższego: w sprawie zbrodni komunistycznych z 25 maja 2010 r., i w sprawie Ireneusza Kościuka, milicjanta, który katował studenta Grzegorza Przemyska z 28 lipca 2010 r. Zarzuty wobec Kędziory – według Kędziory – miały się przedawnić 1 stycznia 1990 r.

Adwokat Wacława Sikorskiego powołała się na IPN-owski akt oskarżenia, który czyny popełnione przez Kędziorę uznał za zbrodnię komunistyczną będącą jednocześnie zbrodnią przeciwko ludzkości, nie ulegającą przedawnieniu.

Rozprawa była wyznaczona na 23 listopada 2011 r. Sąd przełożył ją jednak, gdyż Kędziora przysłał list, że jest chory. Z zaświadczenia wystawionego przez Szpital Kliniczny Dzieciątka Jezus wynika, że ma liszaję płaskiego, nadciśnienie tętnicze, przerost gruczołu krokowego i zaćmę początkową. Lekarz stwierdził, że Kędziora będzie mógł stawić się w sądzie po 5 grudnia. Kolejny termin wyznaczono na 20 stycznia.

„Wyrok to ja tutaj piszę”

Sprawa Kędziory została wyłączona z większego śledztwa IPN dotyczącego znęcania się przez funkcjonariuszy MBP nad Okta-wianem Lechem Lipińskim i Władysławem Jedlińskim. Ustalono jednak, że pozostali „oficerowie” śledczy zmarli. Zostało po nich 15 opasłych tomów akt.

Władysława Jedlińskiego, oficera wywiadu AK, a po wojnie kierownika sieci informacyjnej IV Zarządu Głównego WiN, Kędziora nie oszczędzał. Szczególnie brutalny był pierwszy, pięciomiesięczny etap śledztwa. Jedliński był nieludzko torturowany, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, umieszczano go w karcerze, pozbawiano snu.



Krwawy sędzia
Mieczysław Widaj

Wojskowy Sąd Garnizonowy w Warszawie 15 lipca 1955 r. skazał Władysława Jedlińskiego na dożywocie. 8 września 1955 r. Najwyższy Sąd Wojskowy pod przewodnictwem płk. Mieczysława Widaja (jednego z najbardziej krwawych sędziów) utrzymał wyrok w mocy. Z więzienia mokotowskiego został warunkowo zwolniony w grudniu 1957 r.

Kędziora maltretował również w śledztwie żonę Jedlińskiego – Henrykę, skazaną na 15 lat więzienia, i innych członków rodziny, w tym siostrzeńca – Wacława Sikorskiego, który na rozprawę przeciw Jedlińskiemu został przetransportowany z Rawicza.

Ten ostatni, też AK-owiec, dobrze zapamiętał Kędziore: „Straszono mnie, że jeśli nie podpiszę dokumentu kończącego śledztwo, znów będę miał z nim do czynienia”. Od innego „sędziego” usłyszał: „Ty jesteś ch..., a nie oficer. Wyrok to ja tutaj piszę, dostaniesz KS”.

I faktycznie, w 1948 r. w kiblowym procesie (w celi, bez prokuratora i obrońcy) Sikorski został skazany na karę śmierci, ale Bierut ostatecznie zamienił ją na dożywocie. Gdy próbował złożyć skargę, usłyszał, że „szkaluje władze bezpieczeństwa”. W celi przebywał razem z mjr. „Zaporą”.

Chcieli uciec z więzienia

Sprawę „Zapory” – mjr Hieronima Dekutowskiego, też prowadził Kędziora razem z Eugeniuszem Chimczakiem, innym ubeckim sadystą. Podczas niejawnej rozprawy 3 listopada 1948 r. przed Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie Dekutowski, wraz z podkomendnymi, dostał KS. Do dziś nie znamy miejsca ich pogrzebania.

Wcześniej „Zaporczycy” – jak już pisaliśmy – próbowali uciec z Rakowieckiej, ale wyspał ich więzień kryminalny, licząc na złagodzenie wyroku. 3 grudnia 1955 r. z innego więzienia – w Sieradzu – chciał uciec Marian Gołębiwski, ale próbę udaremnił funkcjonariusze KBW. Gołębiwski – inspektor WiN (wcześniej AK i DSZ) na Zamojszczyźnie – to kolejna ofiara Kędziory. Zanim trafił na Rakowiecką, miał plan, żeby odbić stąd więźniów. 3 lutego 1947 r. w procesie I Zarządu WiN sąd wymierzył mu karę śmierci złagodzoną następnie przez Bieruta na dożywocie. Po wyjściu na wolność w czerwcu 1956 r. miał kłopoty ze znalezieniem pracy, działał w opozycyjnej organizacji „Ruch”.

Jerzy Kędziora przesłuchiwał też wielu innych WiN-owców, np. Edwarda Bzymka–Strzałkowskiego, oficera wywiadu i kontrwywiadu Okręgu Kraków ZWZ–AK, po 1945 r. szefa Brygad Wywiadowczych DSZ-WiN (opracowywał i przekazywał Rządowi RP na Uchodźstwie miesięczne sprawozdania o sytuacji w kraju). Skazanemu na trzykrotną karę śmierci we wrześniu 1947 r. w tzw. procesie krakowskim WiN i Polskiego Stronnictwa Ludowego, złagodzone następnie wyrok do 15 lat. Z więzienia wyszedł w sierpniu 1956 r.

W tej samej sprawie Kędziora przesłuchiwał prezesa II Zarządu WiN, Franciszka Niepokólczyckiego, skazanego na trzykrotny KS. Po zmianie kary na dożywocie na wolność wypuszczono go w grudniu 1956 r.

Dużo własnej inicjatywy

Jerzy Kędziora urodził się 5 kwietnia 1925 r. w Ostrowcu Świętokrzyskim. Jego matka, Lucyna Gajewska, była krawcową. Ojciec Daniel, z zawodu szewc, w II Rzeczypospolitej został skazany za działalność w KPP, w czasie wojny w Związku Patriotów Polskich w Gruzji, po 1945 r. w PPR, zajmował się gospodarstwem domowym. Matka awansowała na pracownika Wydziału ds. Kultury i Oświaty MBP. Bezpieka, sprawdzając rodzinę swojego pracownika, nie znalazła żadnych haków, prócz tego, że ojciec lubił alkohol.

W powojennej ankiecie Jerzego Kędziory czytamy, że po wrześniu 1939 r. przebywał we Lwowie, gdzie skończył trzy klasy gimnazjum, miał obywatelstwo sowieckie. W rubryce języki wpisał: rosyjski, niemiecki (dobrze), francuski (słabo). A więc erudyta.

Jak trafił do bezpieczeństwa? Służył w GL (od czerwca 1943 r., ps. „Stefan”) i AL (do stycznia 1945 r., ps. „Francuz”, ale, jak wynika z opinii świadków, zeznających dla wewnętrznych potrzeb resortu – był mało aktywny).

Współpracownikiem MBP został w lutym 1945 r., a pracownikiem w maju tego roku. Do grudnia 1947 r. „brał udział w walce z bandami i reakcyjnym podziemiem”. A tak o Kędziorze pisali przełożeni: „pochodzenia rzemieślniczego, przynależności społecznej inteligencji pracującej (...) z zawodu pracownik umysłowy [sic!!! – TMP]”. Aby jeszcze bardziej podnieść swoje „umysłowe” kwalifikacje ukończył dwuletnią Szkołę Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego. W styczniu 1951 r. zdał egzamin MBP z zajęć politycznych z wynikiem bardzo dobrym: „materiał opanowany, lotność umysłu”.

W MBP dochrapał się stanowiska kierownika sekcji śledczej i pozytywnych opinii szefa wszystkich „śledzi” Jacka Różańskiego



Józef
Goldberg-Różański

(Józefa Goldberga), który 4 kwietnia 1953 r. pisał o Kędziorze: „jest pracownikiem samodzielnym i posiada dużo własnej inicjatywy”. Ale oberubek miał też uwagi: „mocno zarozumiały, posiada manię wyższości, wobec podwładnych niewyrozumiały – co ujemnie odbija się na wychowaniu podległych mu oficerów”.

W opinii z 9 września 1953 r. Różański był bardziej zadowolony ze swojego „pracownika umysłowego”: „Prowadząc śledztwo w szeregu sprawach o znaczeniu ogólnopaństwowym osiągnął poważne wyniki operacyjne i polityczne (...) wykazuje wielki wysiłek w walce ze swoimi wadami. Ostatnio wykazuje szereg pozytywnych cech, jak wzmożenie opieki nad podwładnymi, naukę własną, itd.” Ale prócz pochwał były też kary, np. trzydniowy areszt domowy.

Nie miał właściwej drogi życiowej

Prócz pracy na Mokotowie Jerzy Kędziora należał do Grupy Specjalnej MBP – tajnej komórki powołanej latem 1948 r., przekształconej następnie w X Departament, który zajmował się sprawami szczególnymi – „oczyszczaniem” szeregow PZPR z agentów i prowokatorów. Grupa działała w równie tajnym więzieniu bezpieki (kryptonim „Spacer”) w Miedzeszynie pod Warszawą.

Kędziora mówił: „Kiedy zostałem skierowany do Miedzeszyna, miałem 23 lata. Podczas przesłuchań używano takich metod jak: kłęczenie na stołku, karcer czy wkładanie ołówka między palce. Pierwszy wypadek z ołówkiem zastosował Światło [Józef Światło,

właściwie Izaak Fleischfarb, zastępca Anatola Fejgina, dyrektora X Departamentu – TMP]. (...) Słyszeliśmy w tym czasie opowiadania na temat metod stosowanych w »dwójce« i dlatego wydawało się nam, że nasze postępowanie było łagodne”.

Wkrótce jednak sielanka życia „oficera” bezpieczeństwa skończyła się. W 1955 r. na fali rozpoczynającej się „odwilży”, przełożeni wyciągnęli mu, że podczas przesłuchań ciężko pobił Wacława Dobrzyńskiego (w czasie niemieckiej okupacji oficera Sztabu Głównego AL, przed aresztowaniem naczelnika wydziału w IV Departamencie MBP), w wyniku czego Dobrzyński zmarł.

Kędziora nie czuł się winny: „Odpowiedzialnym za wprowadzenie terroru jest Romkowski. Zostałem zdjęty z pracy na skutek pobicia Dobrzyńskiego, który poprzednio był bity przez Romkowskiego i Różańskiego. Po 1949 roku byłem szykanowany przez Różańskiego do tego stopnia, że po usunięciu mnie z Departamentu Śledczego dostałem rozstroju nerwowego i choroby psychicznej. Do 1954 roku chodziło za mną to, że jestem wrogiem”.

Na wniosek Różańskiego, swojego wcześniejszego protektora, Kędziora został przeniesiony do Departamentu Szkolenia MBP. Pretekstem było to, że zataił przynależność do PZP [Polski Związek Powstańcy: kryptonim Armii Krajowej – TMP]. Kędziora kajał się, że nie była to przynależność, a jedynie kontakty z ludźmi PZP.

Wyrokiem z 2 stycznia 1956 r. Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy skazał go na trzy lata więzienia. Popelnienie przestępstwa



Józef Światło

potwierdzono, ale „jako okoliczność łagodzącą sąd miał na uwadze, że osk. Kędziora nie miał dotychczas właściwej drogi życiowej, gdyż rozwój jego od 19 roku życia nie zawsze miał prawidłowy przebieg [czyli praca w bezpieczeństwie!!! – TMP], a ponadto (...) osk. Kędziora rozumiał swoje błędy i śmierć Dobrzyńskiego przeżył i przeżywa jako ogromne zło, którego nie da się odwrócić”. W areszcie spędził tylko kilka miesięcy. Sprawę ostatecznie zatuszowano, ale 13 lipca 1955 r. zwolniono go z MBP.

Jerzy Kędziora, sadysta z Mokotowa i Miedzeszyna, do dziś mieszka na warszawskim Bródnie, pobierając wysoką, „resortową” emeryturę. Z dawnymi kolegami z bezpieki, których w samej stolicy żyje jeszcze co najmniej kilku, spotyka się systematycznie w siedzibie Związku Kombatantów RP (dawny ZBoWiD) w Alejach Ujazdowskich. Kilka lat temu Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych pozbawił go uprawnień będących przecież uhonorowaniem szczególnych zasług dla Polski.

W 2004 r. Kędziora został przesłuchany przez prokuratora IPN. Żadnych śledztw ani nazwisk nie pamiętał, „przypominał sobie” dopiero po okazaniu mu dokumentów. Akt oskarżenia powstał 28 września 2009 r. Teraz czekamy na wyrok sądu wolnej Polski.

„Nasza Polska” nr 49 (788) z 7 grudnia 2010 r.

Komunistyczny bandyta zostanie skazany?

„Oskarżam Jerzego Kędziorę o prześladowanie Władysława Jedlińskiego i Wacława Sikorskiego. Jako starszy oficer śledczy MBP znęcał się nad nimi, bił gumą, przypalał papierosami, stosował przysiady, kopanie po nerkach, karcer. Oskarżony był funkcjonariuszem państwa totalitarnego, realizował politykę tego państwa i dopuścił się przestępstw z pobudek politycznych”. Takiej treści akt oskarżenia przeciwko byłemu oficerowi śledczemu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego odczytała prokurator Instytutu Pamięci Narodowej 20 stycznia 2011 r.

Do końca nie było wiadomo, czy w ogóle proces się rozpocznie. Poprzednia, grudniowa rozprawa została przełożona ze względu na chorobę oskarżonego. Tym razem Kędziora przyszedł razem ze swoim obrońcą. Wyglądał na zdrowego, wypoczętego, popijał sobie soczek. Już na początku adwokat złożył wniosek o umorzenie sprawy ze względu na przedawnienie.

Zaoponowała prokurator IPN, argumentując, że prócz zbrodni komunistycznej Kędziora dopuścił się także zbrodni przeciwko ludzkości, która przedawnieniu nie uległa. Podobnie postąpiła pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego Wacława Sikorskiego, która tłumaczyła, że w tego typu sprawach obowiązująca jest wykładnia Sądu Najwyższego, zastosowana wcześniej wobec Adama Humera. A od tego czasu ustawodawstwo się nie zmieniło.

Choroba minęła

– Sprawa Humera była dawno i miała inny charakter. Wówczas oskarżony nie został objęty aktem oskarżenia. O czymś to świadczy – próbował jeszcze atakować adwokat Kędziory. W oryginalny sposób starał się również podważyć kwalifikację prawną: że definicja zbrodni przeciwko ludzkości nie jest w akcie oskarżenia przytoczona w całości.

Prokurator IPN: – Nie było powodu, aby ten wywód przytaczać w całości, gdyż jest znany i dostępny.



Kenkarta Władysława Siła-Nowickiego

Pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego Wacława Sikorskiego, wobec uporczywego stanowiska obrony, zacytowała definicję zbrodni przeciwko ludzkości: „Poważne prześladowania skierowane przeciwko określonej grupie społecznej”. Oskarżony działał na masową skalę przez kilka lat – był prawą ręką Różańskiego. Prócz Władysława Jedlińskiego i Wacława Sikorskiego prześladował wielu innych działaczy niepodległościowych struktur, np. Hieronima Dekutowskiego „Zaporę” i Władysława Siła-Nowickiego.

Adwokat Kędziory zaczął się wycofywać: – Nie mówiłem, że stan prawny od sprawy Humera się zmienił. Ale uparcie powtarzał, że przywoływanych teraz zarzutów nie ma w akcie oskarżenia.

Na to zareagował Waław Sikorski: – Znam wiele osób, z którymi siedziałem, a których tkł Kędziora. Hieronim Dekutowski, Edmund Tudruj, Arkadiusz Wasilewski, Jerzy Jedliński, Włodzimierz Lechowicz, Stanisław Nienaltowski.

Sąd udał się na naradę, co dalej z tą dziwną sprawą począć. Po przerwie zdecydował się jednak ją prowadzić: oddalił wniosek o umorzenie i uznał, że zarzucane Kędziorze czyny nie uległy przedawnieniu.



Więzienie na Mokotowie,
tu urzędował ubek Kędziora

Sąd oddał głos oskarżonemu. – Nazywam się Jerzy Kędziora, z bieżmowania Stefan. Syn Daniela i Lucyny z domu Gajewskiej, urodzony 5 kwietnia 1925 r. w Ostrowcu Świętokrzyskim. Zamieszkały w Warszawie. Utrzymuję się z emerytury. Nie byłem karany. Wykształcenie wyższe – inżynier technik. W 1949 r. byłem leczony psychiatrycznie. W 1950 r. hospitalizowany z powodu utraty pamięci.

To zainteresowało sąd: – Ale dziś oskarżony nie jest psychicznie chory? W przypadku odpowiedzi twierdzącej można by szybko przerwać ten nikomu niepotrzebny proces. Niestety, Kędziora odpowiedział:

– Od tamtego czasu zaburzenia psychiczne ustąpiły. Teraz nigdzie się nie leczę.

Niniejszym Kędziora przyznał, że jest zdrowy i nie ma żadnych przeszkód, aby uczestniczył w procesie. Były ubek opowiadał dalej:

– W 1948 r. studiowałem prawo, ale zostałem wciągnięty [a więc on nie jest winny, tylko przełożeni – TMP] do przestępczej działalności w Miedzeszynie – sprawa o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Nie odpowiadał mi tamten nastrój i rozchorowałem się. Po wycofaniu mnie z grupy specjalnej [tajna komórka bezpieczeństwa powołana latem 1948 r., przekształcona następnie w X Departament, który zajmował się sprawami szczególnymi: „oczyszczaniem” szeregów PZPR z agentów i prowokatorów. Grupa działała we wspomnianym już, równie tajnym więzieniu bezpieczeństwa w Miedzeszynie pod Warszawą, kryptonim „Spacer” – TMP], zostałem studentem Centralnej Szkoły Prawniczej im. Duracza, którą przerwałem właśnie z powodu utraty pamięci.

W GL i MBP

– Czy rozumiał pan zarzuty? – spytał sąd Kędziorę.

– Tak, nie przyznaję się do popełnienia obu czynów [prześladowania Jedlińskiego i Sikorskiego – TMP]. Będę składał wyjaśnienia.

– Jak pan trafił do tej służby [bezpieki – TMP]? – próbował dociec sąd.

I tu nastąpił długi, prawie godzinny wywód Kędziory, w którym opowiadał swój dokładnie wyuczony życiorys: dzieciństwo, choroby, historię rodziców komunistów.

– Jaki związek ma to, co pan mówi, z pańską pracą po wojnie? – zdenerwował się w końcu sąd.

– Bardzo duży – odpowiedział oskarżony i dalej swoje: o ucieczce rodziny do Lwowa we wrześniu 1939 r., wstąpieniu pod koniec 1942 r. „do antyniemieckiej konspiracji GL”, a po

wojnie do PPR i UB: – Trafiłem do wydziału gospodarczego, a po pewnym czasie do szkoły oficerskiej w Łodzi, którą skończyłem z wyróżnieniem – chwalił się Kędziora. – W stopniu podporucznika skierowano mnie do Warszawy, najpierw do Wydziału, a potem Departamentu Śledczego Urzędu Bezpieczeństwa przekształconego następnie w MBP.

– Proszę powtórzyć końcówkę. NBP? – pytał zdziwiony sąd.

– MBP. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Kiedy Rzepecki i Mazurkiewicz podjęli akcję ujawniania, trafiłem do pracy [śledztwa – TMP] z kierownictwem Delegatury Sił Zbrojnych i WiN...

– Przepraszam, proszę powtórzyć – sąd znów niedosłyszał (nie zrozumiał).

– WiN, Wolność i Niepodległość [naprawdę: Niezawisłość – TMP]. Wybrano mnie, ponieważ miałem średnie wykształcenie i byłem znany z kulturalnego zachowania. Pracowałem z ludźmi, którzy byli bardziej zasłużeni ode mnie. Mieli wyższe wykształcenie, wysokie stopnie wojskowe i aktywną przeszłość w czasie okupacji niemieckiej. Dzięki ich patriotycznej postawie po wojnie dziesiątki tysięcy żołnierzy wyszło z konspiracji, wróciło do normalnego życia [znów „zapomniał” dodać, że wielu z nich po amnestii znalazło się ponownie w więzieniach, po ciężkim śledztwie dostali wysokie wyroki, z karą śmierci włącznie – TMP]. Z tych wszystkich powodów odnosiłem się do nich z szacunkiem.

„Spotkania” z Sikorskim

Dalej Kędziora mówił, z kim pracował, (czyli kogo przesłuchiwał, nawet powieka mu nie drgnęła): Józef Rybicki (szef sztabu Komendy Głównej WiN), płk Franciszek Niepokólczycki

(prezes II Zarządu WiN), Edward Bzymek–Strzałkowski (szef Brygad Wywiadowczych DSZ-WiN), ppłk Wincenty Kwieciñski, ppłk Łukasz Ciepliñski i Mieczysław Kawalec z IV Zarządu WiN.



Zamordowany na Mokotowie IV zarząd WiN.

U góry od lewej:

Łukasz Ciepliñski, Adam Lazarowicz, Franciszek Błazej.

U dołu od lewej:

Józef Batory, Karol Chmiel, Mieczysław Kawalec

– To byli oficerowie o wysokim poczuciu godności osobistej. Przekazywali władzom bezpieczeństwa w otwartych relacjach zeznania – ujawniali struktury, archiwa, pieniądze. O żadnym stosowaniu przymusu nie mogło być mowy – obraziłbym ich piękną, patriotyczną kartę.

W uładowym życiorysie Kędziora słowem nie wspominał o innych przejawach swojego szacunku dla AK-owców, np. gdy w latach 1945-1947 walczył „z bandami i reakcyjnym podziemiem”.



Edward Bzymek-Strzałkowski



Wincenty Kwieciński



Franciszek Niepokólczycki

– Mówią coś panu nazwiska Jedliński i Sikorski?

– Wobec nich też żadnego przymusu nie stosowałem. To PRL-owska propaganda w 1955 r. przedstawiła mnie jako jednego z najbardziej okrutnych oficerów śledczych. Wacław Sikorski został uznany za źródło informacji dla WiN – Władysława Jedlińskiego [oficera wywiadu AK, po wojnie kierownika

sieci informacyjnej IV Zarządu Głównego WiN – TMP]. Aresztowany przez Informację Wojskową, potem śledztwo przeniesiono do MBP. Podczas spotkań pytałem go o kontakty z Jedlińskim. Potwierdził, że był z nim związany tylko rodzinnie. Przyjąłem jego zeznania jako prawdziwe.

– Z aktu oskarżenia wynika, że znęcał się pan nad nim fizycznie i psychicznie. Bił go, kopał i ubliżał? – pytała sędzia.

– Niczego takiego nie robiłem. Nie było powodu – stwierdził Kędziora.

Na tym rozprawę zakończono, wyznaczając kolejny terminy na 11 lutego 2011 r.

„Nasza Polska” nr 5 (795) z 1 lutego 2011 r.

Kłamstwa i ubolewania ubeka

„Jako człowiek składam najgłębsze ubolewanie z powodu tego, co się stało, że przez tyle lat Waclaw Sikorski siedział w więzieniu i prawdopodobnie doznawał tam cierpień. Jednak ani jedno, ani drugie nie jest związane z moją osobą, ani moją pracą” – taką deklarację złożył Jerzy Kędziora przed warszawskim sądem podczas swojego procesu.

Poza tym były już same kłamstwa. Kędziora zeznawał: – Z Władysławem Jedlińskim prowadziłem pracę rozpoznawczą. Dostałem informacje, że istnieje komórka wywiadowcza Marta, a przy niej grupa zbrojna – bojówka, która z polecenia kierownictwa WiN przygotowywała zamachy na osoby z kierownictwa partii i państwa. Kolejne moje przesłuchania Jedlińskiego potwierdzały to. Przez dwa miesiące tym byliśmy zajęci z panem Jedlińskim.

Teraz o Waclawie Sikorskim: – Powiedziano mi, że był łącznikiem z terenu Warszawy o kryptonimie Wisła. Sprawdziło się tylko, że łączą go z Jedlińskim związki rodzinne. Sikorski sam prosił, żeby do protokołu dodawać szczegóły. Przesłuchiwałem go dwa razy – 17 i 20 września 1948 r. Nie znalazłem niczego, co by potwierdziło jego związki z nielegalną organizacją WiN.

Syndrom Miedzeszyna

– Do dziś mam syndrom Miedzeszyna – ciągnął Kędziora. – Ta praca była sprzeczna z moim poczuciem sprawiedliwości. W 1955 r. zostałem aresztowany, a w 1956 r. skazany za stosowanie przymusu w Miedzeszynie. Ale ja żadnych przestępstw nie popełniłem. To skutek propagandy, która była wtedy w mediach. Po rewelacjach Światły byłem jedyną osobą – oficerem w stopniu majora, która ujawniła działalność w Miedzeszynie. Broniąc się przed karą śmierci, przyjąłem na siebie wszystkie czyny, w tym śmierć płk. Dobrzyńskiego. Dostałem trzy lata więzienia. W 1956 r. Sąd Najwyższy umorzył sprawę, dlatego nie mam w aktach, że byłem skazany. Wieloletnie krzywdy Jedlińskiego i Sikorskiego zostały skupione na mojej osobie. Nie wiem dlaczego. Dalszą pracę zawodową zawdzięczam tylko sobie, a łatwo nie było. Wszędzie ciągnęła się za mną sprawa Miedzeszyna. Wszędzie mnie represjonowano, degradowano, dla pracodawców byłem tylko kryminalistą. Dzisiejsze oskarżenia wynikają z tamtej propagandy – ujawnienia mojego nazwiska i zeznań składanych w moim procesie karnym. To potwarza dziś IPN i media.



Rewelacje Światły
na antenie Radia Wolna Europa

Pytania Kędziorze zaczęła zadawać prokurator IPN:

– Jak postępowano z zatrzymanymi? Jakie były kolejne etapy procedury?

– Nie znam szczegółów. Byłem oficerem śledczym, a nie członkiem grupy dokonującej zatrzymań. Wykorzystywano mnie głównie do wstępnych rozpoznań, nie prowadziłem żadnej sprawy do końca, ponieważ zostałem oddelegowany do Miedzeszyna. Na Mokotowie nie mieliśmy żadnego pokoju przesłuchań. Pracowałem w celi więziennej, tylko zamiast łóżka był tam stolik i krzesła. Spisywane było każde słowo, wszystko szło do protokołu przesłuchania.

– Dlaczego został pan wybrany do pracy w Miedzeszynie?

– Nie wiem. Prawdopodobnie dlatego, że dostrzeżono, że potrafiłem rozmawiać w trudnych, złożonych sprawach. Prawdopodobnie zauważono też, że jestem synem członka KPP.

– Czy pisał pan regulamin Miedzeszyna?

– Tłumaczyłem tylko regulamin, który przygotował radziecki pułkownik, bo znałem rosyjski.

– Kto to jest Aleksander Gierczyk?

– 24 lutego br. będę przesłuchiwany w tej sprawie w IPN. To odrębne postępowanie.

– Jak przesłuchiwał pan Dobrzyńskiego?

– Tym zajmował się sąd w latach 50. Dobrzyński zmarł na cukrzycę, mimo że miał stałą opiekę lekarza.

– Dlaczego Sikorski twierdzi, że pan go bił?

– Nie wiem, to pytanie nie do mnie.

Przesłuchiwałem pana Dekutowskiego

W dalszej części pytania Kędziorze zadawała mecenas Izabela Skorupka, pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego Wacława Sikorskiego.



Hieronim Dekutowski
i Zdzisław Broński

– Czy był pan członkiem grupy specjalnej?

– Dyrektor mówił – o 10.00 mamy być na dole i jechaliśmy. Nie byłem członkiem żadnej nielegalnej organizacji. Przed i po Miedzeszynie byłem oficerem śledczym. Członkiem grupy do spraw odchylenia pravicowo-nacjonalistycznego.

– Co należało do pana kompetencji w pracy?

– Prowadzenie przesłuchań.

– Czy stosował pan karcer?

– Nie. Wiem, że takie miejsce było, ale nie miałem z tym nic wspólnego.

– Czy mówi coś panu nazwisko Dekutowski?

– Tak, przesłuchiwałem pana Dekutowskiego. Celem przesłuchania zatrzymanych członków WiN zostałem wysłany do Będzina, bo grupa WiN-owców została zatrzymana na południu, przy próbie przekraczania granicy.

– A Bzymek-Strzałkowski?

– Przesłuchiwałem go w Krakowie.

– Znał pan Fejgina?

– Fejgina znałem. Aresztował mnie i przesłuchiwał razem z wiceszefem MBP Romkowskim.

– A Rózańskiego?

– Był moim przełożonym od 1945 roku.

– Humer?

– Oczywiście, że znałem, był zastępcą Rózańskiego.

– Chimczak?

– Zostałem oddelegowany razem z nim do Będzina.

Dokonałem zdrady stanu

Na końcu głos oddano adwokatowi Kędziory:

– Kiedy pan ujawnił metody stosowane w Miedzeszynie?

– W 1955 r., na kilkanaście dni przed moim aresztowaniem.

Na zebraniu partyjnym aktywu kierowniczego funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa ujawniłem fakt stosowania niedozwolonych metod. Wytyczne pochodziły od Bieruta i były wykonywane przez Romkowskiego i Różańskiego. Wywołało to wielkie poruszenie. Od razu zawieziono mnie do wydziału śledczego MBP, gdzie wszystko powtórzyłem. Pytali mnie, dlaczego rozpowszechniam informacje obciążające Różańskiego i Romkowskiego. Wykorzystano mnie do rozgrywek w partii. To był początek dezawuowania mnie i oczerniania, że biłem wszystkich. To trwa do dziś. Pół roku spędziłem w MUBP w Pałacu Mostowskich. Za zabójstwo groziła mi kara śmierci. Różański postawił wniosek o sąd dla mnie za zabójstwo Dobrzyńskiego. Dokonałem zdrady stanu i zdrady służb specjalnych tamtego państwa.



Adam Humer



Eugeniusz
Chimczak

Kędziora korzysta, że jako oskarżony może się bronić – i może kłamać, a więc kłamie. Kłamie, że był tylko śledczym, że obchodził się z aresztowanymi w kulturalny sposób, z aresztowanymi prowadził prace rozpoznawcze!!!



Wacław Sikorski (stoi)...



...na Rakowieckiej
spędził kilka lat życia

Na szczęście żyją jeszcze osoby, które będą zeznawać i ujawnią prawdę o tym wyjątkowym, bezwzględnym kacie, którego śledczy wzywali przeważnie do katowania aresztowanych i stosowania najokrutniejszych metod śledczych.

„Nasza Polska” nr 8 (798) z 22 lutego 2011 r.

Wchodził, katował i zarządzał karcer

Niewiele brakowało, aby proces brutalnego śledczego MBP Jerzego Kędziory został zablokowany. Starania obrońcy ubeka szczęśliwie spełzły jednak na niczym. Sąd zgodził się nawet na rejestrowanie rozprawy, ale już nie na upublicznianie wizerunku oskarżonego, co zinterpretował jako całkowity zakaz... filmowania Kędziory, bo „nie jest w stanie skontrolować, co trafi do publicznego przekazu”. Potem przez kilka godzin zeznawali poszkodowani – Waław Sikorski i Maria Jedlińska-Adamus.

Waław Sikorski – łącznościowiec po szkole oficerskiej w Krakowie – mówił, że 28 lipca 1948 r. został aresztowany podstępnie przez GZI. Najpierw trafił na ul. Oczuki, potem do MBP na Koszykową, a następnie na Rakowiecką: – Zostałem osadzony w Pawilonie X na oddziale XI. Szybko zaczęły się przesłuchania, początkowo męczyli mnie „tylko” psychicznie. Kazali mi siedzieć na sedesie, puścili mocne światło w oczy tak, że nie widziałem dobrze śledczego. Zauważyłem jednak, że zawsze był po cywilnemu. Podczas każdego „posiedzenia” musiałem po 3-4 razy opowiadać życiorys. Kiedy za którymś razem zaoponowałem, że życiorys już opowiadałem, śledczy zaczął wyzywać mnie od szpiegów, zdrajców, krzycheć, że zdradziłem swój kraj i sojuszników. Dał mi coś do podpisania. Odmówiłem.

Ten cywil przesłuchiwał mnie 2-3 razy w tygodniu. Mówił mi: „Ty jesteś młody, ja nawet ciebie polubiłem, mnie

ciebie szkoda. Ale ja ci radzę, podpisz pismo, bo przyjdzie tu kpt. Kędziora, któremu nikt nigdy nie odmówił podpisu. Odbije ci nerki i zdechniesz w więzieniu. A tak masz szansę, „dychę” wytrzymasz i zobaczysz rodzinę”. Odmówiłem podpisania. Wtedy w drzwiach stanął major, wysoki, w oficerkach. Spytał: „Mówi, ili niet?”. „Nie mówi” – odpowiedział śledczy. Na to major: „To zróbcie tak, żeby z niego poleciało, jak z tego kalifiora [kaloryfera, który przeciekał – TMP]. Kiedy major wyszedł, śledczy powiedział: „Słyszałeś, co mówił mjr Serkowski. Odsyłam cię do celi na dwie godziny, żebyś się zastanowił”.

To jest po panu Kędziorze

Po pewnym czasie zaprowadzili mnie ponownie na przesłuchanie – ciągnął dalej Wacław Sikorski. „Przemyślałeś?” – spytał śledczy. Przemyślałem i nic nie będę podpisywał, bo to nieprawda. Wtedy śledczy wstał. Po raz pierwszy mogłem zobaczyć jego twarz. Zwrócił się do strażnika: „Poproście kpt. Kędziorę”. Do pokoju wszedł człowiek w mundurze, w oficerkach. Miał w ręku jakiś drag (potem przynosił coś gumowego). Spytał mnie: „Taki, nie taki, job twoju mać, podpiszesz?”. Nie podpiszę. Próbowałem mu wytłumaczyć, że jestem niewinny, że jako oficer miałem dobrą opinię. A on na to: „Každy szpieg ma dobrą opinię”.

Cały czas siedziałem na sedesie. W końcu Kędziora podszedł do mnie i znów spytał: „Podpiszesz?”. Ja na to, że nie. Wtedy zaczął mnie kopać w lewy pośladek. Jeszcze kopnął mnie parę razy. Pochylił się: „Podpiszesz?”. Nie. Otwartą ręką huknął mnie w lewe ucho. O tu – Wacław Sikorski pokazał sędzinie aparat przy uchu. – Do dziś słabo słyszę. To jest po panu Kędziorze.

Kędziora kazał mi stanąć twarzą do ściany. „Jeszcze bliżej” – krzyczał. „Będziesz szatkował kapustę”. Kazał mi robić przysiady.

Nie mogłem, bo stałem tuż przy ścianie, a on jeszcze dociskał mi do niej głowę. Jeszcze czymś uderzył mnie w plecy. Wtedy odezwał się śledczy, który cały czas siedział za stołem: „Ja będę uderzał palcami w stół, a ty w takt będziesz robił przysiady”. Nie byłem w stanie się podnieść i Kędziora zaczął kopać mnie po nerkach. Żądanie przysiadów i kopanie Kędziory powtórzyło się jeszcze parę razy. Wyszliśmy z pokoju przesłuchań. Kędziora sprowadzał mnie po schodach na dół, cały czas kopiąc. „W świątyni dumania wszystko sobie przypomnisz”. Trafiłem do karca. Tu przejął mnie starszy strażnik Szymański, który kazał mi się rozbierać, a potem czołgać przez niewielką szczelinę przy ziemi. Nagi znalazłem się na betonowej posadzce, w kałuży ludzkiego moczu. Muszę powiedzieć wysokiemu sądowi – ja tam płakałem jak dziecko.

Dostaniesz KS

Znów śledztwo. Znów przesłuchiwał ten po cywilnemu. Gdy odmawiałem podpisu, zjawiał się kpt. Kędziora. Dwa–trzy razy na jego polecenie znalazłem się w karcu. Po kilku takich „posiedzeniach” zacząłem podpisywać wszystko. Bałem się, że mnie zabiją. Ale zacząłem też straszyć Kędziorę: – Panie kapitanie, przecież będzie jakaś sprawa, ja w sądzie powiem, że pan mnie bił, kopał, znęcał się, wszystko odwołam. Wtedy wpadł w jakiś trans, przesłuchiwał mnie coraz brutalniej. Kiedyś tak rąbnął mnie w tył głowy, że upadłem nosem na ścianę. Do dziś mam uszkodzoną przegrodę nosa. Na mnie w sądzie możesz mówić wszystko. Wyrok to ja tu piszę, a tam tylko ci odczytają. Nawet mogę ci powiedzieć, jaki będziesz miał wyrok”. Za co? – spytałem. „Za to, co ja napiszę. Masz KS”. A co to? – nie rozumiałem. Kara śmierci.

W celi siedziałem razem z Wojciechem Zielińskim, naczelnym dyrektorem LOT. Tak go tłukli, że musiał potem dostawać zastrzyki. „Chrystusa udajesz?” – śmiali się z jego zarostu, ale jak miał się ogolić?

Adam Gajdek na skutek tortur podciął sobie żyły, ale go odratowali. Pan Kędziora na pewno go zna – tu Wacław Sikorski odwrócił się w stronę Kędziory. – Gajdka rozstrzelali na Mokotowie. Po wyjściu z więzienia poznałem jego dzieci.

Pewnego dnia wyprowadzili mnie z celi. „Franciszek Rafałowski, prokurator” – przedstawił się mężczyzna w mundurze. „Podpiszcie dokument, śledztwo zostało zakończone”. Odpowiedziałem, że nie podpiszę, bo byłem bity. Wymieniłem nazwisko Kędziory. Prokurator Rafałowski na to: „Obciążacie resort bezpieczeństwa, możecie za to zostać ukarani. Będę zmuszony wznowić śledztwo”. Przestraszyłem się, bo zdałem sobie sprawę, że znów będę miał do czynienia z Kędziorą. Przypomniałem sobie, jak podczas jednego z przesłuchań usłyszałem krzyk kobiety. „Słyszysz?” – spytał Kędziora. „A po głosie nie poznajesz?”. Nie – odparłem. „A to ta, stara k..., twoja żona, tak się drze”. Dopiero później udało mi się ustalić, że to był blef, że moja żona nie została aresztowana.



Stalinowski sędzia
Roman Różański

W śledztwie bił mnie tylko Kędziora. Mój śledczy – do dziś nie wiem, jak się nazywa – powiedział mi nawet kiedyś: „Chyba nie masz do mnie pretensji, nawet cię nie dotknąłem”.

„Sąd”. Tzw. kiblówka – na kiblu w celi, bez udziału prokuratora, obrońcy i świadków. Sędziemu

Róžańskiemu – nie Józefowi, tylko Romanowi – mówiłem, że byłem bity i zmuszany do podpisywania czegoś, czego nie popełniłem. Sędzia do protokolanta: „Tęgo nie zapisywać”. O zarzutach: działaniu w jakiejś organizacji, o której nawet nie słyszałem, dowiedziałem się pięć minut przed „rozprawą”. Wyrok: KS.

Na korytarzu przypadkowo spotkałem kolegę. „Co ty tu robisz?” – spytał Ryszard Mońko. „Siedzę” – opowiedziałem – „A ty?”. „Pracuję”. Mońko był zastępcą Alojzego Grabickiego, naczelnika mokotowskiego więzienia.

„Ogólniak”. W celi siedziało nas ponad 100 na 27 odczepianych od ściany łózek. Dużo KS-owców. Władysław Siła-Nowicki (napisał mi odwołanie od wyroku), Hieronim Dekutowski „Zapora”. Szykowali ucieczkę, wydrążyli dziurę w suficie celi, ale w ostatniej chwili wyspał ich współwięźni – kryminalista. Z karą śmierci siedziałem trzy miesiące, gdy Bierut ułaskawił mnie na dożywocie. W więzieniach spędziłem w sumie osiem lat. Potem dowiedziałem się, że zrobili mi proces zaoczny i złągodzili wyrok.

Już na wolności poprosiłem o akta. Odmowa. Napisałem drugi raz i dostałem zgodę. Na wcześniejszym wniosku był podpisany... Roman Róžański.

„Bo ja jestem stary gwardzista”

W przerwie rozprawy na korytarzu ubek Kędziora opowiadał, że to, co działo się na sali sądowej, jest potworne: – Oglądam to jak film sensacyjny, bajkę, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Dziennikarze też głupoty piszą, że mam wysoką emeryturę resortową, a ja przecież mam cywilną, dwa tysiące złotych. Dlatego że przez całe życie ciężko pracowałem. Do wszystkiego sam doszedłem, bo w dzieciństwie żyliśmy w biedzie. Zrobiłem

studia. Taka kariera od robotnika do dyrektora. Zajmowałem kierownicze stanowiska w kilku firmach zagranicznych. Teraz piszę książkę o GL i AL, bo ja jestem stary gwardzista. Okresem po wyzwoleniu [po 1944 r. – TMP] się nie zajmuję, wymazałem 10 lat życia, bo byłem wówczas szykanowany.

Rodziny ofiar Kędziorzy słuchały tych wywodów z niedowierzaniem i goryczą. Jak w III RP butny i bezkarny może być stalinowski oprawca.



Marian Gołębiowski w czasie wojny i w latach 90.
XX wieku jako świadek na procesie Humera



Dokument
Arkadiusza Wasilewskiego



Edmund Tudruj

Po przerwie sąd zaczął pytać Wacława Sikorskiego o Władysława Jedlińskiego: – To szwagier mojej mamy, wielki patriota. W śledztwie był strasznie torturowany. Wymieniał głównie trzy nazwiska: Kędziora, Kaskiewicz i Dusza. Podczas swojego procesu odwołał zeznania jako wymuszone pod groźbą zniszczenia rodziny.

O katowaniu przez Kędziórę opowiadał mi sam Władysław Jedliński, jego brat Jerzy i współwięźniowie na „ogólniaku”, skazani na wysokie wyroki: „Zapora”, Siła-Nowicki, Marian Gołębiewski, Arkadiusz Wasilewski, Edmund Tudruij. Od współwięźniów słyszałem też, że Kędziora zakatował w Miedzeszynie Wacława Dobrzyńskiego i Kazimierza Cessanisa.

Mieczysław Walczak, który siedział z Jedlińskim w jednej celi, zapamiętał, że przynoszono go do celi na kocu. Kędziora bił też żonę Jedlińskiego, Henrykę, i jego teściową, a moją babcię Józefę Szwarz. Moja mama siedziała w więzieniu cztery lata. Do śmierci musiała chodzić w gorsiecie, bo po przesłuchaniach miała uszkodzony kręgosłup. Moja rodzina została wywieziona do Przemkowa.

– Dlaczego był pan przesłuchiwany w sprawie Jedlińskiego?
– pytał sąd.

– Nie wiem. Nie należałem do WiN, nie przekazywałem Jedlińskiemu żadnych informacji. Nasze relacje miały tylko rodzinny charakter. Mówiliśmy jeszcze o łączności, bo on też był łącznościowcem.

W tym momencie Kędziora złożył oświadczenie: „Zeznania Wacława Sikorskiego są pomówieniem. Nie stosowałem metod niezgodnych z prawem”.

Dzieciństwo spędziłam pod więzieniem

Następnie sąd przesłuchał córkę Władysława Jedlińskiego, Marię Jedlińską-Adamus: – Miałam 14 lat, gdy aresztowano

całą moją rodzinę, dziewięć osób. Moja 16-letnia siostra trafiła na Koszykową. W mieszkaniu zrobiono tzw. kocioł. Przez trzy tygodnie ubowcy przebywali w naszym domu – zmieniali się co dwa dni, a każda ekipa wynosiła z domu co wartościowsze przedmioty. Nad całą operacją czuwał J. Wołkow, Rosjanin żydowskiego pochodzenia. Na wolności zostałam sama i nie wiedziałam, gdzie są i czy żyją moi rodzice. O działalności ojca wiedziałam tylko, że należał do Armii Krajowej. Dzieciństwo i młodość spędziłam na Rakowieckiej i Koszykowej pod więzieniami. Tu po raz pierwszy usłyszałam o Kędziorze jako największym oprawcy mojego ojca. Jego nazwisko zapisałam sobie w notatniku. Drugi raz z nazwiskiem Kędziora spotkałam się w Związku Więźniów Politycznych Skazanych na Karę Śmierci w Okresie Reżimu Komunistycznego. Były prezes związku Józef Rusznica prosił, abym przeprowadziła rozmowy ze skazanymi na karę śmierci. Z 76 żyjących osób, z którymi rozmawiałam, tylko 11 stwierdziło, że nie katował ich Kędziora.

Przez pięć lat nie wiedziałam, czy ojciec w ogóle żyje, do-



X Pawilon więzienia
mokotowskiego
(po prawej stronie)

piero osoba zwolniona z więzienia powiedziała mi o tym. Po raz pierwszy zobaczyłam ojca po ośmiu latach, w 1955 roku w więzieniu w Strzelcach Opolskich. Wyrok karę śmierci odczytał ojcu w celi Roman Różański – bez prokuratora i adwokata. Rozprawa sądowa odbyła się dopiero w 1955 r. przed Wojskowym Sądem Garnizonowym – wyrok dożywocie. Wtedy widziałam ojca po raz drugi. Na wolność wyszedł warunkowo 30 grudnia 1957 r.

Dopiero po latach dowiedziałam się, jak ojciec był traktowany za działalność w WiN, gdzie był drugim zastępcą prezesa Oddziału Informacji. Najczęściej bił go właśnie Kędziora. Słyszałam też o innych oprawcach, takich jak: Serkowski, Humer, Dusza, Kaskiewicz, Fejgin. Były dni, kiedy tracił przytomność i przynoszono go do celi na kocu. Raz był tak skatowany, że dostał krwotoku, cała cela była we krwi, ale Kędziora zarządził karcer. Ojciec prosił o ratunek strażnika, ale ten mógł mu tylko przynieść szklankę wody.

Kędziora bił go po nerkach, całym ciele, rozbił mu głowę. Bił prętem, płaskownikiem. Zapalał zapalki i rzucał na włosy ojca. Zmarł nagle, jak wykazała sekcja, nastąpiło pęknięcie tętniaka. Lekarze stwierdzili trzy krwiaki w okolicy serca, wątroby i nerek. Ojciec nie doczekał rehabilitacji. Sprawa Kędziory trwa kilka lat – nie przyznaje się do torturowania więźniów – na rozprawie uśmiecha się podczas zeznawania świadków.

„Nasza Polska” nr 14 (804) z 5 kwietnia 2011 r.

Śledczy Kędziora oskarżony o nowe zbrodnie przeciwko ludzkości

Kolejna rozprawa w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa 8 lipca 2011 r. Przed rozprawą Wacław Sikorski, jedyna żyjąca ofiara Kędziory, razem z rodzinami innych poszkodowanych denerwuje się, że ubek pewnie znów wykpi się brakiem pamięci. Mówi, że nie oczekuje wysokiego wyroku, tylko sprawiedliwości i szczerego przyznania się do winy, że w ponurych czasach stalinowskich ten „oficer” śledczy bezpieczeństwa znęcał się nad aresztowanymi polskimi patriotami.

„Niewinny” od Humera

Duże poruszenie wywołuje temat emerytur, bo zasłużony profesor ma niecałe 3000 zł, a ubecy od 8000 do 12000. Ci ostatni gromadzą się w innej części sądowego korytarza. Uśmiechnięci witają się ze sobą, poklepują, kłaniają przed wyższymi rangą. „Chciałem pogratulować małżonce, że niedawno dostała odznaczenie!” – tak Zdzisław Jatczyk (świadek nr 2) zwrócił się do Tadeusza Tomporskiego (świadek nr 1). Potem zagłębił się w lekturze Urbanowego tygodnika „NIE”.

Kolejna rozprawa w ciągnącym się od kilku miesięcy procesie Jerzego Kędziory rozpoczyna się z półgodzinnym opóźnieniem.



Rakowiecka

W małej sali ledwie mieszczą się wszyscy zainteresowani (z prawnikami, świadkami i widzami ok. 15 osób). Ciasno i duszno, ale nikt się nie uskarża.

Sąd przesłuchuje pierwszego świadka Tadeusza Tomporskiego – niewysokiego staruszka. Pytany przez sędzinę nie zgadza się na upublicznianie swojego wizerunku, bo „nie jest kryminalistą”, (choć w słynnym procesie Humera został skazany na siedem lat więzienia;

miął postawionych aż 12 zarzutów znęcania się nad więźniami). W MBP pracował jako młodszy „oficer” śledczy. Potwierdził, że znał Kędziorę, ale „nie pamięta”, czym konkretnie oskarżony się zajmował – w jakich sprawach brał udział, kogo przesłuchiwał, komu dawał wytyczne. Tomporski sprawia wrażenie, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. Po kilku minutach stwierdza, że od kilku lat ma problemy z pamięcią oraz komunikacją („mózg nie nadąża”). Sędzina decyduje o przerwaniu przesłuchania i wznowieniu go na następnej rozprawie, po konsultacjach z psychologiem. Tomporski kończy: „może następne przesłuchanie już nie będzie potrzebne”. Czyli jednak niektóre rzeczy rozumie i potrafi o nich zakomunikować.

**„Nie krzykiem, a dowodem
trzeba było działać”**

Sąd przesłuchuje drugiego świadka – Zdzisława Jatczyka. Ten pozwala na filmowanie, bo „nie ma sobie nic do zarzucenia”.

W latach 50. pracował w Departamencie śledczym MBP.

Tak jak Tomporski „nie pamięta” spraw, które sam prowadził, co dopiero spraw innych oficerów. A poza tym „podstawowe zasady dyskrecji wykluczały możliwość rozmawiania na te tematy”. Już w tym momencie kłamstwa Jatczyka sięgnęły absurdu.

Do bezpieki trafił „być może dlatego, że był z rozbitej rodziny”. Po zdaniu matury w 1951 r. wstąpił do szkoły śledczej MBP w Legionowie.

Uczył się od starszych „technik śledczych” (jego mistrzem był właśnie Kędziora – o czym niżej). W 1953 r. otrzymał przydział do jednej z najważniejszych komórek bezpieki – Departamentu X (ochrona partii). Zajmował się sprawami szpiegowskimi (np. „inspirowanymi przez obce wywiady wypadkami lotniczymi”). Potem, za pośrednictwem kierownika sekcji, został oddelegowany do prowadzenia tzw. ogonów, czyli wyjaśniania szczegółów, doprecyzowania faktów spraw już de facto zamkniętych. Oznacza to, że „wydobywał” od więźniów zeznania potwierdzające tezy oskarżenia, aby przyznali się do niepopelnionej winy.

Odnosnie Kędziory – nie przyjaźnił się z nim, mieli innych znajomych i inne zainteresowania, wie jednak, że był od niego starszy stopniem. Biedny Jatczyk musiał każdego dnia przygotowywać plan śledztwa, w tym „pytajniki” (zestaw pytań, które należało zadać przesłuchiwanym). Zdzisław Jatczyk, który – ogólnie mówiąc – stwierdził, że po przesłuchaniach (podstawą były przygotowane pytania przez jego przełożonych) protokoły z tych przesłuchań, które on sporządzał, były przerabiane przez jego przełożonych na niekorzyść oskarżanych i zmuszany był (np. przez płk. Duszę) do



Więzienie od środka

ich podpisywania. Odmawiał ich podpisania, bo były niezgodne z prawdą i z tego powodu miał duże nieprzyjemności od Duszy. Zwracał się do wyższych przełożonych, że nie chce współpracować z płk. Duszą, prosząc o przesunięcie go do innej sekcji. Zajmował się też przesłuchiwaniami przedwojennych policjantów, którzy rzekomo ścigali członków KPP. Sam oczywiście nie bił więźniów – jak to określił: „nie używał krzyku podczas śledztw”.



Więzienny korytarz na X Pawilonie

Kędziora denerwuje się

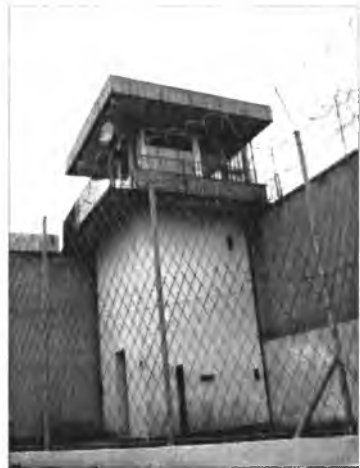
Nazwisko Kędziory Jatczyk usłyszał po raz pierwszy po 1956 r. Na początku przesłuchania udawał nawet, że nie zna Kędziory, kierując wzrok w stronę Sikorskiego. Gdy sąd zwrócił mu uwagę, że oskarżony siedzi z drugiej strony, stwierdził: „o proszę, po tylu latach nawet nie byłem w stanie go rozpoznać”, po czym porozumiewawczo puścił oko do Kędziory. To, że nie zetknął się z nim wcześniej tłumaczył faktem, że on pracował w Departamencie X, a Kędziora w śledczym. Ale po dociekliwych pytaniach znów zaczął zmieniać zdanie. Okazało się, że Kędziorę mógł poznać już

przed 1956 r., ale „nie pamięta” dokładnie kiedy i w jakich okolicznościach. Pamięć Jatczykowi starał się przywrócić nie tylko sąd, ale nawet... Kędziora. Podsunął mu odpowiedź, że może poznali się podczas wspomnianych szkoleń w Legionowie. Jatczyk stwierdził jednak, że niestety „nie pamięta” Kędziory z tamtego czasu (po rozprawie śmiał się z innymi ubekami, że Jurek oczywiście był jego wykładowcą).

W końcu „przypomniał sobie”, że przed 1956 r. nie tylko słyszał o Kędziorze, ale być może spotkał go „podczas pracy zawodowej”. Przełożony miał go uczyć sztuki zszywania akt protokołu – tworzenia odpowiedniego marginesu podczas pisania, wpisywania godzin rozpoczęcia i zakończenia przesłuchania. Kędziora oświadczył, że było to zapewne w latach 1951-1953, w Legionowie właśnie, kiedy był wykładowcą „techniki śledczej”. W przypadku Jatczyka owa „technika” nie polegała rzecz jasna na buchalterii i wyzbywaniu się wobec aresztantów krzyku, ale na prowadzeniu regularnych, brutalnych przesłuchań. Przyznał zresztą przypadkowo, że w ich trakcie ważne było trzymanie się procedur, czyli granic czasowych (8-24) z przerwami na śniadanie, obiad i godzinę spaceru.

Na koniec prokurator złożył nowe wnioski dowodowe:

- wydruk akt IPN o Kędziorze,
- teczka z IPN o Ludwiku Guzawskim, który był wielokrotnie przesłuchiwany przez Kędziorę (na protokołach widnieją podpisy śledczego),



Dziś Kędziora nie pamięta, co robił na Rakowieckiej

- wniosek o przesłuchanie córki Guzawskiego, Anny Cha-tojan (skądinąd obecnej na sali, co wprawiło w konsternację obrońcę Kędziory).

Nowe wnioski mają udowodnić, że Kędziora nie jest winny pojedynczym aktom przemocy, ale odpowiada za wiele zbrodni przeciwko ludzkości. Kędziora zareagował na nie butnie, ale też nerwowo. Zaczął krzyżeć do adwokata, że kolejna osoba stara się go pomówić, że to stek obelg i bzdur. „Nie rozumie”, dlaczego łączy się sprawy, które przecież nie mają ze sobą żadnego związku.

Może brutalny śledczy z Mokotowa i Miedzeszyna zrozumie wtedy, gdy sąd wyda sprawiedliwy wyrok, oparty na dokumentach jego zbrodni.

Podczas jednej z wcześniejszych rozpraw zeznawał Wojciech Uromski, syn płk. Kazimierza Uromskiego – kolejnej ofiary Kędziory. Przywoływał dwa wyroki w sprawie ojca: skazujący na 10 lat więzienia przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie za „szpicgostwo” dla DSZ i WiN oraz kontakty z Mikołajczykiem, i drugi – uniewinniający w czasie „odwilży”. W uzasadnieniu drugiego pojawia się osoba Kędziory w kontekście stosowania niedozwolonych metod śledztwa. Matka Wojciecha Uromskiego wspominała, że Kędziora znęcał się nad jego ojcem fizycznie i psychicznie: bił, zarządzał karcer, polewał wodą, pozbawiał snu.

Ubecy kłamią w żywe oczy

Na kolejną rozprawę przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa ubek Jerzy Kędziora przyszedł jak zwykle z córką. Pierwszym świadkiem składającym zeznania był Tadeusz Tomporski, którego poprzednie przesłuchanie zostało przerwane ze względu na „zły stan zdrowia” (problemy z pamięcią i rozumieniem). Tym razem towarzyszył mu biegły psycholog, który oceni wiarygodność zeznań ubeka.

Kłopoty z pamięcią

Tomporski, który w latach 90. został skazany w słynnym procesie Adama Humera i innych stalinowskich śledczych na 7 lat więzienia, potwierdził, że zna oskarżonego z pracy w Departamencie Śledczym MBP. On był młodszym oficerem śledczym, a jaki stopień miał Kędziora – „nie pamięta”. Potem jednak „przypomniał sobie”, że „w jakimś sensie Kędziora mógł być jego przełożonym”. Za nic nie mógł sobie jednak „przypomnieć”, czy Kędziora przychodził na prowadzone przez niego przesłuchania oraz czy on sam brał udział w przesłuchaniach prowadzonych przez Kędziorę.

Na pytanie, czy w ogóle coś pamięta, stwierdził, że nic. „Nie pamięta” ani kontaktów służbowych z Kędziorą, ani jego metod

pracy. „Nie pamięta”, czy kiedykolwiek słyszał o tych metodach, a nawet, „czy dochodziło do czegoś takiego”. Potwierdził jedynie, że „były rozmowy na temat używania przemocy przez MBP, ale raczej w formie plotek, rozmów nieoficjalnych”. Po kolejnym pytaniu „przypomniał sobie”, że o biciu przesłuchiwanym słyszał podczas swojego procesu. I choć za stosowanie niedozwolonych metod został skazany, nie jest to prawda. Na dowód swojej niewinności Tomporski przytoczył historię, jak to jeden z podejrzanych prosił go o pozwolenie, by mógł otrzeć się o ścianę. Chodziło mu o to, żeby się trochę pobrudzić, by potem było widać, że był bity. Przesłuchiwany chciał w ten sposób upozorować przemoc względem niego, aby uwiarygodnić się przed współwięźniami. Tomporski się zgodził, bo nie widział wówczas powodów, by mu odmówić.

Na pytanie, czy zna Wacława Sikorskiego, Tomporski odpowiedział, że „być może zetknął się z takim nazwiskiem, kiedy czytał jakieś akta”. O Władysławie Jedlińskim – drugiej ofierze Kędziory – nie słyszał. W ogóle nie wie, o chodzi w sprawach Jedlińskiego czy Sikorskiego. Opowiadając o Kędziorze, kłamał dalej, że „obiegową opinią panującą w MBP o nim było to, że jest on spokojny i zrównoważony, w kontaktach służbowych bez krzyku”.



Rakowiecka

Jak wyglądał karcer?

Tomporskiego zaczęła przesłuchiwać prokurator IPN:

- Jak wyglądały przesłuchania?
- Odbywały się one na Mokotowie, w nowym budynku, na pawilonie X.

- Czy był tam karcer?
- Słyszałem, że były tego rodzaju kary. Ale za co? Nie pamiętam.
- Jak wyglądał karcer?
- Nie wiem, nigdy tam nie byłem.
- Jak wyglądały prowadzone przez pana przesłuchania?

Tomporski nagle się ożywił i oburzony stwierdził, że nie widzi związku ze sprawą Kędziory. Ale i tak „nie pamięta”, jak wyglądały te przesłuchania. Okazało się, że świetnie rozumie, co się do niego mówi.

Lekko zirytowana prokurator spytała: – Czy pan pamięta tylko to, co chce pamiętać? Czy celowo zasłania się pan niepamięcią?

Na to sędzia zwróciła uwagę, że to pytanie jest niewłaściwie zadane, a Tomporski stwierdził, że nie odpowie na nie.

Przyszedł czas na pytania pełnomocnika Wacława Sikorskiego, mec. Izabeli Skorupki:

- Jak wyglądał karcer?
- Nie wiem, nie byłem, ale wydaje mi się, że była to normalna cela, tyle tylko, że z pryczą, a nie łóżkiem – odparł Tomporski.
- Proszę nie udawać, że pan nie pamięta – na kłamstwa ubeka zareagowała pani mecenas. Natychmiast zaprotestowała obrona, do czego przychylił się sąd.

– Jaką formą kary był karcer? – ponowiła pytanie niezrażona mec. Skorupka.

Na to Tomporski zaczął opowiadać o swojej sprawie, że został skazany za to, że jakoby zimą miał umieścić człowieka w celi z otwartym lufcikiem, przez co ten miał doznać uszczerbku na



Rakowiecka



Rakowiecka

zdrowiu. „A przecież przesłuchiwałem go tylko raz i to w czerwcu! Zima w czerwcu!”.

– Na czym polegała kara karceru?

– Nie pamiętam, nie wiem.

– Jaka była wysokość karceru?

– Nie widziałem, skąd mam wiedzieć? – widać było, że „nic nierozumiejący” Tomporski zirytował się.

Odbite nerki Guzowskiego

Po przerwie zeznania składał Wacław Sikorski: – Byłem w karcerze „dzięki” panu Kędziorze. Nie podpisywałem fałszywych protokołów, za co byłem bity. Ustawiano mnie nosem przy ścianie i kazano robić przysiady, co było fizycznie niemożliwe. Za to, że nie wykonywałem polecenia, byłem kopany oraz bity w głowę, przez co do dziś mam uszkodzoną przegrodę nosa. Kędziora prowadził mnie przez część drogi do karceru, bijąc mnie po nerkach. Potem przejmował mnie starszy oddziałowy Tadeusz Szymański. Karcer miał około 1 metra wysokości. Można w nim było tylko siedzieć. Nie było w nim światła ani okna. Podłoga była wylana betonem, a na niej znajdowały się ślady po moczu, gdyż ubecy załatwiali tam swoje potrzeby. Spędzałem tam całą noc, a potem od razu brali mnie na kolejne przesłuchania. Kędziora nie przesłuchiwał mnie, wzywali go wtedy, gdy nie podpisywałem protokołów, tylko i wyłącznie do bicia – Sikorski powtarzał zeznania składane na początku procesu swojego prześladowcy.

Przez cały czas zeznań Sikorskiego Kędziora świdrował go wzrokiem, wyraźnie rozżłoszczony.

Drugim przesłuchiwanym świadkiem była Anna Chatojan, córka Ludwika Guzowskiego. Jak stwierdziła na początku, chciała zobaczyć „ręce tego człowieka” (Kędziory). Ojca aresztowano, gdy miała 3 tygodnie, zwolniono, gdy miała już 3,5 roku. Wspominał młodego oficera, około 20-letniego, który znęcał się nad nim w okrutny i bestialski sposób.

I choć ojciec nie wymieniał nazwisk, w aktach IPN jest informacja, że ojca przesłuchiwał Kędziora. Powtarzało się to co kilka godzin, lampa w oczy, bicie po twarzy, aż głowa odskakiwała, głodzenie, a potem wręczanie solonego śledzia, bez niczego do picia, siedzenie na odwróconym stołku, wielogodzinne klęczenie, bicie i kopanie po nerkach. Do karceru trafił trzykrotnie.

Guzowski przez wiele lat zmagał się potem z licznymi kłopotami zdrowotnymi, m.in. stwierdzono u niego padaczkę pourazową oraz odbite nerki. Zmarł w 1991 r. Całe życie opowiadał o piekle, które przeszedł, gdy dostał się w mordercze tryby śledztwa UB. Jego trauma była tak głęboka, że do końca swych dni miał ataki paniki, podczas których nerwowo mówił, że „idą po niego”.

Kędziora pochylił się tylko nad adwokatem i szyderczo spytał: „A są na to dokumenty? Nie ma!”.



Rakowiecka

Sąd skazał krwawego drania

Sąd Rejonowy dla Warszawy Mokotowa wymierzył karę 86-letniemu ubeckiemu oprawcy, uznając – jak chciał pion śledczy IPN – że w 1948 r. znęcał się fizycznie i psychicznie nad Wacławem Sikorskim i Władysławem Jedlińskim, więźniami politycznymi okresu stalinowskiego. Sąd potwierdził, że polegało to na ich wielokrotnych i wielogodzinnych przesłuchaniach, biciu gumą i żelazem owiniętym w ręcznik, przypalaniu włosów, skuwaniu na noc kajdankami, zamykaniu w karcerze, nakazywaniu przysiadów, przyciskaniu głowy do ściany, kopaniu, ubliżaniu i grożeniu – w celu zmuszenia ich do przyznania się do rzekomego szpiegostwa.

Trzy lata za Jedlińskiego

16 stycznia 2012 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy Mokotowa III Wydział Karny uznał Jerzego Kędziorę za winnego popełnienia przestępstw polegających na tym, że:

1/ w czasie śledztwa prowadzonego w okresie od dnia 20 lipca 1948 r. do dnia 4 października 1948 r. w Warszawie przeciwko Władysławowi J.[edlińskiemu – TMP], pełniąc służbę na stanowisku starszego oficera śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a więc będąc funkcjonariuszem

państwa komunistycznego, działając w strukturach państwa totalitarnego posługującego się, dla realizacji celów politycznych i społecznych, na wielką skalę terrorem, wspólnie i w porozumieniu z innymi funkcjonariuszami publicznymi dopuścił się zbrodni komunistycznej, będącej jednocześnie zbrodnią przeciwko ludzkości, stanowiącej naruszenie podstawowych praw człowieka, a mianowicie prawa do życia i prawa do wolności w ten sposób, że wykorzystując stosunek zależności istniejący pomiędzy oficerem śledczym a przesłuchiwanym Władysławem J.[edlińskim – TMP] znęcał się nad nim fizycznie i moralnie w ten sposób, że podczas wielokrotnych i wielogodzinnych przesłuchań bił w/wym. pokrzywdzonego gumą i żelazem owiniętym w ręcznik, przypalał mu włosy zapalnikami, skuwał na noc kajdankami, zamykał w karczerze, ubliżał oraz groził i w ten sposób doprowadził pokrzywdzonego do załamania fizycznego i psychicznego oraz zmusił do przyznania się do działalności szpiegowskiej na szkodę państwa polskiego, jak również do składania wyjaśnień zgodnych z koncepcją prowadzącego śledztwo oraz do obciążania innych osób, czym działał na szkodę wymienionego pokrzywdzonego, tj. popełnienia przestępstwa z art. 246 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. Kodeks Karny w zw. z art. 2 ust. 1 i art. 3 ustawy o IPN-KŚZpNP oraz **za czyn ten skazał Jerzego K. na karę 3 lat pozbawienia wolności.**

Dwa lata za Sikorskiego

2/ w czasie śledztwa prowadzonego w okresie od połowy sierpnia 1948 r. do dnia 7 grudnia 1948 r. w Warszawie przeciwko Wacławowi S.[ikorskiemu – TMP], pełniąc służbę na stanowisku starszego oficera śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa

Publicznego, a więc będąc funkcjonariuszem państwa komunistycznego, działając w strukturach państwa totalitarnego posługującego się, dla realizacji celów politycznych i społecznych, na wielką skalę terrorem, wspólnie i w porozumieniu z innymi funkcjonariuszami publicznymi, dopuścił się zbrodni komunistycznej, będącej jednocześnie zbrodnią przeciwko ludzkości, stanowiącej naruszenie podstawowych praw człowieka, a mianowicie prawa do życia i prawa do wolności w ten sposób, że wykorzystując stosunek zależności istniejący pomiędzy oficerem śledczym a przestłuchi-

wanym Wacławem S.[i-korskim – TMP], znęcał się nad nim fizycznie i moralnie w ten sposób, że podczas wielokrotnych i wielogodzinnych przesłuchań wymienionego pokrzywdzonego polecał mu wykonywanie przysiadów, przyciskał głowę do ściany, a następnie kopał po



Wacław Sikorski

nerkach, bił rękami i twardym przedmiotem po całym ciele, polecił trzykrotnie zamknąć go w karcerze oraz ubliżał wulgarnymi słowami, chcąc w ten sposób zmusić pokrzywdzonego do przyznania się do działalności szpiegowskiej na szkodę państwa polskiego oraz do złożenia wyjaśnień zgodnych z koncepcją prowadzonego śledztwa, czym działał na szkodę w/wym. pokrzywdzonego, tj. popełnienia przestępstwa z art. 246 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. Kodeks karny w zw. z art. 2 ust. 1 i art. 3 ustawy o IPN-KŚZpNP i **za czyn ten skazał go na karę 2 lat pozbawienia wolności oraz**

wymierzył oskarżonemu Jerzemu K. karę łączną 4 lat pozbawienia wolności i obciążył go kosztami procesu.

To była zbrodnia

Następnie sędzia Agnieszka Jarosz odczytała uzasadnienie: – Oskarżony jako starszy oficer śledczy MBP był przydzielany do spraw szczególnej wagi i miał za zadanie rozpracowywać członków organizacji Wolność i Niezawisłość. Wynika to jednoznacznie z zeznań Wacława Sikorskiego, zmarłego Władysława Jedlińskiego i dokumentów archiwalnych, w tym protokołów przesłuchań, oraz zeznań innych oficerów śledczych. Metody te były ujawnione również w poprzedniej sprawie przeciwko Jerzemu Kędziorze [sędzia przywołała proces Kędziory z lat 50., kiedy za stosowanie niedozwolonych metod śledczych został skazany na 3 lata, potem jednak sprawę umorzono – TMP]. Stosował je nawet mimo zakazu, gdyż – jak wówczas tłumaczono – mogą one dawać argument wrogom nowego systemu, albo że może być podejrzewany o to, że chce w ten sposób zniszczyć osoby dla siebie niewygodne. **Nie ulega wątpliwości, że jest to zbrodnia komunistyczna i zbrodnia przeciwko ludzkości, o czym świadczy bezspornie postanowienie Sądu Najwyższego z 4 grudnia 2001 roku.**

Oskarżony Kędziora siał wśród więźniów strach. Wacławowi Sikorskiemu, gdy nie chciał się przyznać do zarzutów, przesłuchujący mówił, że w takim razie przyjdzie Kędziora, a jemu nikt nie odmawia zeznań. Wyjaśnienia Kędziory są tylko jego linią obrony [obrona wносиła o uniewinnienie ze względu na przedawnienie – TMP]. Prawdą jest, że był wtedy młody, miał 23 lata. Być może przez następne lata życia wyparł z pamięci to, co było dla niego niewygodne, bądź to, co mogło go obciążać.

Bez wątpienia zdawał sobie sprawę, że te lata jego życia, a więc praca w MBP, a także w tajnym więzieniu w Miedzeszynie, to nie jest chluba. Wiedział, że za takie postępowanie grozi odpowiedzialność karna. Sam zresztą tego doświadczył – został zatrzymany, postawiono mu zarzuty, w tym zarzut doprowadzenia do śmierci płk. Dobrzyńskiego.



Na podstawie tych zdjęć
UB ścigało
Władysława Jedlińskiego

Swoją działalność w tamtych czasach przedstawia w sposób całkowicie niewiarygodny, co nie znajduje odzwierciedlenia w materiale dowodowym, ale jest także niezgodne z prawdą historyczną, a źródła historyczne jednoznacznie opisują tamte czasy. Takich metod, jakie opisuje oskarżony, po prostu nie stosowano [sędzia odniosła się do twierdzeń Kędziory, że jest niewinny i że „był znany z kulturalnych zachowań wobec przesłuchiwanym” – TMP]. Gdyby tak było, nie byłoby licznych procesów, nie byłoby osób skazanych, przeciwko żadnemu z tamtych funkcjonariuszy nie toczyłoby się żadne postępowanie.

Sąd nie oceniał jego późniejszej działalności [sędzia odniosła się do opinii komunistycznych kombatantów o wzorowej

postawie Kędziory, a przypomnieć trzeba, że w 1992 r. został on uprawnień kombatanckich pozbawiony – TMP], ale pracę w bezpieczeństwie. Wtedy oskarżony nie był prostym człowiekiem, był osobą jak na owe czasy dosyć wykształconą. Z teczki osobowej wynika, że jest pracowity, zdyscyplinowany, ma prawidłowy stosunek do demokracji ludowej, szczerze oddany. Dlatego nie można uznać, że była to osoba, która nie zdawała sobie sprawy, nie rozumiała, że takie metody są metodami nagannymi, karanymi. Wiedziała, że tak postępować nie można. **W swoim zachowaniu chciał uzyskać określony cel – złamać ludzi, którzy byli dla ówczesnego systemu niewygodni, którzy byli uważani za zdrajców, szpiegów. Chciał uzyskać konkretne zeznania obciążające, aby zniszczyć daną organizację, aby w danej sprawie zapadły wyroki, aby ten nowy system polityczny mógł się bez przeszkód rozwijać.**



Władysław Jedliński (po prawej) z rodziną

O takich zbrodniach się nie zapomina

Z teczki osobowej wynika również, że był funkcjonariuszem bardzo zaangażowanym w swoją pracę, o czym świadczą także to, że był przeznaczany do innych spraw. Był po prostu

sprawnym oficerem śledczym. Sąd uznał, że to postępowanie wobec Władysława Jedlińskiego i Wacława Sikorskiego musi się spotkać z surową karą. **Ta kara powinna mieć wymiar indywidualny, uzmysłowić oskarżonemu, że jego postępowanie było naganne, że powinien podejść do tego z należytą krytyką. Ale również powinna mieć wymiar społeczny. Nie można przechodzić w milczeniu nad sposobami niszczenia przeciwników politycznych czy osób niewygodnych dla danego systemu. To musi być także wskazówka, że mimo upływu lat o takich zbrodniach się nie zapomina i powinny być one karane. Przyszłość nie jest wiadoma i nie można uznać, że o takich czynach się nie pamięta.** Biorąc pod uwagę drastyczny sposób działania wobec pokrzywdzonego Władysława Jedlińskiego, długość przesłuchań, metody, jakie stosował, sąd wymierzył mu karę trzech lat pozbawienia wolności. Wobec Władysława Sikorskiego, biorąc pod uwagę fakt, że te metody były trochę mniej bestialskie, wymierzył karę dwóch lat pozbawienia wolności. Łączna kara – 4 lata. Kara jest adekwatna nie tylko do czynów oskarżonego, ale także jego postawy, gdyż nie podchodzi on krytycznie do tego, co robił.

Wyrok nie jest prawomocny.

– Ten wyrok za potwierdzone zbrodnie jest niski, ale muszę go uznać, co mi innego pozostaje. W takich czasach żyjemy – skomentował Wacław Sikorski, który na podstawie wymyślonych zarzutów dostał karę śmierci, potem zamienioną na dożywocie; odsiedział w stalinowskim więzieniu 8 lat.

Trzy lata więzienia dla Kędziory

Pod koniec czerwca 2012 r. Sąd Okręgowy w Warszawie rozpatrzył apelację krwawego „oficera” śledczego MBP Jerzego Kędziory od skazującego wyroku sądu I instancji. Jego obrońca domagał się uniewinnienia. Uzasadniał to m.in. tym, że stan wiedzy o czasach stalinowskich ciągle rośnie (?) i należy krytycznie podejść do tych spraw, czego nie zrobił sąd rejonowy. W końcu tym, że jego klient opiekuje się chorą żoną i „przez większość życia żył zgodnie z prawem”. Sąd oddalił odwołanie ubeka.



Jerzy Kędziora (pierwszy z lewej)

Dzięki staraniom Instytutu Pamięci Narodowej i Wacława Sikorskiego, po trwającym ponad rok procesie, 16 stycznia 2012 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy Mokotowa III Wydział Karny skazał krwawego ubeka Jerzego Kędziorę na 4 lata więzienia. Uznał tym samym – jak chciał pion śledczy IPN – że w 1948 r. znęcał się fizycznie i psychicznie nad Władysławem Jedlińskim i Wacławem Sikorskim, więźniami politycznymi okresu stalinowskiego. Jedliński był oficerem wywiadu AK, a po wojnie kierownikiem sieci informacyjnej IV Zarządu Głównego WiN. Kędziora maltretował również w śledztwie żonę Jedlińskiego – Henrykę, skazaną na 15 lat więzienia, i innych członków rodziny, w tym siostrzeńca – Wacława Sikorskiego, AK-owca, który na rozprawę przeciw Jedlińskiemu został przetransportowany z Rawicza.

Sąd potwierdził, że polegało to na ich wielokrotnych i wielogodzinnych przesłuchaniach, biciu gumą i żelazem owiniętym w ręcznik, przypalaniu włosów, skuwaniu na noc kajdankami, zamknięciu w karcerze, nakazywaniu wykonywania przysiadów, przyciskaniu głowy do ściany, kopaniu, ubliżaniu i grożeniu – w celu zmuszenia ich do przyznania się do rzekomego szpiegostwa.



Jerzy Kędziora w środku

Sędzia uzasadniała: – Nie ulega wątpliwości, że jest to zbrodnia komunistyczna i zbrodnia przeciwko ludzkości, o czym świadczy bezspornie postanowienie Sądu Najwyższego z 4 grudnia 2001 roku.

Podczas rozprawy apelacyjnej Kędziora kłamliwie powtarzał, że żadnych niewłaściwych czynów wobec Waława Sikorskiego ani Władysława Jedlińskiego nie popełnił. Podkreślał swoją walkę w „ruchu oporu AL i GL”, późniejszą pracę inżyniera i społecznika. Potępił „stalinowski reżim ZSRR i jego biurokrację”, twierdząc, że w 1956 r. skazano go jako „kozła ofiarowego” w ramach walki komunistów o władzę.

Z kolei oskarżyciel IPN argumentował, że organy bezpieczeństwa stosowały terror na masową skalę, a Kędziora nie był nieświadomym uczestnikiem tamtej maszyny zbrodni, tylko starszym oficerem centrali MBP. Sprawa Jedlińskiego i Sikorskiego nie była przypadkową, pierwszą w jego karierze, ale kolejną. Jego winę potwierdzają nie tylko zeznania torturowanych przez niego więźniów, ale ogromny materiał dowodowy. Ponadto, żaden ówczesny przepis nie dawał prawa do bicia. Twierdzenia o przedawnieniu zakwestionował sąd, wydając po 1989 r. wyrok na Adama Humera i jego kolegów z bezpieczeństwa.

Reprezentująca Waława Sikorskiego mecenas Izabela Skorupka dodawała: – Nawet jeśli Kędziora został już kiedyś skazany, nie można na tym poprzestawać, gdy pojawiają się nowe dowody winy. Sprawa Humera pokazała, że nie ma przedawnienia dla takich zbrodni. Kędziora sam przyznawał, że bił tych ludzi.

Teraz sąd oddalił odwołanie ubeka. Sędzia uzasadniała wyrok, mówiąc, że bezspornym jest, iż na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego dowiedziono, że oskarżony – jako funkcjonariusz MBP – wobec osób pozbawionych wolności stosował okrutne metody śledcze. Chciał tym samym doprowadzić do tego, aby przyznali się do wrogiej działalności wobec ówczesnego

państwa polskiego. Oskarżony aprobował tym samym politykę totalitarnego państwa, które prześladowało przeciwników politycznych. A za takie państwo uznaje stalinowską Polskę społeczność międzynarodową i jej prawodawstwo. Zbrodnie tego państwa – zbrodnie przeciwko ludzkości nie ulegają przedawnieniu i należy je ścigać i karać.



Grób rodziców ubeka - Daniela i Lucyny Kędziórów na Powązkach Wojskowych

Wiek oskarżonego i opieka nad chorą żoną nie są argumentami, które dają możliwość warunkowego zawieszenia kary. Sąd obniżył jednak karę z czterech do trzech lat więzienia. Orzeczenie jest prawomocne.

– Niech posiedzi choć trochę; ja w więzieniu za nic spędziłem 8 lat – mówił Wacław Sikorski, ofiara Kędziory.

Sadysta Kędzióra zapewne skorzysta jeszcze z możliwości kasacji do Sądu Najwyższego.

Idea ą zawsze była niepodległość

Byłem bardzo nieufnie nastawiony do wszelkich form kompromisu, nawet „Solidarność” traktowałem jako element gry o wolną Polskę, a nie jako cel sam w sobie – tak Antoni Kopaczewski określił kiedyś cel swojego życia a zarazem swój stosunek do komunistów i paktowania z nimi. Autorowi tych słów trudno się dziwić, szczególnie gdy przypomnimy postać jego ojca. Antoni Kopaczewski – „Lew” oddał życie w walce z komuną o wolną Polskę.

13 grudnia 1981 r., podobnie jak tysiące działaczy „Solidarności”, został internowany. Antoni Kopaczewski, twórca i pierwszy przewodniczący rzeszowskiej „Solidarności”, aż do końca PRL był represjonowany, pozbawiony możliwości pracy. Komuniści szykanowali również jego rodzinę. Matka, mimo iż ukończyła szkołę handlową, nie mogła znaleźć zatrudnienia. Z Państwowego Domu Towarowego w Lublinie została zwolniona, gdy namierzyła ją ubecja. Pracę w sklepie zawdzięczała prezesowi Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, byłemu żołnierzowi jej męża z czasów niemieckiej okupacji. Kuzyn, uwięziony na zamku w Lublinie, opowiadał o potwornych torturach, krwi na ścianach i dramatycznych napisach w celi. Ojczym był trzymany na Zamku dwa lata, następne trzy spędził we Wronkach, mimo że był tylko prostym żołnierzem. Ale powód represji był inny. Komuniści mścili się w ten sposób za powojenną

działalność „Lwa” – Antoniego Kopaczewskiego, ojca późniejszego przywódcy rzeszowskiej „Solidarności”.



Antoni Kopaczewski,
„Lew”



Antoni Kopaczewski,
syn

Antoni Kopaczewski – syn – zanim rozpoczął działalność związkową, też długo pozostawał bez środków do życia. W końcu z rodzinnej Lubelszczyzny przeniósł się do Rzeszowa. Pracę znalazł w tamtejszej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Ale tam też zorientowali się, kim jest. Niewiele brakowało, aby trafił do więzienia.

Rewanż za reakcyjną bandę

Był 1982 r., stan wojenny. W rzeszowskich „Nowinach”, ówczesnym organie KW PZPR, Ryszard Beres napisał reportaż z Piasków, rodzinnej miejscowości Kopaczewskiego: „Gdy w prasie i programach telewizyjnych zaprezentowano ekstremalne antysocjalistyczne poglądy i działalność przewodniczącego

MKR [Międzyzakładowego Komitetu Robotniczego – TMP] »Solidarność« Regionu Rzeszowskiego – Antoniego Kopaczewskiego, tutejsze społeczeństwo skojarzyło te fakty z »wyczynami« osoby o tym samym imieniu i nazwisku, znanej tutaj pod pseudonimem »Lew«. Antoni Kopaczewski »Lew« był bowiem w latach 1944-1946 dowódcą bandy WiN, oddziału reakcyjnego podziemia, mającej na swym koncie kilkadziesiąt morderstw, szereg napadów i rabunków, będącej wówczas postrachem dla mieszkańców gminy Piaski i okolicznych wiosek”.

Bereś zebrał wiele relacji na temat „bandy terrorystyczno-rabunkowej »Lwa«, i działalności jego syna. I tak, Stanisław Kasprzak, w latach 1945-1950 komendant MO w Piaskach, działacz ZBoWiD, mówił: „Z niepokojem i trwogą obserwowałem rozwój wydarzeń w ub. r. Te miesiące niepokojów, których doświadczyliśmy za sprawą takich »działaczy« jak Antoni Kopaczewski – junior, przypominały mi chwilami okres sprzed 36 lat, czasy, gdy byliśmy terroryzowani i prześladowani przez ludzi »Lwa«. Brakowało tylko strażów. Jak się dziś przekonujemy, i one były wpisane w scenariusz »Solidarności«. Realizację tych awanturniczych i zbrodniczych planów przecięła jedynie słuszna decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego”.



Żołnierze
Antoniego Kopaczewskiego „Lwa”

Ryszard Beres przenikliwie zauważał: „Zastanawia mnie duże podobieństwo godła z opisem widniejącym na nielegalnej gazecie „Wolność i Niezawistość” kolportowanej przez bandę WiN Antoniego Kopaczewskiego »Lwa« (oglądałem ją w archiwum KW MO w Lublinie) z prawie identycznym symbolem umieszczonym na sztandarze Komisji Zakładowej NSZZ »Solidarność« w rzeszowskiej WSK, której głównym założycielem i patronem był przecież Antoni Kopaczewski – junior. Nie sądzę, że stało się to za sprawą cudownego zbiegu okoliczności”.

Lucjan Świetlicki, dyrektor Zbiorczej Szkoły Gminnej w Piaskach: „poczynania Antoniego Kopaczewskiego, ekstremalnego przewodniczącego »Solidarności« w Rzeszowie, były próbą odwetu, rewanżu za tamte lata”.



Wiosna 1945 r.,
żołnierze Antoniego Kopaczewskiego „Lwa”

Anna Dziedzic, która przez kilka miesięcy prowadziła sprawy kadrowe w rzeszowskiej MKR, do końca „zdemaskowała” przywódcę „Solidarności”: „Niewątpliwie wszyscy pomniejsi »bogowie« z MKR wzorowali się wiernie na przewodniczącym Antonim Kopaczewskim. Jest to człowiek, którym kieruje

mściwość, zawiść, ogromna wściekłość i nienawiść do ustroju, do władzy, do wszystkiego, co pachnie »czerwonymi«.

Antoni Kopaczewski potwierdza: – Zawsze akcentowałem antykomunizm, na prywatnych spotkaniach, manifestacjach. To było we mnie. Gdy widziałem komunistę, miałem stany wymiotne, z rozpaczy.

Słońce dziwnie zachodziło

Był 8 września 1946 r. W Ignasinie, nieopodal Piasków na Lubelszczyźnie, funkcjonariusze UBP z Lublina i Krasnegostawu wsparci przez milicjantów przeprowadzili obławę na Antoniego Kopaczewskiego „Lwa” i jego podkomendnych ukrywających się na terenie gospodarstwa związanej z oddziałem rodziny Dziachanów.

Antoni Kopaszewski, syn, wspomina: – Miałem wówczas pięć lat. Matka mówiła ojcu, żeby skończył z partyzantką. Ciągłe przychodziły informacje o rozstrzelaniach, wywózkach na Syberię. Czulem potworny strach. Któregoś dnia – pamiętam to jak dziś – miałem przeczucie, że stanie się coś złego. Słońce tak jakoś dziwnie zachodziło.

Ppor. Antoni Kopaczewski zginął po kilkugodzinnej walce. Razem z nim poległo pięciu jego żołnierzy. W płonących zabudowaniach śmierć ponieśli także Helena i Stanisław Dziachan wraz z czteroletnią córką Anną. Cztery osoby zostały aresztowane.

Kopaczewskiego i kolegów wydał Władysław Ziętek ps. „Kulawy”, były żołnierz „Lwa”. Po aresztowaniu przez UB nie wytrzymał tortur i zdradził miejsce kwaterowania oddziału.

Reżimowy „Sztandar Ludu” donosił: „PUBP Lublin likwiduje NSZ-owską bandę »Lwa«„. Dopiero po dwóch dniach „Gazeta Lubelska” prostowała, że nie była to „banda” Narodowych



Żołnierze Antoniego Kopaczewskiego
„Lwa” zamordowani

Sił Zbrojnych, ale WiN. Po zamordowaniu Kopaczewskiego i jego żołnierzy raport do centrali MBP w Warszawie przygotował szef WUBP w Lublinie Franciszek Piątkowski, późniejszy zastępca komendanta obozu w Jaworznie – Salomona Morela.

Antoni Kopaczewski: – Długo nie wiedzieliśmy, co się stało z ojcem. Dopiero po trzech latach dowiedzieliśmy się, że pochowali go przy ul. Unickiej w Lublinie. Ludzie mówili, że przywieźli rąbankę.

Zamordowany za WiN

Dlaczego Antoni Kopaczewski – „Lew” musiał zginąć? Ten syn ziemi lubelskiej, przedwojenny absolwent szkoły podoficerskiej w Nisku (rocznik 1918), żołnierz kampanii wrześniowej (43. pp. w Równem), potem pierwszej organizacji konspiracyjnej na Lubelszczyźnie – „Baonów Zemsty”, a po jej rozbiciu do ZWZ-AK w Piaskach, również po wkroczeniu Sowieców nie złożył broni.

Po aresztowaniu szefa placówki AK w Piaskach „Lew” odbudował struktury konspiracyjne i – nie wierząc w prawdziwość amnestii dla żołnierzy niepodległościowego podziemia – jesienią 1945 r. wstąpił do Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Jako zawodowy podoficer był już poszukiwany przez NKWD.



Zdzisław Broński
„Uskok”, Stanisław
Kuchciewicz „Wiktor”



Stanisław Kuchciewicz
„Wiktor”

Kopaczewski podporządkował się rozkazom mjr Hieronima Dekutowskiego – „Zapory”, dowódcy zgrupowania WiN, największej antykomunistycznej organizacji na Lubelszczyźnie, jednej z pięciu największych w powojennej Polsce (na tych terenach pozostała ona konspiracją zbrojną). W lubelskim żołnierze Dekutowskiego panowali niemal niepodzielnie.

Oddział Antoniego Kopaczewskiego odpowiadał m.in. za drukowanie antykomunistycznych ulotek i konspiracyjnego pisma „Wolność i Niezawisłość”. Walkę z Sowiecami i ich polskimi sługusami dane mu było prowadzić tylko przez rok. Potem z rąk UB ginęli kolejni dowódcy lubelskiego WiN – Hieronim Dekutowski – „Zapora”, Zdzisław Broński – „Uskok”,

Stanisław Kuchciewicz – „Wiktor”. Ostatni – w październiku 1963 r. – Józef Franczak – „Lalek”, wydany przez agenta.

Współtwórca rolniczej „Solidarności”

Początek lipca 1980 r., Antoni Kopaczewski wrócił do Rzeszowa z Lublina, gdzie właśnie trwał strajk przeciwko podwyżkom cen żywności i warunkom pracy. – To był powiew wolności. Ludzie wreszcie przestali się bać. Wiedziałem, że to samo musimy zrobić w WSK – opowiada. – W strajku wzięło udział 14 tys. osób. Wysunęliśmy 70 postulatów – przede wszystkim ekonomicznych, sprawy polityczne zeszyły wówczas na dalszy plan.

Strajki ogarnęły wiele zakładów w kraju. W Gdańsku, w ramach Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „Solidarności”, Kopaczewski zarejestrował najpierw Komisję Zakładową „S” WSK Rzeszów, a w końcu rzeszowski MKZ i jako jego przedstawiciel został wybrany do Komisji Krajowej Związku. Dużo jeździł po kraju, co zaowocowało m.in. połączeniem załóżków



Antoni Kopaczewski był sygnatariuszem porozumień rzeszowsko-ustrzyckich

solidarnościowego ruchu chłopskiego w Rzeszowie i Ustrzykach Dolnych. – Ciągle bałem się, żeby to, co robimy, nie zostało przerwane – wspomina.

Styczeń 1981 r., władze odmawiają rejestracji rolniczej „Solidarności”, co wywołało strajki chłopskie. 18 lutego 1981 r., Antoni Kopaczewski jako jeden z sygnatariuszy podpisał porozumienie między Komitetem Strajkowym w Rzeszowie działającym

w imieniu Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych a delegacją rządową. Gwarantowało ono m.in.: nienaruszalność chłopskiej własności ziemi, zmianę cen produktów rolnych, emerytury dla rolników.

20 lutego 1981 r. Antoni Kopaczewski, Lech Wałęsa i Bogdan Lis podpisali porozumienie między Komitetem Strajkowym w Ustrzykach Dolnych a przedstawicielami władzy. Do historii rozmowy te przeszły jako porozumienia rzeszowsko-ustrzyckie. Dzięki nim na początku marca zarejestrowano Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność”.

Podczas obrad Komisji Krajowej „Solidarności” w Rzeszowie Antoni Kopaczewski został wybrany na przewodniczącego Zarządu Regionu Rzeszowskiego NSZZ „S”.

Alternatywa dla linii ugodowej

Po kilku miesiącach przysłała noc stanu wojennego, represje i działalność w podziemiu. Kopaczewski współorganizował tajne struktury Związku, ale też jawnie reprezentował regionalne władze „Solidarności” podczas manifestacji, spotkań rocznicowych. Współtworzył petycje i listy do władz PRL piętnujące reżim komunistyczny.

Antoni Kopaczewski (strona „Solidarności Walczącej”): „Po 13.12.1981 r. redagowałem odezwę i kolportowałem je w formie ulotek o dosyć ostrym wydźwięku, stosując retorykę mocno antykomunistyczną. Ulotki te sygnowane były przez RKW »Solidarność«. Działalność ta musiała być dość zauważalna, ponieważ prasa komunistyczna w Rzeszowie cytowała fragmenty ulotek. (...) Na posiedzeniach RKW dochodziło do coraz ostrzejszych starć. Miałem do nich pretensje, że ich działalność nie opiera się o takie idee, jak niepodległość. W pewnym momencie

rozumiałem, że nasze drogi coraz bardziej się rozchodzą, ale nie chciałem doprowadzać do jakiegokolwiek formy rozbitcia”.

W latach 1983-1989 Kopaczewski przewodził rzeszowskiemu oddziałowi „Solidarności Walczącej”. Używając pseudonimu Michał Jodłowski, wydawał m.in. radykalnie antykomunistyczne pismo „Galicja”. Był również aktywny w wielu innych dziedzinach patriotycznej działalności podziemnej: „Od 1982 r. do końca lat 80. byłem jednym z głównych organizatorów manifestacji po mszach za ojczyznę w kościele Farnym. (...) Oprócz trzynastego (zwłaszcza w grudniu) zawsze były manifestacje 31 sierpnia, 11 listopada, 3 maja. Na 1 maja nigdy nie organizowaliśmy pochodów niezależnych. Demonstracje rozpoczynały się pod krzyżem misyjnym, poświęconym od 1984 r. księdzu Jerzemu Popiełuszcze. Liczba uczestników manifestacji – ok. 200 osób. Największą manifestację uliczną udało się nam zorganizować już po utworzeniu Oddziału rzeszowskiego SW, 3 maja 1984 r. Przyszło wtedy ok. 3-4 tys. ludzi. Specyfiką Rzeszowa były właśnie pochody trzeciomajowe, na które przychodziło zawsze dużo ludzi. (...) SW na Rzeszowszczyźnie zaczęła funkcjonować w świadomości jako alternatywa dla linii ugodowej. (...) Sądzę, że swoisty przełom w świadomości członków i sympatyków SW Rzeszów nastąpił w 1986 roku, kiedy przekonano się, że SW stanowi realną alternatywę dla głównego nurtu „Solidarności”. Robiliśmy często akcje ulotkowe, dość sprawnie działał kolportaż, toteż obecność SW na rzeszowskiej scenie politycznej była duża”.

Kim jesteś?

10 listopada 2007 r., w przeddzień Narodowego Święta Niepodległości, Antoni Kopaczewski gościł w Mielcu. Wtedy zaprezentował wiersz, ułożony przed laty:

„Od najmłodszych lat było we mnie poczucie wolności i to sprowadziło mnie do tego, że znalazłem się w tamtym okresie w »Solidarności«, na jej czele i to było moim przesłaniem, moją dewizą. Człowiek wtedy żyje na tym świecie i ma to wszystko sens, kiedy jest wolny. I kiedy dostałem drugi zawał serca, zastanawiałem się, czy to już koniec? I nie mając żadnej inklinacji do tego, że mogę napisać jakiś wiersz, napisałem utwór »Kim jesteś?«

*Pytanie bez sensu
Kim będziesz
aniołem bez skrzydeł
Kim jesteś
po latach się spytasz
Wiedz, żeś jest pyłkiem
To ciebie wiatr rozsypie
po polach
Z Twoich marzeń
narodzi się życie
Lecz pyłkiem będąc
pozostań wolny
To wszystko*



Antoni Kopaczewski
do dziś walczy o prawa
i wolności obywatelskie

I kiedy przyszła »Solidarność« i znalazłem się na jej czele, to powiedziałem: nie przyszedłem dla wolnego związku zawodowego, przyszedłem dla wolnej Polski. I »Solidarność« traktowałem jako instrument, na ile mogłem, na ile się dało walczyć o tę wolną Polskę, ale przestrzegałem wtedy ludzi, mówiąc, że przyjdzie wolność, ale nie będziemy wiedzieć, czym się to je”.

Antoni Kopaczewski wiedział, nie tylko jak o wolną Polskę walczyć, ale jak z wywalczonej wolności korzystać, jak jej nie zmarnować. Już u zarania III RP swoje ideały realizował w działalności samorządowej, jako radny miasta Rzeszowa. 31 sierpnia 2006 r. w Gdańsku, podczas centralnych uroczystości 26. rocznicy wydarzeń Sierpnia 1980 r. i powstania NSZZ „Solidarność”, prezydent Lech Kaczyński odznaczył Antoniego Kopaczewskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

„Nasza Polska” nr 20 (759) z 18 maja 2010 r.

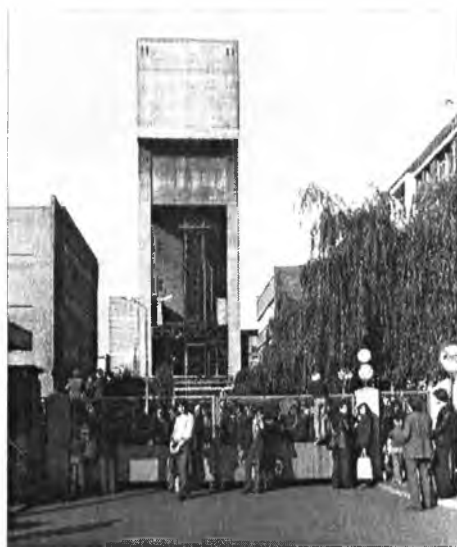
Dlaczego nie pamięta się o Jastrzębiu?

Z uczestnikami strajku w „Manifeście Lipcowym”, który otworzył drogę do Porozumienia Jastrzębskiego jest jeden problem – wielu opuściło Śląsk po brutalnych represjach stanu wojennego, a jeżeli zostali, na ogół nie uczestniczą w życiu politycznym. Los nie był dla nich łaskawy. Ich dziadowie brali udział w powstaniach śląskich, ojcowie byli przymusowo wcielani do Wehrmachtu, a potem doświadczali gehenny powojennych obozów dla Niemców, mimo że czuli się Polakami. Łatwiej było tym, którzy przybyli tu z innych regionów Polski w poszukiwaniu pracy, ale ich władza ludowa też nie oszczędzała. W III RP nie przyjęli postawy roszczeniowej, przestrzegają jednak przed odejściem od ideałów Sierpnia, które mają w sercu. O jedno mają pretensje – że Porozumienie Jastrzębskie, jedno z trzech porozumień Sierpnia, choć podpisane 3 września 1980 r., jest dziś pomijane, że o Jastrzębiu się nie pamięta.

Czesław Kłosek: – Jastrzębie od dawna pozostaje w cieniu Katowic, które potrafiły stworzyć ośrodek myśli narodowo-robotniczej. W porównaniu z górnikami z kopalni „Wujek”, my jesteśmy zapomniani, wystarczy spojrzeć na ich pomnik i nasz pomniczek. Nie chodzi tu o liczbę ofiar, ale o sam fakt, że władza strzelała do ludzi. Nam udało się przeżyć, im nie – czysto medyczny przypadek. Wszyscy dziwią się: „Tak poszarpany i żyjesz”.

Chyba musimy pogodzić się z tym, że jesteśmy miastem, nie tylko terytorialnie, ale i organizacyjnie na obrzeżach Rzeczypospolitej. Ale teraz jest ostatni moment, aby mówić o tym, co tu się stało, o porozumieniu, o Jastrzębiu. Przypominać, że to był ogromny ruch społeczny, zapoczątkowany przez zwykłych ludzi. Nie wszyscy potrafili skonsumować to zwycięstwo i o nich trzeba szczególnie pamiętać.

Grzegorz Stawski: – Dzięki strajkom na Śląsku, które objęły całą masę zakładów, nastąpił zwrot w negocjacjach w Gdańsku i Szczecinie. Gdyby ich nie było, porozumienia podpisane przez Wałęsę i Jurczyka mogły inaczej wyglądać. Tam były tradycyjne miejsca sprzeciwu, Śląsk w tak wyraźny sposób wcześniej nie występował. Porozumienie Jastrzębskie odebrało władzy możliwość rozmycia sukcesu gdańskiego, stanowiło przypieczerowanie zrywu.



KWK „Manifest Lipcowy”

– Momenty przełomowe w 1980 r., podobnie zresztą jak w 1988 r., to był Śląsk, byliśmy w oku cyklonu – mówi **Euzebiusz Bogdanik**. – Pomijając te wydarzenia, podcinamy jeden z głównych filarów Solidarności w Polsce i korzenie całego Związku. Tu nie chodzi o sentymenty, ale o oddanie prawdy.



Tadeusz Jedynek (z prawej)

„Górnicy, na co czekacie?”

Zdaniem Grzegorza Stawskiego, głównym powodem deprecjonowania Porozumienia Jastrzębskiego jest kontrowersyjna osoba **Jarosława Sienkiewicza**: – MKS to było ogromne ciało, kilkadziesiąt osób. Nawet, jeśli znalazło się tam jeszcze kilku podstawionych ludzi, pozostali ryzykowali życiem. Podobnie jak w innych regionach władza chciała mieć wpływ na przebieg strajku, a potem funkcjonowanie „Solidarności” na Śląsku, ale to się nie udało. Mówi się, że Porozumienie Jastrzębskie jest związane z Sienkiewiczem, ale on nigdy nie był przywódcą strajku. Przewodniczącym komisji negocjacyjnej został dopiero na końcu i pełnił w zasadzie funkcję reprezentacyjną. Niekwestionowanym

przywódcą był **Stefan Pałka**, który po wyrzuceniu Sienkiewicza został szefem regionu. To jemu zawdzięczamy nasz sukces. Drugą niezwykle ważną osobą był **Tadeusz Jedynek**, odporny psychicznie, dynamiczny, najtwardszy negocjator po naszej stronie, który wprowadził zasadę, że nie przechodzimy do następnego punktu, zanim nie zakończymy poprzedniego.

Dlaczego jeszcze Porozumienie Jastrzębskie jest deprecjonowane? Wśród doradców, skierowanych do nas na początku września przez kurię biskupią w Katowicach przez śp. biskupa **Herberta Bednorza**, byli ludzie skonfliktowani z grupą związaną z Tadeuszem Mazowieckim.

W Sierpniu 1980 r. nastroje strajkowe objęły całą Polskę. Nieprzypadkowo jednak ognisko zapalne znalazło się w Jastrzębiu. Tu, obok huty „Katowice”, było największe skupisko robotnicze w regionie.

– U nas była mieszanka wybuchowa ludzi z różnych stron Polski – pamięta Grzegorz Stawski. – Ja pochodzę z Pomorza, na Śląsk przyjechałem w 1977 r. Ryzyko strajku było mniejsze niż w innych kopalniach, gdzie była stara załoga, wszyscy się znali. Do stracenia było jednak niewiele, a wszyscy mieliśmy dość złego traktowania przez zwierzchników. Przychodziły wagony z napisami: „Górnicy, na co czekacie?”

Jak to się stało, że znalazł się w MKS-ie? Po prostu przyszedłem 28 sierpnia na nocną zmianę. Ten dzień był jednak inny, czuliśmy, że coś się musi zdarzyć. Zamieszanie zrobiło się już przy bramie. Ludzie, zamiast iść na szyb, zaczęli zbierać się na cechowni.

Czesław Kłosek: – Mimo apelu dyrekcji, żeby się nie gromadzić, w cechowni zebrało się 2 tysiące górników z nocnej zmiany. Kiedy chcieliśmy już zjechać na dół, na kwietnik przed cechownią wyskoczył Stefan Pałka i powiedział, żebyśmy zostali, bo drugi raz tak się nie zbierzemy.



Strajkujący w sierpniu 1980 roku

– Wyprowadzenie ludzi z cechowni to był psychologicznie świetny manewr, bo tam było mnóstwo świateł, wszyscy byli widoczni, a na placu widać było tylko Stefana, reszta stała w półmroku, była anonimowa. To dawało szansę, że strajk się utrzyma – podkreśla Grzegorz Stawski. – Dyrekcja w różny sposób próbowała rozbić strajk. Na odprawie dozoru dyrektor wściekał się: „Brać za mordę swoje załogi, zjeżdżać na dół oddziałami, rozwalać to wszystko”. I wtedy nie wytrzymałem, coś we mnie pękło. Miałem 25 lat, pracowałem od niedzieli do niedzieli w imię tego, że jakiś idiota zaplanował 200 mln. ton węgla. Ile można dostawać po pysku? Dyrektorowi powiedziałem: „Wypowiadam panu posłuszeństwo, idę do tych ludzi, z którymi na co dzień pracuję, tam jest moje miejsce”. Z dwoma kolegami poszliśmy do strajkujących jako delegacja dozoru. Stefan Pałka przedstawił nas. To był jeden z dwóch momentów w życiu, kiedy się bałem. Wtedy był totalny konflikt między górnikami a dozorem, bo my przykręcaliśmy śrubę, ale oni nie wiedzieli, że nas też dyrekcja ciśnie. Przywitano nas okłaskami. W Komitecie Strajkowym pilnowałem spraw dozoru.

Stawski drugi raz bał się w sierpniu 1988 r., kiedy „Manifest Lipcowy” pozostał ostatnim strajkującym zakładem w Polsce: – Ludzie mieli dość, ale musieliśmy dotrzeć do końca. Bałem się, że jeżeli nas złamią, to nikt nigdy nie podniesie głowy na tym terenie.

Jak się chciało żyć!

Górnicy „Manifestu” pamiętają pierwsze postulaty: wolne soboty i niedziele, zniesienie czterobrygadówki, buty, gumowe rękawice, zupy i pralnia. Takie pierwsze bołączki.

Czesław Kłosek: – Odwaga stanięcia tej nocy była nieporównywalna do tego, co jest teraz. Dzisiaj każdy chłystek może powiedzieć, że mu się premier nie podoba. Wtedy wiedzieliśmy, że podobnie myślimy. Patrzyłem tylko, czy za mną są inni. Potem, w grudniu 1981 r., kiedy zaczęli do nas strzelać, też rozejrzałem się dookoła. W pewnym momencie można było zrobić krok do przodu i zostać samemu.



Kopalnia „Jastrzębie”

Pierwszego dnia pojawiły się informacje, że na kopalniach zamykane są stołówki, aby odizolować strajkujących. W sztabie strajkowym na „Moszczenicy” Euzebiusz Bogdanik dostał zgodę na dostarczanie żywności kopalniom. – Z dwoma kolegami wyjechałem żukiem w miasto. Po drodze wstąpiłem do domu, żona przeszła na maszynie biało-czerwone wstążki.

Czesław Kłosek: – Żona mówiła mi: nie idź, nie pchaj się, bo w coś się wpakujesz. A ja powiedziałem tylko: tak trzeba. Potem matki, żony, narzeczone czekały na nas całymi dniami, wystawały w kolejkach, nie wiedziały, czy już nas zamknęli.

Euzebiusz Bogdanik: – Pierwszy sklep, długa kolejka po chleb. Kierowniczka zobaczyła biało-czerwone wstążki. Na pytanie, czy część chleba możemy wziąć na „Moszczenicę”, odpowiedziała, że to zależy od tych ludzi z kolejki. Ludzie wiedzieli już, że jest strajk na „Manifeście” i że przyłączają się inne kopalnie. Połowa spuściła głowę i płakała. Dostaliśmy chyba 30 bochenków i szklane konserwy z kapustą i kielbasą. Za chleb zapłacili ludzie z kolejki. W innych sklepach było podobnie. Tak robiliśmy przez kilka następnych dni. Człowiek przewracał się z niewyspania, ale jak się chciało żyć!

Ewangelia dla górnictwa

Drugiego dnia do strajkujących z „Manifestu Lipcowego” dołączyła delegacja z kopalni „Borynia” w Jastrzębiu i powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Pod koniec negocjacji z komisją rządową w MKS Jastrzębie było już ponad 50 zakładów, w tym 28 kopalń.

Czesław Kłosek: – Ludzie nie spali po nocach. Cały czas staliśmy na placu, utrzymywaliśmy szpaler, żeby delegacja rządowa czuła nasz oddech, presję kilku tysięcy ludzi. Dzisiaj słyszę,

że wystarczyło przespać się na styropianie, a to była zwykła dykta, rozkładana z pudeł.

Warunkiem MKS, aby dalej rozmawiać, było podanie przez władze do publicznej wiadomości, że Śląsk strajkuje i popiera postulaty Wybrzeża.

Czesław Kłosek: – Na parterowym budynku stał telewizor. Dopiero trzeciego dnia powiedziano, że coś się u nas dzieje, że podpisaliśmy porozumienie, ale my wtedy nic nie podpisaliśmy. Na placu zrobił się wielki szum, bo wicepremier **Aleksander Kopec** cały czas zapewniał nas, że ma dobre zamiary.



Strajk na kopalni „Moszczenica”

Kiedy strajkujący dowiedzieli się, że informacja o Jastrzębiu ukazała się tylko w śląskim wydaniu dziennika, wysłali delegację do Gdańska, która przywiozła 21 postulatów.

Do postulatów Wybrzeża dołączyliśmy nasze, typowo socjalne – podwyższenie płac, deputat węglowy, dodatki stabilizacyjne, karta górnika, emerytura po 25 latach – wymienia Grzegorz Stawski. – Młody człowiek, który czyta dziś te postulaty, nie zrozumie, co to znaczy zwiększyć podaż mięsa, podnieść jego

jakość, płacić dodatki szkodliwe, że te rzeczy mogą nie być realizowane. Wiele z nich obowiązuje jednak do dziś, jako ewangelia dla działalności związków zawodowych w górnictwie.

Stawski podkreśla również, że Porozumienie Jastrzębskie było jedynym podpisanym bez doradców: – To było wyłącznie nasze dzieło, od początku do końca, a przecież nie mieliśmy wykształcenia prawniczego, ekonomicznego. Może to również jest przyczyna jego deprecjonowania, „bo coś ci robole mogli mądrogo wymyślić?”.

Dziennikarzom wypadły kabury spod koszul

Czesław Kłosek: – Było dużo huraoptymistycznych postulatów, wynikających z nastroju chwili. Zdarzało się, że nad jakąś sprawą dyskutowaliśmy po kilka godzin, a potem okazywało się, że trzeba to w ogóle odrzucić. Nie wiedzieliśmy, co jest realne, a co nie. Jednak jeśli oni odrzucali nasze postulaty bez jakiegokolwiek dyskusji, to przy innych sprawach, nawet jeśli przedstawiali jakieś argumenty, my mówiliśmy: nie. To były ciągle przepychanki. Próbowałem przeforsować postulat o przywróceniu nazwy „Zofiówka”, ale ktoś powiedział: „Daj spokój, mamy ważniejsze sprawy”. Nazwa „Zofiówka” powróciła w 1990 r. Po długiej dyskusji władza zapewniła bezpieczeństwo dla przywódców strajku.

Grzegorz Stawski: – To była gotowa lista proskrypcyjna w stanie wojennym, z pełnymi danymi personalnymi.

W Jastrzębiu głównym postulatem, a zarazem punktem spornym nie były wolne związki zawodowe – to podpisano w Gdańsku – ale wolne soboty.

Grzegorz Stawski pilnował przepisywania porozumienia: – Tekst dyktował niejaki Puszczewicz ze strony rządowej. Kiedy

zobaczyłem, że w miejsce wynegocjowanego zapisu o wszystkich wolnych sobotach i niedzielach, chce wpisać soboty gierkowskie [było ich 12 czy 14 w roku – TMP], kazałem go odsunąć. Tuż przed końcem negocjacji porozumienie było zagrożone. Jakiś funkcjonariusz SB chciał podpalić plac drzewa na kopalni „Moszczenica”, ale złapały go nasze straże. W momencie podpisania kilku dziennikarzom wypadły kabury spod koszul. Nie wielu zachodnich dziennikarzy zdążyło przyjechać z Gdańska do Jastrzębia, chyba nie wiedzieli, gdzie to nasze miasto się znajduje. Skończyliśmy około godziny 5.00 nad ranem. Po podpisaniu porozumienia śpiewaliśmy hymn. To nie było wymuszone, ale spontaniczne, aż ciarki przechodziły po plecach. Na zewnątrz było czarno od ludzi, człowiek na człowieku.

Euzebiusz Bogdanik było po drugiej stronie płotu: – Wszyscy czekali, bo porozumienie miało być podpisane wieczorem. Przez głośniki usłyszeliśmy komunikat wicepremiera Kopcia i przewodniczącego Sienkiewicza o zakończeniu strajku. Była euforia, „Jeszcze Polska” i inne pieśni. Dopiero wtedy poczuliśmy zmęczenie. Kiedy wróciłem do domu, już świeciło.



Pomnik poświęcony
porozumieniom jastrzębskim

Porozumienie przekroczyło marzenia strajkujących – osiągnęli wszystko, co chcieli. Była jednak świadomość, że pod groźbą rozszerzenia strajku komisja rządowa poszła na dużo większe ustępstwa, niż mogła, że teraz trzeba będzie walczyć o dotrzymanie porozumienia. Młodszy pamiętali 1970 i 1976 rok, starsi 1956. Pierwsze poważne ostrzeżenie przyszło w marcu, kiedy w Bydgoszczy pobito Jana Rulewskiego.



Śp. Lech Kaczyński
na obchodach rocznicowych

Grzegorz Stawski: – 1981 rok to było ciągłe naruszanie porozumienia, straszenie ludzi: „jeśli nie przyjdiesz w sobotę, będziesz miał bumelę”. Stefan Pałka miał ciężki wypadek samochodowy, ja też wylądowałem z kierowcą w rowie. A potem przyszedł stan wojenny – do dacha chłopcy salutować, a dół fedrować. Zakłady zostały zmilitaryzowane i dyskusje się skończyły.

Czesław Kłosek: – Jaruzelski poprosił o 90 dni spokoju, a wyszła z tego noc stanu wojennego i 10 lat represji i zastoju.

Euzebiusz Bogdanik: – Wtedy ludzie dali z siebie wszystko, ze swoich umiejętności, ze swojego życia. Dziś są rozczarowani – rządzi wolny rynek, pieniądź i wielu zgubiło się w tym. Jeżeli dziedzictwo Sierpnia zostanie zmarnowane, może dojść do nowego wystąpienia robotników w obronie tamtych wartości.

Zdaniem Czesława Kłoska Sierpień przyszedł 25-30 lat za późno, bo społeczeństwo zostało już bardzo zdeprawowane komunizmem i nie miało już przyzwoitości pokolenia przedwojennego.

Grzegorz Stawski:

Pracownik dozoru, szytgar kopalni „Manifest Lipcowy”. 13 grudnia 1981 r. internowany. „Na wolność” wyszedł po dwóch latach z zakładu karnego w Uhercach w Bieszczadach. Uczestnik strajków 1988 r. Potem w strukturach Związku – członek Komisji Krajowej „S”, dziś biznesmen.

Czesław Kłosek:

Uczestnik strajków 1980 r.; ranny podczas pacyfikacji kopalni „Manifest Lipcowy” 15 grudnia 1981 r.; strajkował też w 1988 r. Został oskarżycielem posiłkowym w procesie mordców z „Wujka” i „Manifestu Lipcowego”.

Euzebiusz Bogdanik:

W sierpniu 1980 r. maszynista lokomotyw spalinowych, obsługiwał transport kolejowy między kopalniami. 13 grudnia uniknął internowania, schował związkowy sztandar, zabezpieczył dokumenty finansowe. Uczestnik grudniowych strajków w swoim macierzystym zakładzie – kopalni „Moszczenica” w Jastrzębiu. Potem wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej Solidarności w „Manifeście Lipcowym”, delegat na śląskie zjazdy „S”, od 1989 r. na rencie.

„Nasza Polska” nr 35 (774) z 31 sierpnia 2010 r.

Grudzień – miesiąc znamieny, tragiczny

Grudzień to w historii Polski miesiąc szczególny. W czasach komunizmu obfitował w wydarzenia tragiczne, po 1989 roku dawał promyk nadziei na życie w kraju prawdziwie wolnym.

1945:

W dniach 6-13 grudnia na I Zjeździe sowieckiej ekspozytury – Polskiej Partii Robotniczej (PPR) w Warszawie stwierdzono, że budowa „nowego ustroju społeczno-gospodarczego” może nastąpić jedynie w sojuszu z „demokratycznymi i patriotycznymi siłami narodu”, przy wzmocnieniu „jednolitego frontu klasy robotniczej”. W praktyce była to zapowiedź krwawej rozprawy Moskwy z polskimi patriotami. Sekretarzem generalnym partii pozostał Władysław Gomułka. Niejawnym członkiem Biura Politycznego był przewodniczący innego sowieckiego tworu zawiązanego w czasie niemieckiej okupacji – Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut, który formalnie pozostawał bezpartyjny. Moskwa, pod przykrywką legalizmu, przejmowała władzę w Polsce.

1946:

10 grudnia Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie wydał 6 wyroków śmierci w procesie Komendy Głównej Narodowych

Sił Zbrojnych (NSZ) i Organizacji Polskiej. Także w ten sposób komuniści pozbywali się polskich patriotów, którzy nie zgadzali się na sowieckie zniewolenie.

24 grudnia śmierć ostatniego Dowódcy Armii Krajowej, gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” w więzieniu na Łubiance w Moskwie. W albumie śp. Janusza Kurtyki i Jacka Pawłowicza „Generał Leopold Okulicki. 1898-1946” czytamy: *„Okoliczności śmierci gen. Leopolda Okulickiego nie są jasne do dzisiaj. W 1956 r. Szwedzki Czerwony Krzyż został poinformowany przez władze sowieckie, że Okulicki zmarł na skutek paraliżu i ataku serca 24 grudnia 1946 r., a jego zwłoki spopielono. Była to reakcja na międzynarodową kampanię pod hasłem uzyskania informacji o skazańcach z 21 czerwca 1945 r. Sama data śmierci zdaje się nie budzić wątpliwości. Jest możliwe, że Okulicki miał atak serca lub został sparaliżowany, z pewnością jego stan zdrowia mógł się pogorszyć na skutek drugiego barbarzyńskiego śledztwa. Z drugiej jednak strony, wszystkie relacje z procesu moskiewskiego, jak również styl wystąpień Okulickiego na tym procesie, sugerują, że był on wówczas, obok Zbigniewa Stypułkowskiego, w najlepszej formie psychicznej i fizycznej spośród polskich przywódców. Jeden ze skazanych w tym procesie, Adam Bień, widział Okulickiego w pełni sił w więzieniu na Łubiance w Wigilię 1946 r. Z jego relacji wynika, że generał został wyprowadzony w tym dniu z celi 62 – prawdopodobnie na egzekucję. Śmierć Okulickiego przypadła na okres akcji masowej likwidacji więźniów politycznych w ZSRR. Pewności chyba nie będzie można uzyskać już nigdy. Nagły śmiertelny atak choroby jako przyczyna śmierci Okulickiego jest prawdopodobny w takim samym stopniu, jak egzekucja dokonana w podziemiach Łubianki przez oprawców z NKWD – zazwyczaj skazańca brało pod ręce dwóch strażników, a trzeci zabijał go strzałem pistoletowym w tył głowy. Niezależnie od okoliczności śmierci generał Leopold Okulicki stał się ofiarą zbrodni sowieckich”.*



Leopold Okulicki przed sowieckim trybunałem

1947:

W grudniu odbył się pokazowy proces dwóch organizacji niepodległościowych – III Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (WiN) i Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej (KPOPP).



Proces III Komendy WiN,
zeznaje płk Wincenty Kwieciński

1948:

W dniach 15-21 grudnia w auli Politechniki Warszawskiej na Kongresie Zjednoczeniowym PPR i PPS powstała komunistyczna Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Przewodniczący KC Bolesław Bierut w programowym referacie mówił, że powstanie PZPR ma prowadzić naród do „socjalizmu według drogowskazu marksizmu i leninizmu”. Do ścisłego kierownictwa partyjnego weszli: Jakub Berman, Józef Cyrankiewicz, Hilary Minc, Edward Ochab, Stanisław Radkiewicz, Roman Zambrowski.

1952:

5 grudnia uciekł na Zachód wicedyrektor X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, płk Józef Światło. O kulisach działania bezpieki i partii Polacy dowiedzą się niepełna rok później, z audycji Radia Wolna Europa. Rewelacje Światły obnażą zbrodniczość i rozpasanie władarzy PRL.

1954:

7 grudnia w miejsce osławionego MBP powstało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Komitet do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego. „Zasłużony” w tępieniu polskich patriotów minister MBP Stanisław Radkiewicz nie został rozliczony za swoje zbrodnie, tylko przesunięty na stanowisko ministra państwowych gospodarstw rolnych. 13 grudnia z więzienia wyszedł Władysław Gomułka represjonowany wcześniej przez swoich komunistycznych konkurentów za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”.

1956:

25 grudnia, na fali poznańskiego powstania w czerwcu i „odwilży”, władze pozwoliły na wznowienie „Tygodnika Powszechnego” pod redakcją Jerzego Turowicza.

1970:

7 grudnia podpisany został „układ między PRL a RFN o podstawach normalizacji ich wzajemnych stosunków”, w którym Niemcy uznały polską granicę zachodnią.

14 grudnia, wobec ogłoszonej przez władze podwyżki cen, w Trójmieście rozpoczęły się strajki i manifestacje. 15 grudnia robotnicy (do dziś nazywani przez ówczesnego szefa MON, gen. Wojciecha Jaruzelskiego chuliganami. Jaruzelski przed sądem III RP odpowiada za „sprawstwo kierownicze” strzelania do robotników) ze Stoczni Gdańskiej zaatakowali budynki Komendy Wojewódzkiej MO i Komitetu Wojewódzkiego PZPR, który został spalony. Tego samego dnia Biuro Polityczne KC PZPR podjęło decyzję o użyciu broni przeciw demonstrantom.

Powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS), który, prócz postulatów gospodarczych (obniżka cen, podwyżka płac – szczególnie dla najmniej zarabiających, sprawiedliwy podział premii), domagał się wolności prasy i religii, ograniczenia cenzury, niezależnych związków zawodowych.

W specjalnym wystąpieniu w gdańskiej telewizji I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Stanisław Kociołek (razem z Jaruzelskim zasiada dziś na ławie oskarżonych w sprawie wydarzeń na Wybrzeżu) zaapelował o powrót do pracy. 16 grudnia zaczęły się rozruchy w Elblągu, Pruszczu Gdańskim i Tczewie, padły pierwsze strzały. Kociołek ponownie nawoływał do podjęcia pracy. 17 grudnia idący do stoczni robotnicy zostali ostrzelani przez wojsko, zginęło kilkadziesiąt osób. Walki na mieście nie



Pomnik Poległych
Stoczniovców Gdańsk
– Grudzień 1970

ustawały, byli kolejni zabici i ranni. Rozpoczął się strajk w Stoczni Szczecińskiej, podczas demonstracji przed gmachami KW i MO znowu zginęli ludzie. W dniach 18-20 grudnia strajkowały największe zakłady Gdańska, Gdyni, Szczecina i Elbląga. Mimo wygaśnięcia strajków postulaty robotników nie zostały spełnione. Oficjalnie podane liczby ofiar wydarzeń – 45 zabitych, ponad tysiąc rannych i ok. 3 tys. aresztowanych – nie są pełne.



Dzisiaj milicja użyła broni...

20 grudnia na VI Zjeździe PZPR nastąpiły zmiany w kierownictwie partii – I sekretarzem KC na miejsce Władysława Gomułki został Edward Gierek.

1975:

W grudniu (8-12 XII) VII Zjazd PZPR przyjął uchwałę o dokonaniu zmian w konstytucji PRL. Do opracowania poprawek Sejm (29 grudnia) powołał Komisję Nadzwyczajną pod przewodnictwem Henryka Jabłońskiego. Nowelizacja zakładała potwierdzenie socjalistycznego charakteru państwa, przewodniej roli PZPR, nienaruszalnej, braterskiej więzi ze Związkiem

Radzieckim i innymi państwami socjalistycznymi. Prawa obywatelskie miały być uzależnione od wypełniania obowiązków wobec państwa, co dało władzy możliwość dowolnego ograniczania i odbierania tych praw.

1980:

W dniach 1-2 grudnia Edward Gierek został usunięty z KC PZPR.

1981:

W nocy z 12 na 13 grudnia Rada Państwa wydała dekret o wprowadzeniu z dniem 13 grudnia stanu wojennego. Zawiązała się wojskowa junta pod nazwą Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON) pod przewodnictwem Jaruzelskiego, na ulice wyjechały czołgi. W radiu i telewizji Jaruzelski mówił, że państwu zagraża chaos, demoralizacja i przestępczość, a „Solidarność” wzywa do rozprawy z komunistami. Na mocy dekretu zawieszono działalność związków zawodowych, partii politycznych i organizacji społecznych, odebrano prawo do strajków, wolnego podróżowania po kraju i wyjazdów zagranicznych, zablokowano połączenia telefoniczne i telexowe, zawieszono wydawanie prasy (z wyjątkiem „Trybuny Ludu” i „Żołnierza Wolności”) i wprowadzono godzinę milicyjną.

Szacuje się, że w stanie wojennym aresztowano i internowano w sumie ok. 10 tys. działaczy „Solidarności”, w tym doradców związku i opozycyjnych intelektualistów. W miejscach odosobnienia znaleźli się też niektórzy działacze partyjni i państwowi poprzedniego okresu (m.in. Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz, Edward Babiuch).

W kraju doszło do fali strajków, rozpędzanych przez ZOMO (Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej), ROMO (Rezerwowe Oddziały Milicji Obywatelskiej, złożone

ze zmobilizowanych cywilów) i wojsko. 23 grudnia prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan wprowadził sankcje gospodarcze przeciw PRL. Ofiary stanu wojennego szacuje się – według wciąż niepełnych danych – na ponad 100 osób.



Białołęka – tu 13 grudnia 1981 r. wojskowa junta internowała wielu działaczy Solidarności

Proces przeciwko organizatorom tego wojskowego zamachu stanu (m. in. Czesławowi Kiszczakowi) trwa przed warszawskim sądem już kolejny rok. Instytut Pamięci Narodowej oskarżył Jaruzelskiego o zbrodnię komunistyczną, polegającą na kierowaniu „związkiem przestępczym o charakterze zbrojnym, mającym na celu popełnianie przestępstw”, a także o podżeganie członków ówczesnej Rady Państwa PRL do przekroczenia ich uprawnień poprzez uchwalenie dekretów o stanie wojennym w czasie sesji Sejmu PRL – wbrew obowiązującej wówczas Konstytucji.



Winni pozostają bezkarni

Jaruzelski utrzymuje dziś – wbrew niekwestionowanym dokumentom – że stan wojenny uchronił Polskę przed sowiecką interwencją.

1982:

12 grudnia w przemówieniu telewizyjnym Jaruzelski poinformował, że „powstały warunki do zawieszenia stanu wojennego”. 17 grudnia odbyło się pierwsze posiedzenie Tymczasowej Rady Krajowej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON), którego przewodniczącym został Jan Dobraczyński. 23 grudnia z ośrodków odosobnienia wypuszczono większość internowanych, jednocześnie aresztowani zostali członkowie podziemnych władz „Solidarności”. 31 grudnia stan wojenny został zawieszony (zniesiony 22 VI 1983).

1983:

11 grudnia Danuta Wałęsowa odebrała w imieniu Lecha Wałęsy Pokojową Nagrodę Nobla.

1988:

18 grudnia powstał Komitet Obywatelski przy przewodniczącym „Solidarności” Lechu Wałęsie, sekretarzem został Henryk Wujec. Komitet powołał 15 sekcji tematycznych, które miały wypracować stanowisko opozycji w przyszłych rozmowach z rządem.

20 grudnia rozpoczęło się X Plenum KC PZPR, które, mimo sprzeciwu wielu członków KC, opowiedziało się za rozpoczęciem rozmów „okrągłego stołu” i zniesieniem ograniczeń przy tworzeniu „nowych związków zawodowych”.

1989:

29 grudnia Sejm dokonał zmian w konstytucji, które formalnie zakończyły istnienie PRL. Nowela przywróciła historyczną nazwę – Rzeczpospolita Polska. Artykuł 1. mówił: „Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym”. W artykule 2. zapisano, że władza zwierzchnia w państwie należy do narodu. „Naród sprawuje władzę poprzez swych przedstawicieli

wybieranych do sejmu, senatu i rad narodowych”. Zapis „o kierowniczej roli partii” zastąpiono stwierdzeniem, że partie polityczne zrzeszają się na zasadach dobrowolności i równości. Nadzór nad zgodnością ich działania z konstytucją przyznano Trybunałowi Konstytucyjnemu. Usunięto również zapisy o socjalizmie, gospodarce planowej, sojuszach z ZSRR i innymi krajami bloku socjalistycznego.

1990:

22 grudnia Lech Wałęsa został zaprzysiężony jako pierwszy polski prezydent, wybrany w wyborach powszechnych.



Jan Olszewski

1991:

Pod koniec grudnia stanowisko prezesa Rady Ministrów objął mecenas, obrońca w procesach politycznych PRL, Jan Olszewski, ówczesny polityk Porozumienia Centrum. Pierwszą wizytę zagraniczną jako premier złożył w lutym 1992 r. w Watykanie.

1995:

22 grudnia były komunistyczny aparatczyk Aleksander Kwaśniewski, po pokonaniu Lecha Wałęsy w II turze wyborów, objął urząd prezydenta III RP.

2005:

9 grudnia Sejm wybrał na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej dotychczasowego dyrektora krakowskiego oddziału IPN Janusza Kurtykę, w PRL opozycjonistę, współzałożyciela Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Za jego kandydaturą zagłosowało 332 posłów z PiS, PO, LPR i PSL. Zginął tragicznie 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku lecąc na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej.



Śp. prezydent RP
prof. Lech Kaczyński

23 grudnia prof. Lech Kaczyński został zaprzysiężony na Prezydenta RP. W drugiej turze wyborów, 23 października 2005 r., otrzymał 8 257 468 głosów, co stanowiło 54,04% głosujących, pokonując Donalda Tuska. W PRL współpracownik KOR, działacz Wolnych Związków Zawodowych i NSZZ „Solidarność”. W sierpniu 1980 r. był jednym z doradców Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej. W stanie wojennym internowany w Strzebielinku. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W wolnej Polsce był m. in. w latach 1992–1995 prezesem Najwyższej Izby Kontroli, w latach 2000–2001 ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, w latach 2002–2005 prezydentem Warszawy. Współzałożyciel PiS i jej pierwszy prezes, poseł i senator RP. Specjalista od prawa pracy. Zginął tragicznie 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku lecąc na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej.

Sowieccy generałowie niewinni w III RP

Często błędnie ograniczamy komunistyczne zbrodnie do okresu zaraz po wojnie, do czasów stalinowskich. Brutalne morderstwa polityczne miały również miejsce w schyłkowym PRL-u, a nawet u progu odzyskania przez Polskę niepodległości. Dwaj księża – Stefan Niedzielak i Stanisław Suchowolec zginęli w styczniu 1989 r., czyli na kilka miesięcy przed obradami „okrągłego stołu”. Trzeci – ks. Sylwester Zych stracił życie miesiąc po czerwcowych wyborach do kontraktowego Sejmu. Wszyscy to niestrudzeni bojownicy o pamięć i prawdę. Wszyscy zginęli z rąk „nieznanych sprawców”. Mimo upływu 22 lat od tych morderstw, organom ścigania III RP nie udało się odnaleźć ani wykonawców, ani tym bardziej mocodawców.



Towarzysz gen. Kiszczak



Towarzysz gen. Jaruzelski

Nie sposób jednak nie łączyć śmierci kapłanów z osobami, które pod koniec lat 80. kierowały komunistycznym państwem, przede wszystkim z dwoma generałami – Kiszczakiem i Jaruzelskim. Przynajmniej musieli o tych sprawach wiedzieć – bo gdyby było inaczej, nie nadawaliby się na przywódców dyktatury. Ale z generałami mamy problem. Właściwie nie my, tylko wymiar sprawiedliwości III RP. Wszystkie próby ich osądzenia we wszystkich wytoczonych procesach nie przyniosły rezultatu. Kiszczak ostatecznie został uniewinniony w sprawie o przyczynienie się do śmierci 9 górników z kopalni „Wujek” w 1981 r. Proces Jaruzelskiego w procesie Grudnia 70 odroczone z powodu śmierci ławnika, a w procesie o wprowadzenie stanu wojennego generał jest tak chory, że nie może uczestniczyć w rozprawach. Znajduje jednak czas, aby występować w mediach.

Kapelan AK i WiN

Przypomnijmy postaci ofiar – niezłomnych księży. Ks. Stefan Niedzielak – najstarszy z trójki kapłanów – już w czasie niemieckiej okupacji włączył się w walkę o Polskę. Pracę duszpasterską prowadził na terenie Łódzkiego Okręgu AK, kapelan Armii Krajowej w czasie Powstania Warszawskiego. Jako współpracownik Delegatury Rządu na Kraj wcześniej poznał raport Czerwonego Krzyża w sprawie mordu katyńskiego i tą wiedzą dzielił się potem z wiernymi.



Ks. Stefan Niedzielak

Po zakończeniu II wojny światowej ks. Niedzielak nie miał żadnych złudzeń co do zamiarów Sowietów w stosunku do Polski – wiedział, że w miejsce okupanta z Zachodu pojawił się nowy okupant, tym razem ze Wschodu. Dalsze jego działania były konsekwencją obranej wcześniej drogi. Ks. Niedzielak został kapłanem WiN, organizacji, która do dziś jest opluwana przez lewicę.

W latach 80., pamiętając o zbrodniach sowieckiego totalitaryzmu, razem z Wojciechem Ziemińskim i przyjaciółmi, stworzył dzieło swego życia – Sanktuarium Poległych i Pomordowanych na Wschodzie na warszawskich Powązkach. Te wszystkie fakty wpłynęły na wydanie na księdza wyroku śmierci. Morderstwo miało też aktualny wymiar polityczny. W tym samym dniu (20 stycznia 1989 r.) obradowała w Gdańsku Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność”, za kilka dni miało się odbyć spotkanie w Magdalence, przygotowujące „okrągły stół”. Opinię publiczną trzeba było zastraszyć.

”Zdechniesz jak Popiełuszko”

9 dni później zginął ks. Stanisław Suchowolec, kapelan podlaskiej „Solidarności”. Początkowo był wikarym w Suchowoli, rodzinnej miejscowości ks. Jerzego Popiełuszki. Może to przypadek, ale ci dwaj kapłani musieli się spotkać. Mimo różnicy wieku (ks. Jerzy był starszy o 11 lat) zaprzyjaźnili się. Dla „nieznanych sprawców” ten fakt miał niebagatelne znaczenie. Miesiąc po mszy w suchowolskim kościele, którą odprawiał ksiądz Suchowolec, a homilię głosił ksiądz Popiełuszko, ten ostatni został zamordowany. Był rok 1984. Stanisławowi Suchowolcowi dane było żyć jeszcze przez niecałe 6 lat.

Na msze za Ojczyznę do Suchowoli – podobnie jak do kościoła Św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu – zaczęły ściągać

tlumy wiernych. Dwa lata później ksiądz Suchowolec przeniósł się do parafii w dzielnicy Białegostoku Dojlidy. SB jednak czuwała. Mimo powtarzających się coraz częściej gróźb („zdechniesz jak Popiełuszko”) nie zrezygnował z działalności patriotycznej – nadal, z jeszcze większym zaangażowaniem, odprawiał msze za Ojczyznę. Chciał kontynuować dzieło ks. Jerzego i kultywować pamięć o zamordowanym kapelanie „Solidarności”.



Ks. Jerzy Popiełuszko



Ks. Stanisław
Suchowolec

Kres przyszedł pod koniec stycznia 1989 r. Oficjalnym powodem śmierci Stanisława Suchowolca było... zatrucie się tlenkiem węgla, które miało być spowodowane pożarem wywołanym awarią termowentylatora. Prokurator PRL stwierdził, że był to nieszczęśliwy wypadek. Tyle, że owego tragicznego dnia w mieszkaniu ks. Suchowolca był widziany krótko ostrzyżony, nieznamy mężczyzna w wieku ok. 40 lat. Rysopis napastnika został dokładnie odtworzony. Mimo to – podobnie jak w przypadku księdza Niedzielaka – do dziś sprawcy mordu pozostają poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości III RP.

Księża terroryści

Wydawałoby się, że po podpisaniu umów „okrągłego stołu” terror – tak jak jego strażniczka PZPR – przejdzie do historycznego lamusa. Tymczasem, gdy świętowaliśmy jeszcze zwycięstwo w czerwcowych wyborach do Sejmu, choć entuzjazm byłby dużo większy, gdyby nie narzucony społeczeństwu kontrakt, doszło do kolejnej zbrodni politycznej. Ofiarą znowu padł ksiądz. Sylwester Zych w chwili śmierci miał 39 lat. Dla niego 1989 r. też okazał się „przełomem”.



Ks. Sylwester Zych w czasie procesu

Kilka lat wcześniej, w 1982 r. ks. Zych udzielił pomocy młodym ludziom, którzy nie pogodzili się z wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego. Wiedział, że po zdobyciu broni chcieli odbić internowanych kolegów. Wiedział również, że w trakcie próby kradzieży owej broni zginął przypadkowo milicjant. Tym bardziej zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie grożą zarówno im, jak i jemu. „Ludowa” władza oczywiście wykorzystała

sytuację – wreszcie miała „haka” na niepokornego kapłana. Z księdza zrobiono terrorystę i przywódcę związku zbrojnego, a po wyroku wsadzono na prawie pięć lat do więzienia. Sylwester Zych długo wolnością się nie nacieszył. „Nieznani sprawcy” co jakiś czas dawali mu do zrozumienia, że wkrótce umrze. 11 lipca 1989 r. ich groźby się spełniły.



Ks. Tadeusz
Isakowicz-Zaleski

Innym terrorystą był ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Kilka lat temu dokument o prześladowaniu przez SB tego kapłana „Solidarności” z Nowej Huty pokazała telewizyjna „Jedynka”. Obok wstrząsających scen znęcania się w 1985 r. nad kapłanem, oglądaliśmy butę prześladowców. O księdzu Zaleskim mówili: nie był żadną ważną osobą w Kościele, a teraz chce zrobić z siebie bohatera. W dalszej części filmu esbecy bezceremonialnie twierdzili, że nie szkodzili Kościołowi, a przeciwnie – działali dla jego

dobra, „porządkując szeregi”. Poprawiali poziom życia współpracującym z nimi księżom. Szczyt zakłamania i chamstwa.

Najbardziej brutalnym stwierdzeniem było zdanie o zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki: „Jak taki doświadczony funkcjonariusz Piotrowski mógł zrobić taką fuszerkę?”. Esbecy mówili to wszystko beznamyślnie, bez cienia wątpliwości, jakichkolwiek wyrzutów. Mówili przede wszystkim ze świadomością, że za swoje słowa, a tym bardziej czyny, nie poniosą żadnej odpowiedzialności. Jakby byli tylko bezstronnymi świadkami wydarzeń. Jak długo pozostaną bezkarni? Czy kiedykolwiek zostaną osądzeni? Film został wyemitowany – i co dalej? Nic.

Związek przestępczy

Już w 1991 r. prokurator Andrzej Witkowski chciał objąć zarzutami gen. Jaruzelskiego i Kiszczaka i... został nagle odsunięty od sprawy. Badał funkcjonowanie w latach 1956-1989 w strukturach MSW związku przestępczego, który dopuszczał się zbrodni i zabójstw na działaczach opozycji politycznej i duchowieństwa. Zamiarem śledztwa było ustalenie zarówno bezpośrednich sprawców morderstw (takich jak Grzegorz Piotrowski i inni funkcjonariusze Departamentu IV), jak i ich mocodawców.

Do śledztwa Witkowski wrócił po 10 latach, w 2001 r., jako prokurator lubelskiego IPN, prowadzący śledztwo w sprawie okoliczności śmierci ks. Popiełuszki. W wywiadzie zamieszczonym w „Biuletynie IPN” ujawnił notatkę znaną w dokumentach Urzędu ds. Wyznań z sierpnia 1984 r., w której Jaruzelski polecił „wzmocnić działania wobec ks. Popiełuszki”. Witkowskiego ponownie odsunięto, a o śledztwie w sprawie związku przestępczego jakoś nie słychać...



Towarzysz gen. Jaruzelski w otoczeniu swoich

Skutek jest taki, że głównych rozgrywających PRL-owskiego systemu zniewolenia i bezprawia: generałów – Jaruzelskiego i Kiszczaka – od lat osądzić się nie udało. Smutna konkluzja jest taka: jeśli w dzisiejszej Polsce kogokolwiek dopada karząca ręka sprawiedliwości, to tylko okrutnych, ale jednak podrzędnych wykonawców: nielicznych też „oficerów” śledczych. Co gorsza: wspomniani generałowie są również powiązani agenturalnie, co godzi w bezpieczeństwo dzisiejszego państwa polskiego. Przecież gen. Jaruzelski został „oskarżony” o współpracę z wojskową bezpieką, czyli Informacją Wojskową, jako agent „Wolski”. Gen. Kiszczak był związany z IW od końca 1945 r. To on – według akt świetnie poinformowanej Stasi, znajdujących się z Instytucie Gaucka w Berlinie – w 1952 r. ponownie zwerbował Jaruzelskiego na agenta Informacji. Funkcjonariuszem tej zbrodniczej jednostki był również Marian Cimoszewicz, ojciec Włodzimierza, niedoszłego prezydenta III RP i niedoszłego sekretarza generalnego Rady Europy, obecnie senatora „niezależnego”, który w ostatnich wyborach poparł Bronisława Komorowskiego. A szef najokrutniejszego pionu IW – Oddziału Śledczego, Władysław Kochan – żyje do dziś w Warszawie przez nikogo nie ścigany.

Osądzić mocodawców

Wspomniane morderstwa księży to tylko fragment terroru szyłkowego PRL. Bo były jeszcze zbrodnie nocy stanu wojennego, w tym pacyfikacje śląskich kopalń. Komunistyczna dyktatura – przy zastosowaniu różnych metod – pozbywała się groźnych przeciwników. Część tych zabójstw miała wyjaśnić powołana w sejmie kontraktowym Komisja Nadzwyczajna do zbadania działalności MSW w latach 1981-1989, pod przewodnictwem posła Rokity. Opracowano listę zawierającą prawie sto

nazwisk osób, które poniosły śmierć w wyniku działania MO i SB. Prócz zamordowanych księży: Jerzego Popiełuszki, Stefana Niedzielaka, Stanisława Suchowola i Sylwestra Zycha, na liście tej znaleźli się m.in. Grzegorz Przemysk i Piotr Bartoszcze. Komisja przekazała prokuratorowi generalnemu RP opinie dotyczące 19 przypadków, z których 14 miały być objęte postępowaniem prokuratorskim. Niestety, rozwiązanie Sejmu zakończyło prace komisji Rokity. Później – nawet w okresie rządów Akcji Wyborczej Solidarność – nikt, z posłem Rokitą włącznie, nie domagał się wznowienia tych spraw. W tej sytuacji o osądzeniu jakiegokolwiek zbrodni, rzecz jasna, nie mogło być mowy.

Ten stan „zamrożenia” trwa do dziś. Dotyczy to szczególnie komunistycznej „wierchuszki”. Czasem wydaje się nawet, że zapomnieliśmy o mrokach PRL, o tym, kto przewodził „ludowej” władzy, kto ją utrwał i jej bronił, kto decydował o zniewoleniu i bezprawiu. Komu służył IV Departament MSW i inne zbrodnicze departamenty i służby. Można też odnieść wrażenie, że antypolską działalność ludzi z PZPR i resortów siłowych: MBP (później MSW), Informacji Wojskowej (WSW i zlikwidowanych w końcu Wojskowych Służb Informacyjnych) przesłonił problem tajnych współpracowników (TW). Tymczasem, nie zapominając o ich szkodliwej roli, musimy pamiętać przede wszystkim o „zasługach” pracowników służb specjalnych i aparatu terroru. Naszym obowiązkiem jest wskazanie i osądzenie ludzi odpowiedzialnych za prześladowania, mordy, a także pauperyzację społeczeństwa. Osądzenie w pierwszej kolejności żyjących mocodawców: Jaruzelskiego i Kiszczaka. Bo w przerwie między jednym a drugim wywiadem dla mainstreamowych mediów mogą też wstąpić na chwilę do sądu. Byle ten sąd chciał ich osądzić.

Polak, patriota, admirator Marszałka

Pamięci Józefa Szaniawskiego (1944-2012)

Na początku lat 90. Jerzy Zalewski nakręcił film o czterech świadkach historii. Dzieliło ich niemal wszystko, ale połączyło jedno – oskarżenie o szpiegostwo wobec „ludowej” Polski. Jerzy Pawłowski (szablista), Tadeusz Płużański (filozof, mój Ojciec), Józef Szaniawski (dziennikarz) i Zdzisław Najder (historyk literatury). Prócz Najdera wszyscy już nie żyją. Szaniawski zginął właśnie w Tatrach.

Nie będę przytaczał tu Jego życiorysu. Niech świadczy o Nim tych kilka cytatów wybranych z obszernej literatury (w dużej mierze z artykułów w „Naszej Polsce”), które opisują niezwykłego człowieka, przez swoje jednoznacznie antykomunistyczne poglądy nazywanego często wariatem i szkodnikiem.

O hołdzie ruskim: „29 października 1611 roku, na Zamku Królewskim w Warszawie miał miejsce hołd ruski – największy triumf w całych dziejach Polski. Ze względu na okoliczności tego epokowego wydarzenia hołd ruski został wymazany całkowicie z naszej historii jeszcze przez cenzurę carską w XIX wieku, a komunistyczna cenzura PRL podtrzymała tamten rosyjski zapis. Hołd ruski i data 29 października 1611 roku nie istnieje

nie tylko w podręcznikach, encyklopediach, książkach, ale została wymazane celowo ze świadomości i pamięci narodowej Polaków. To najdłużej istniejąca biała plama dziejów Polski”.



Hołd Ruski

O Bitwie Warszawskiej: „W sierpniu 1920 r. pod Warszawą i na całej linii Wisły starły się ze sobą nie tylko Wojsko Polskie i sowiecka Armia Czerwona. Było to zarazem starcie dwóch fundamentalnych idei – polskiego patriotyzmu oraz komunistycznego internacjonalizmu. Starcie cywilizacji zachodniej, europejskiej oraz rosyjsko– azjatyckiej”.

O Katyniu: „Jest oczywiste, że uchwała rządowa podjęta na Kremlu 5 marca 1940 r. była aktem ludobójstwa na bezbronnym jeńcach polskich, za co odpowiedzialność w świetle prawa międzynarodowego ponosi państwo rosyjskie. Z tej odpowiedzialności Rosjanie zdawali sobie doskonale sprawę, bo przecież właśnie dlatego kłamali i ukrywali prawdę o zbrodni katyńskiej przez pół wieku. Rosja premiera Putina także nie poczuwa się do odpowiedzialności, nie kłamie, bo już kłamać nie może, ale nadal manipuluje, nie chcąc nazwać zbrodni na Polakach ludobójstwem. Rosjanie nie chcą też nadal udostępnić nam archiwów

NKWD. Można domniemywać, że znajdują się w nich dokumenty, z których wynika, iż prawda o Katyniu jest dużo gorsza i bardziej straszliwa niż wiemy, a liczba ofiar sowieckiej zbrodni i ludobójstwa na bezbronnych Polakach być może przekracza 70 tysięcy!”.

O „Żołnierzach Wyklętych”: „Tradycja »Wyklętych« sięga końca XVIII wieku, kiedy po upadku niepodległej Polski, po klęsce Powstania Kościuszkowskiego znalazła się spora liczba jego uczestników, którzy nie pogodzili się z »obcą przemocą« i podjęli walkę z zaborcami. Ostatnim polskim »Żołnierzem Wyklętym« był pułkownik Ryszard Kukliński. To właśnie on podjął w 1971 r. samotną, ryzykowną walkę z sowieckim okupantem Polski. Był ostatnim polskim oficerem skazanym na karę śmierci przez komunistyczny reżim PRL. (...) Dlatego nie jest przypadkiem, że jedyny (!) istniejący sztandar »Żołnierzy Wyklętych« znajduje się w muzeum w Izbie Pamięci Pułkownika Kuklińskiego na warszawskim Starym Mieście”.



Pomnik Katyński



Z płk
Ryszardem Kuklińskim



To on stworzył
Izbę Pamięci

Dziś walczyły to, aby tensz tandari i inne pamiątki zgromadzone przez Józefa Szaniawskiego w Warszawie przy ul. Kanonii 20 (w pobliżu katedry Św. Jana Chrzciciela), nie dostały się w niepowołane ręce.

O stanie wojennym: „Haniebnym argumentem, mającym wytłumaczyć zbrodnię stanu wojennego, jest teoria mniejszego zła. Większym złem miała być rzekoma interwencja militarna Rosjan i wkroczenie do Polski żołdatów Armii Czerwonej. Problem w tym, że Rosjanie nie chcieli i nie byli zainteresowani interwencją zbrojną, a jedynie presją polityczną. Rosjanie nie potrzebowali do Polski »wkraczać«, bo przecież w niej byli! Na terytorium PRL-u stacjonowała tzw. Północna Grupa Wojsk Armii Sowieckiej, złożona z kilkunastu doborowych dywizji, w tym jednostek osławionego Specnazu. Sowiecki przywódca Leonid Breżniew i pozostali rządzący na Kremlu członkowie Politbiura nie mieli wątpliwości, że w PRL-u doszło do buntu, do antykomunistycznego i antyrosyjskiego powstania Polaków. To powstanie »Solidarności«, wg mocodawców generała Jaruzelskiego, miało zostać stłumione właśnie przez niego i polskich komunistów. Rosja sowiecka nigdy nie pacyfikowała Polaków przy pomocy siły zbrojnej. Armia Czerwona krwawo spacyfikowała powstanie Węgrów w 1956 roku, Niemców z NRD w 1953, Czechów i Słowaków w 1968. Wszędzie tam siły miejscowych komunistów były za słabe, aby utrzymać naród w posłuszeństwie wobec Moskwy. Ponurym paradoksem było to, że w Polsce i tylko w Polsce komuniści byli na tyle silni, że potrafili sami spacyfikować własny naród w 1956 roku, 1968, 1970, 1976, a wreszcie w stanie wojennym. Wpływy rosyjskie oraz tradycja Targowicy były w PRL-u na tyle skuteczne, że przez pół wieku starczało siły, aby niszczyć i tłumić niepodległościowe dążenia Polaków rękami polskich zdrajców, renegatów i targowiczian XX wieku”.

O Jaruzelskim: „Wojciech Jaruzelski przez całe swoje dorosłe życie służył z zapalem Rosji sowieckiej, działał w imię imperialnej polityki Kremla, a przeciwko wolności Polaków i niepodległości Rzeczypospolitej. Właśnie dlatego ludobójcze, zbrodnicze KGB mianowało Jaruzelskiego szefem Głównego Zarządu Politycznego WP, a w 1981 r. najwyżsi przywódcy Kremla (Breżniew, Ustinow, Andropow) zatwierdzili go najpierw jako premiera, a następnie jako dyktatora stanu wojennego – szefa WRON. Jaruzelski aktywnie zwalczał Kościół, księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego, a także księdza arcybiskupa Karola Wojtyłę w okresie uroczystości 1000-lecia chrztu Polski. To on osobiście wydał m.in. rozkazy, aby represjonować kleryków i młodych księży.



Józef Szaniawski

Zachował się dokument z 1985 roku, w którym naczelny prokurator wojskowy informował Jaruzelskiego o mojej działalności konspiracyjno–niepodległościowej, określając ją mianem szpiegostwa. W konkluzji prokurator stwierdził, że w akcie oskarżenia będzie domagał się dla mnie kary 15 lub 25 lat pozbawienia wolności, gdyż »Szaniawski swą działalnością godził w same fundamenty Polski Ludowej oraz sojuszu polsko–radzieckiego«. Na pierwszej stronie tego prokuratorskiego pisma zachowała się odręczna dekretnacja Jaruzelskiego: »Wystarczy dziesięć lat.

W. Jaruzelski«. I tyle właśnie wymierzył mi sąd stanu wojennego, z czego realnie odsiedziałem »tylko pięć«. Otóż generał okazał się dla mnie nadzwyczaj łaskawy, po prostu dobre panisko. Ukarał mnie bardzo łagodnie, to miało być dla mnie »mniejsze zło«. Przecież odpowiadałem z artykułu, z którego groziła kara śmierci, a komunistyczny dyktator wyrokował tylko dziesięć lat”.

O Rakowieckiej: „Ciężko mnie pobito, ale przyznam, sprowokowałem jednego z ubeków. W pewnym momencie nie wytrzymałem już nerwowo i powiedziałem mu, że za kilka lat w tym więzieniu będzie muzeum, a on jako eksponat będzie stał wypchany w gablocie”.

O powstanie w areszcie przy ul. Rakowieckiej w Warszawie muzeum Józef Szaniawski walczył wiele lat. Nie doczekał...

O uległości wobec Rosji: „Ogromne sumy z kieszeni polskiego podatnika zostały przeznaczone na remont, konserwację i ponowne ustawienia osławionego pomnika tzw. czterech śpiących. To monstrum zostało postawione przez sowieckich okupantów na Pradze w 1945 roku i nie jest to żaden pomnik braterstwa broni, tylko właśnie pomnik agresorów i okupantów, z czerwoną zbrodniczą komunistyczną gwiazdą!

W tą samą promoskiewską politykę historyczną wpisuje się haniebna decyzja najwyższych władz RP wystawienia pomnika bolszewikom pod Ossowem nieopodal Wołomina, na przedmieściach Warszawy, tuż obok krzyża w miejscu, gdzie zginął bohaterską śmiercią ksiądz Ignacy Skorupka 14 sierpnia 1920 r. Być może zginął właśnie z rąk dokładnie tych żołdatów Armii Czerwonej, którym wystawiono haniebny pomnik, a którzy dokonali agresji pod złowieszczym hasłem »Naprzód na Zachód! Przez trupa białej Polski do serca Europy«. Autorem tego hasła był premier rządu rosyjskiego i bolszewicki dyktator – Włodzimierz Lenin.

Najbardziej monstrualnym symbolem panowania Rosji sowieckiej nad Polską i Polakami jest Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. Kultury w nim niewiele, nauki wcale. Jest za to osobistym darem ludobójcy i największego mordercy w dziejach ludzkości, Stalina, dla Warszawy. I oto stołeczny konserwator zabytków niedawno uznał, że to zabytek polskiej kultury, wpisany do rejestru zabytków, a więc absolutnie nieusuwalny”.

O Smoleńsku: „Bez względu na to, jakie będą rezultaty tzw. śledztwa smoleńskiego, niezbędne jest, aby raporty te nie ograniczały się do wydarzeń z 10 kwietnia 2010 r. Nie można najbardziej nawet szczegółowo analizować katastrofy smoleńskiej w całkowitym oderwaniu od dotychczasowych relacji między Polską a Rosją”.



Pogrzeb Józefa Szaniawskiego

Szaniawski cytował Piłsudskiego: „Niegdyś spotykaliśmy w Polsce ludzi twierdzących, że służba dla Rosji jest równoznaczna ze służbą Ojczyźnie. (...) Spotykamy świat agentury idący przeciwko nam z całą siłą, starający się nas zbrukać. Podczas kryzysów strzeżcie się agentur!”.

Te ostrzeżenia Marszałka Józefa Piłsudskiego są niestety aktualne od osiemdziesięciu lat. Także dzisiaj, kiedy wielu polskich polityków i dziennikarzy nie działa w interesie własnego państwa, tylko obcych stolic. A nawet, jeżeli wielu z nich nie jest agentami, to niewątpliwie są to tak zwani pożyteczni idioci, jak niegdyś określał takich wróg Polski, Włodzimierz Lenin – premier rządu Rosji, sowiecki dyktator. Tak czy owak Moskwa może być z nich zadowolona, bo działają nie w polskim, tylko w rosyjskim interesie.

Każda śmierć jest przedwczesna, ale zgon twórcy i obrońcy II Rzeczypospolitej, Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego Wojska Polskiego Marszałka Piłsudskiego w wieku zaledwie 67 lat, był wstrząsem dla Polski i całego Narodu”.

Jego wielki admirator – Józef Szaniawski – przeżył Marszałka jedynie o rok.

„Nasza Polska” nr 38 (881) z 18 września 2012 r.

Księgarnia prawicowa

 CapitalBook.pl

Wejdz

Zamów Przeczytaj

Najbardziej wartościowe pozycje
z tematyki konserwatywnej, narodowej,
oraz historycznej.

Zamów bezpłatny katalog!

telefon 533496436

sklep@capitalbook.pl

www.capitalbook.pl

Pierwsza taka Galeria w Polsce

Bizuteria z zabytkowych żołnierskich guzików

Oferta Galerii Ars Militaris skierowana jest do odbiorcy poszukującego piękna, oryginalności oraz magii zaklętej w przedmiotach, zabytkach z duszą, historią, swoją własną unikatową opowieścią.

Wykonujemy kolczyki, wisiorki, naszyjniki, pierścionki, pierścienie, bransolety, a także galanterię męską - zapinki do koszul czy spinki do krawatów.

Każde zamówienie jest indywidualne. Po każdym telefonie czy mailu wsłuchujemy się w życzenia Klienta i proponujemy nie tylko kształt czy zdobnicstwo biżuterii, ale dopasowujemy rodzaj galanterii mundurowej np. do miejscowości zamieszkania. Co mamy na myśli? Jeśli np. osoba zamawiająca zechce kupić w Ars Militaris komplet męskiej galanterii w srebrze zawierającej oryginalne, zabytkowe guziki noszone przez polskich żołnierzy w 1939 r. lub też inne elementy mundurowe, możemy zaproponować emblematy galanteryjne noszone przez formacje wojskowe operujące na terenie zamieszkania Klienta. Zabytkowe przedmioty pochodzą z prywatnych kolekcji. Każdy z nich jest oryginalny i związany z historią Polski.

Wykonujemy biżuterię z guzików polskich (używanych od czasów Powstania Listopadowego do II Wojny Światowej), a także innych armii, w których służyli Polacy (np. Wielkiej Armii Cesarza Napoleona Bonaparte czy Cara Mikołaja II).

Nasze wyroby tworzone są także z oryginalnych srebrnych i miedzianych monet. Posiadane przez nas numizmaty datują od czasów panowania Króla Jana Kazimierza.

Galeria Biżuterii Historycznej Ars Militaris

tel. 791 967 560

www.arsmilitaris.pl galeria@arsmilitaris.pl

Galeria
Bizuterii
Historycznej



Ars Militaris

www.arsmilitaris.pl

NASZA POLSKA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Najlepszy tygodnik

po prawej stronie

mediów

www.naszapolska.pl



TADEUSZ M. PŁUŻAŃSKI

Ukończył studia historyczne. Specjalizuje się w powojennej historii Polski. Współpracuje ze Światowym Związkiem Żołnierzy

Autor bestsellerowej książki „Bestie”, wyróżnionej w 2012 r. przez kapitułę nagrody literackiej im. Józefa Mackiewicza

W nowej książce Tadeusza M. Płużańskiego „Oprawcy- Zbrodnie bez kary” odnajdziemy kontynuację tematów poruszonych w „Bestiach”, a niekiedy rozwinięcie dramatycznych wątków historycznych o czasy współczesne. Znajdziemy opis haniebnych wydarzeń rozgrywających się w III RP, która nie stanęła na wysokości zadania. Nie tylko że, nie rozliczyła winnych zbrodni na Polakach, ale stała się wręcz antytezą II RP. Tamta budowała, ta niszczy, tamta jednoczyła we wspólnym trudzie budowania dobra wspólnego, ta antagonizuje i demoralizuje. Dlatego kolejna książka Tadeusza M. Płużańskiego jest tak ważna dziś i dla przyszłych pokoleń Polaków. Jest jak kompas, który niezależnie od jego właściciela wyznacza ciągle ten sam kierunek. Dla Polski jest to kierunek ku wielkości, tak jak wielkimi okazali się bohaterowie opisani przez Tadeusza M. Płużańskiego.

Wojciech Reszczyński

Patronat:

fronda.pl
PORTAL POLITYCZNY

Prawy.pl
portal polonijny Polonii, rodzina i tradycja

myśl.pl
kontrowersja idei



Księgarnia
CapitalBook.pl

POLITYKA NARODOWA
POLONIAŁON - TUDZAKÓW - POLSKA - EUROPEAN

NASZA POLSKA
TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

MOJA RODZINA



lesiojot